

edypus

DWIE PIEŚNI I INNE NOWELE

TEGOŻ AUTORA:

GRZESZNE GOŁĘBIE, powieść

ZGRZEBNA KANTYCZKA ŁAGODY, poezye

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

B. POŁONIECKIEGO WE LWOWIE

LUDWIK MARYA STAFF
(JAN STRZEMIĘ)

DWIE PIEŚNI I INNE NOWELE



LWÓW. — NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ BERNARDA
POŁONIECKIEGO. — WARSZAWA GEBETHNER I WOLFF.



64741

DOZWOLONO DRUKOWAĆ PRZECZ CENZURĘ WOJENNĄ.
WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA”
LWÓW, UL. CHORĄŻCZYZNY L. 27. TELEFON Nr. 1998.

K-218/76/74092

TREŚĆ:

	Str.
DWIE PIEŚNI	1
ZACHWYCENIE	27
OFIARNICY	31
AJAKSY DWAJ	71
LAMPIONI WIELKI	95
PRZYJACIELE	149
ZDARZENIE W OBERŻY POD PUSTYM WORKIEM . .	155
TRWOGI PAULINY WAND	187
MARZYCIELE	203
DRZAZGI	215

DWIE PIEŚNI



rat Placyd, organista klasztorny, był snadź mocno z siebie zadowolony, skoro, wchodząc przed nieszporem do zakrystyi, pogwizdywał sobie pod nosem jakąś świecką melodyę. Lecz w drzwiach przerwał, gdy owionęła go dobrze znana, ckliwa i mdła woń kadzideł, świeżo pranych komż i kwaśnego wina. Kościelny, brat Maciej, dreptał bezgłośnie po kamiennej posadzce, ładując na wysokiej komodzie szaty dla O. przeora, i basowym głosem pomrukiwał wśród westchnień pacierze. Z drugiego pokoju, przypominającego prywatną kaplicę magnacką, dochodził głuchy, drewniany stukot: to młody braciszek Dezydery, stojąc przy nieużywanym, choć ozdobnym ołtarzu, wybijał okrągłem dłutem komunikanty.

Kościelny spojrzał na brata Placyda, jakby ze zdumieniem schwytanego na gorącym uczynku, z cierpką niechęcią, okazywaną intruzom przez ciepło zadomowionych i na pozdrowienie odpowiedział ledwo skinieniem głowy. Lecz organista, z obojętnym spokojem czemś innem zajętego, skierował się do drugiego pokoju, gdzie brat Dezydery z zapamiętałą gorliwością wyciskał okrągłe opłatki. Gdy ten zobaczył Placyda, przerwał pracę, uśmiechnął się

z życzliwą gościnnością i włożył sobie w usta garść białych okruców.

— Może pozwolicie? — zaprosił uprzejmie pełnemi ustami, wskazując stosy odcinków, zalegających prawie cały stół ołtarza.

Brat Placyd chętnie przyjął zaproszenie, lecz wybierał tylko kawały większe i wkładał je w usta z uroczystem i powolnem namaszczeniem, jakby mu bardzo zależało na tem, by zjeść jak najmniej.

Dezydery znów wziął się do roboty. Brat ze stosu prostokątne, o zaokrąglonych rogach, podobne do ćwiartek listowego papieru, opłatki z wyciśniętymi już zarysami hostyi, do których przykładał uważnie okrągłe, ostre dłuto i jednym silnem pociśnięciem odcinał od zbędnej reszty; tę albo precz odrzucał, albo zjadał. Lecz nagle przerwał pracę, otworzył szeroko usta, zmrużył oczy i począł palcami odrębać okruc, który mu przywarł do podniebienia.

— Nieznośne, gdy się przylepi — rzekł. — Ma się wrażenie, że to skóra odstała od języka.

Brat Placyd potwierdził ruchem głowy, zaśmiał się krótko i począł się w milczeniu przyglądać ozdobom, wyciśniętym na komunikantach dla braci i hostyach dla ojców. Były tam symbole męki Pańskiej wśród zawiłych arabesek, były mszalne kielichy z hostyą i gołębiem, unoszącym się w gloryi promieni.

— Czy sądzisz, bracie Dezydery, — rzekł nagle, podnosząc na młodego braciszka swe duże, łagodne oczy — czy sądzisz, że gdyby tu nie było tych ornamentów, nie nastąpiłaby u ołtarza przemiana na Ciało?

Młody braciszek wzruszył obojętnie ramionami.

— Nie wiem, — odrzekł krótko — nie rozumiem się na tem.

Pochylił się nisko nad ołtarzem i dalej wyciskał kolistem dłutem białe opłatki. Po chwili jeden z nich odrzucił między okrucy.

— Nadto przypalony — objaśnił.

— Czy nadto przypalony nie zamienia się na Ciało? — podchwycił brat organista.

— Nie wiem — odrzekł znów Dezydery, — lecz brat Maciej kazał mi wszystkie nadto przypalone i zarumienione odrzucać.

— Tak, kazałem mu odrzucać — wmieszał się brat kościelny, stając w progu, — bo zanoszą nie miłą wonią. Niby tego nie wiecie, bracie Placydzie — dodał, wchodząc.

— Lecz materya, która ma być Ciałem, już przez to samo jest święta, — odrzekł spokojnie brat Placyd i uczenie ściągnął brwi i usta.

— Ha, może lepiej znacie się ode mnie na świętej teologii — rzekł Maciej szyderczo, potrząsając nad głową szerokimi rękawami habitu i z ironiczną pokorą złożył ręce na piersiach.

— To nie teologia — zaśmiał się organista. — Wszak prosty rozum to dyktuje.

— A tak, a tak! — rzucił się kościelny. — Kto wie?! Możem już na starość rozum postradać?! Kto wie?! — i wciągnął głowę w ramiona, trzepocąc koło uszu suchymi palcami.

— Uspokójcie się, bracie Macieju, ja wam przecież rozumu nie odbiorę. Co mi wasz rozum —!

— Pewno, pewno! Nawet zwaryuj, stary, nikt się z nich o ciebie nie zatroszczy. Co ich to obchodzi!? — zaśmiał się sucho.

Organista, machnął pobłażliwie ręką, uśmiechnął się i chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle usłyszał, że drzwi od zakrystyi się otwały.

— Ojciec przeor — zawołał przestrzegawczo Dezydery.

Ascetyczny brat kościelny z pomocnikiem porzucili brata organistę i skoczyli usłuźnie na spotkanie przełożonego. Za nimi wolno poszedł Placyd.

— A, jesteś, bracie Placydzie, — rzekł O. przeor, gdy go zobaczył.

— Tak, jestem, ojcze, — odrzekł z ukłonem. — Przyszedłem się zapytać, co dziś po nieszpórach śpiewać się będzie.

Brat Maciej wkładał tymczasem na O. przeora długą koszulę, zakończoną koronkami na czerwonym podkładzie, przewiązał go w pasie grubym, jedwabnym sznurem, udrapował fałdy, dał stułę do pocałowania, zarzucił wreszcie bogatą, uroczystą kapę, haftowaną w złote i purpurowe kwiaty.

— Co śpiewać się będzie? — powtórzył przeor, przecierając czoło mędrzo wyniosłe. — Zbyt ładny dzień dziś mamy. Jutro gotów deszcz padać — dodał.

— Cieszymy się, że dziś ładny. Pocóż myśleć o jutrzejszym deszczu? — odrzekł z pogodnym uśmiechem brat Placyd.

— Cieszymy się, ale o jutrze też myśleć nam trzeba. Nam szczególnie. Dlatego po nieszpórach zaczniesz, bracie Placydzie: „Panie Boże Abrahama“...

— Ha, na wszelki wypadek spróbować można. Może istotnie na co się przyda, a pewno nie zawadzi — odrzekł brat organista tonem niedbałej ustępliwości.

Po ogolonej twarzy O. przeora przesunął się płochliwie przekorny uśmiech, który stopił się wkrótce z łagodnym wyrazem oczu jasnych i życzliwych. Z lekką powagą zbliżył się do brata organisty i, kładąc mu dłoń na ramieniu, zapytał:

— Czy pamiętasz, bracie Placydzie, że dziś sobota, twój dzień?

— Tak, ojcze, pamiętam — odrzekł, usuwając się nieznacznie z pod łaskotliwego ciężaru dłoni przeora.

— A czy masz co nowego?

Bratu Placydowi oczy błysnęły i jakby ściemniały.

— Zdaje się będzie — rzekł z uśmiechem.

— Co?

— Co? — organista wzruszył ramionami. — Nie wiem jeszcze, nie wiem... Lecz już to czuję... czuję coś rozkołysanego i wielkiego, jak morze: to spokojne, to burzliwe... Lecz co?... nie wiem jeszcze. Będzie to może hymn na cześć dojrzewającego żyta, lub rzeki, co z brzegów wystąpiła... może hymn o siejbie, może o żniwie, lub winobranii... Nie wiem.

Przeor poważnie skinął głową i szepnąwszy: „tak...“ zwrócił się do brata Macieja.

Brat Placyd, skłoniwszy się dwornie, opuścił zakrystę, przeszedł cały kościół i krętymi schodkami dostał się na chór. W kącie, z czołem opartem o marmurową kolumnę, klęczał brat kalkancista, Paweł, zatopiony w modlitwie. Placyd trącił go lekko w ramię.

— Bracie kalkancisto, publiczność już się zebrała, zaczynamy koncert. Idź bracie kalikować.

Brat Paweł skinął głową na znak, że rozumie,

co się do niego mówi, i kończył modlitwę. Po chwili powstał z klęczek, bez słowa usunął się w kąt i począł naciskać ramię miecha, kołysząc się sennie. Brat organista zasiadł przed klawiaturą organu i czekał, wpatrzony w drzwi zakrystyi. Niedługo ukazali się w nich dwaj braciszkwowie, przybrani w krótkie białe komże z zielonemi na piersiach kokardami, potem znów dwaj z płonącemi świecami w rękach, wreszcie O. przeor. Brat Placyd nacisnął stopą jeden z pedałów i organ zadął basowym pomrukiem, budzącym echa gdzieś aż w gardle i płucach. Organista zebrał jeszcze fałdy habitu, by mu nie zasłaniał widoku na pedały i, gdy O. przeor stanął u stóp wielkiego ołtarza, wziął jeden akord, z tego przeszedł na drugi, który zaczął melodyę:

„Święty, święty, święty“...

Powlokła się pieśń przeciągła, niby żałobna, — bez słów prawie. Pochwycili ją braciszkwowie, pochwycili nabożni, podczas gdy O. przeor wśród hałaśliwego brzękotu dzwonek i obłoków kadzidlanaego dymu ustawiał złocistą monstrancję na szczycie tabernaculum.

*„Jezu, jesteś niepojęcie
W Przenajświętszym Sakramencie“.*

Powoli pieśń przebrzmiała, ostatnie jej echa skryły się pośpiesznie w kopule kościoła, jak spłoszone stado ptaków i O. przeor zaczął litanję:

— *„Kyrie elejson,
— Chryste elejson“...*

Brat Placyd machinalnie wtórował to zmęczonemu głosowi O. przeora, to dopowiadającemu mu

chórowi tłum — i bez końca, bez końca powtarzał tę samą nudną melodyę, błędząc znużonym wzrokiem w mroku kościoła, zasnutym obłokami dymu błękitnego, kołyszącego się usypiająco pod sklepieniem. Za kratami wysokich okien baraszkowały wróble, a gałęzie złotych jesieni drzew pukały w szyby, jakby domagały się wpuszczenia, lub przestrzegały przed grożącym niebezpieczeństwem. Promień słońca, odbity gdzieś od jakiejś szyby, wpadł do kościoła, lecz zagubił się szybko w mroku i dymie kadzideł. A gdzieś świeciło słońce, gdzieś strumyk mruczał swe bez troskie psalmy, gdzieś pachniały ostatnie kwiaty jesienne i szemrały spadające liście.

— *„Wieżo z kości stoniowej,
— Módl się za nami“...*

W kącie wisi odwieczna pajęczyna, okryta grubą warstwą kurzu. Mucha, co się w nią kiedyś przed laty wplątała, zeszkła się już całkiem. Snadź dawno już pająk porzucił wyssaną swą zdobycz. Może już i sam uległ swemu przeznaczeniu. Bo któż wie o nim, któż się go spodziewa?

— *„Królowo Patryarchów,
— Módl się za nami...
— Królowo Proroków,
— Módl się za nami“...*

A ile kurzu na tych pyzałych, pozłacanych aniołkach... „Złoto kurzem się pokryło, czasu ślad purpura nosi“.

*„Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża
[Rodzicielko“...*

O. przeor ma już głos bardzo słaby. Jednak śpiewa... — Pieśń? jaka będzie dziś pieśń? Nic nie wie jeszcze, choć ona go już tłoczy w piersi, już brzmi w duszy. Może to będzie ta Największa, ta pieśń, jak posąg marmurowy i zamarzłe morze? Pieśń wiotka, a potężna, huczna, a bezgłośna? Nic nie wie jeszcze....

— „*Módl się za nami, święta Boża Rodzicielko,*
— *Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana*
[Chrystusowych].“

Brat kalkancista odszedł od miecha i przegiął się przez marmurowe ogrodzenie chóru. Placyd wpatrzył się w klawisze organu i powtarzał bezmyślnie raz po raz: „ce, cis, de, dis“... Wstrząsnął głową, jakby chciał odpędzić natrętną zmołę. Lecz wracała uparcie. „Ce, cis, de, dis“...

Tłumił nerwowe ziewanie i przetarł oczy.

— Co dziś gramy? — zapytał brat Paweł, zbliżając się znów do miecha.

— „Panie Boże Abrahama“. Lecz tobie to zresztą obojętne; wszystkie pieśni grasz jednym klawiszem — zaśmiał się Placyd dziwnie nieswojo.

Kalkancista nacisnął ramię miecha.

— Wszystko na większą Jego chwałę — rzekł, pochylając głowę. — A cóż ty dzisiaj, bracie Placydzie? — dodał pół-poufałym, pół-pobłażliwym tonem wtajemniczonego.

— Jakto?

— Dziś sobota.

— Nie wiem jeszcze — zachnął się niecierpliwie Placyd.

Po skończonych nieszpórach mnisi zasiedli ławki,

czekając, jak zwykle w sobotę, pieśni brata Placyda na cześć Najświętszej Panny.

Brat organista siedział przed klawiaturą organu z głową w tył odrzuconą, z przymkniętymi oczyma. W kościele czekała cisza. Jeno za oknami wróble ćwierkały skocznie, jeno gałęzie drzew uderzały w okna, jakby domagały się wpuszczenia w ten mrok... A gdzieś świeciło słońce, gdzieś strumyk mruczał swe beztroskie psalmy, gdzieś pachniały kwiaty i szemrały spadające liście...

Cyt! Brat organista grać zaczyna, cyt!

...Melodya prosta, jak droga wysadzana topolami, melodya przeciągła, pasterska, przywodząca na myśl dziką woń suszonego siana i rozgrzanych słońcem kwiatów polnych... Stoją w słońcu lasy, stoją w słońcu pola, słysząc gwarne śpiewy nawróconych ptaków. Pękają w słońcu dziewicze sutki pączków różanych i pieścżą się z wiatrem listki jasno-zielone, miękkie, wątle, jak sny dziecięce.

Wędrowiec idzie drogą, idzie drogą... Zbożnem słowem pozdrawia oraczy czarnej ziemi i pełnych nadziei siewców złotych ziarn. Zanurza stopy w rozmięklą, świeżo zoraną glebę, wyciskając ślady swych kroków. W pocałunku przywarł usta do wilgotnej roli, usta spalone gorączką, głodne chłodu i szepce: O, ziemio, ziemio!

Wędrowiec idzie borem, idzie borem... Znużony siada i patrzy w leśne życie wśród traw, śledzi skrzętną pracę pobożnych mrówek, słodką niewierność lekkomyślnych motyli, niezdarną powolność ślizkich, chłodnych glist. W nabożnem skupieniu słucha szmeru potoku, przemykającego się lekko wśród traw. Słucha nad mokradłami recho-
tu zako-

chanych żab, śpiewających swe hymny na cześć zachodzącego słońca, nocy wiosennej i księżyca. O, wodo, wodo!

Wędrowiec idzie polem, idzie polem... Ustroił głowę białoróżowym kwieciami jabłoni. W skwarne południe wdycha ostrą, gorącą woń macierzanki, jawnoców i mięty. Szuka oczyma skowronka, dzwoniącego gdzieś na słońcu, czy w niebie; słucha szmeru kołysanych wiatrem płowych czupryn zbóż dojrzewających, wśród których palą się gorące oczy maków i marzycielskie błękity bławatków. O pochwalone bądź skwarne powietrze!

Wędrowiec idzie w słońcu, co zachodzi, idzie w słońcu... O, ty słońce moje i słońce każdego! Milczenie zachodu śpiewa twą chwałę...

Wędrowiec idzie lasem, idzie lasem... Idzie w liłowej pomroce wśród zeschniętych ramion wniebośniętych sosen, co jak baldachim skrywają mu głowę. Wyścieliły mu miękkie pośłanie z zeschniętych szpilek i będą mu do snu przygrywać poszumem groźnym i słodkim, — będą mu gadać tajemnicze, obłudne bajki. A rano obudzi go hasło pracowitych ptaków, oczy rosą zaspane umyje i dalej pójdzie w słońcu, przez ciche, wonne pola, przez odłogi, kąpiące się w skwarze, gdzie witać go będą szумы spienionych potoków, łzawe, smutne oczy pasących się krów...

.....
Pieśń nagle cichnie i urywa się nieskończona, — bo brat Paweł zastłuchany, uniesiony marzeniem, zapomniał o miechu. Zbladł, swą pogardy godną opieszalsznością i nagłą ciszą przerażony, przetarł czoło, jak zbudzony ze snu, powiódł wokół nieprzytomnem spojrzeniem i cofnął się o krok.

— Graj... dokończ... graj!... — szeptał, kalikując ze zdwojoną gorliwością.

Lecz brat Placyd opuścił już bezwładnie głowę, choć dłonie miał jeszcze oparte o klawisze, jakby zastygł z ostatnią nutą.

— Dokończ, błagam, dokończ!...

Z dołu doleciał szmer powstających z ławek mnichów; sądzili snadź, że hymn skończony.

Brat Placyd siedział jeszcze chwilę, jak gdyby odurzony; gdy ręce opadły mu na kolana, wstał od organu. Był spokojny i wyczerpany,

— Czy masz mi to za złe? — zapytał brat kalkancista niepewnie, przez łzy prawie, skubiąc nieporadnie brzeg rękawa.

— Nie, kiedyindziej dokończę — odrzekł Placyd tonem pociechy; unikał jednak wzroku Pawła.

— Tak pięknie grałeś, bracie Placydzie, że zgola zapomniałem o miechu — usprawiedliwiał się strapiiony kalkancista, patrząc Placydowi w oczy z trwożną, uległą pokorą, jakby chciał w nich wyczytać dla siebie przebaczenie.

Lecz Placyd zaśmiał się już niefrasobliwie, klepiąc go po ramieniu:

— Zawsze musisz mieć jakieś zmartwienie!

Schodzili z chóru krętymi schodkami.

— A tak, tak, zawsze coś człękowi dokuczy — podchwycił skwapliwie brat Paweł. — O! i nogi mi już nie służą, bracie Placydzie, ten fundament naszej cielesnej powłoki. Miły Boże, dawniej się skakało po pięć schodów, jak sarna. Ho-ho! gdzie te czasy! Dziś człek się snuje powoli, jak dym z kazielnicy.

— Iii, po co te skargi, kiedy to niemiła rzecz

Bogu. Nie na utrapienie nasze i swoje On nas stworzył, lecz po to, by się radować sobą i stworzeniem wszelkiem.

— Jakże to się radować, bracie Placydzie, skoro się patrzy na smutki i same utrapienia?

— Nowe oczy trzeba mieć dla radości.

— E! nowe oczy, nowe uszy... Zawsze tak mówisz. Co mi z nowych, gdy mi jeszcze stare nie odpadły? A źle jest za dużo widzieć i słyszeć...

Brat organista nic nie odpowiedział. Przeszli krążganek, ocieniony starogotycką kolumnadą i skierowali się do ogrodu, który rozciągał się za zabudowaniami klasztorными na całej reszcie wzgórza. Owionęło ich ciepłe powietrze, przesycone słodką wonią wędnących liści. Szli w milczeniu prostą aleją cyprysową, ścieżką posypaną żwirem. Za kolumnami ciemnych cyprysów złociły się liście kasztanów, akacyi, klonów, dębów. Brat Paweł włożył dłonie w rękawy ciemnego habitu i kroczył wolno, z opuszczoną nisko głową, jakby postępował za trumną, choć uśmiechał się nad nim głęboki błękit nieba czystego, jak duszyczka niemowlęcia. Placyd splótł dłonie z tyłu i szedł obok wyprostowany, pogwizdując sobie pod nosem jakąś świecką melodyę. Rozglądał się z zajęciem po szczytach wiekowych drzew, których nieliczne już, żółte liście odrzynały się jasno od ciemnego błękitu, po trawach i ostatnich kwiatach jesiennych, na których kołysały się jasne, ruchliwe plamy żywego złota, przeciekającego przez liście. Z mądrym uśmiechem doskonałego wiedzenia o bujnie czynnej, a bezlitosnej pełni życia i o koniecznościach hucznego biegu jego wartkiej fali, słuchał brzęku znużonych już życiem pszczoł,

Czemu nigdy nie grasz Ukrzyżowania Pańskiego, ani Biczowania, ni Ostatniej Wieczerzy? W kościele grasz jakieś... pogańskie pieśni! Czemu? Powiedz... czemu?...

Placyd zadarł głowę i śledził uważnie gniazdo wronie na szczycie olbrzymiej topoli.

Po chwili milczenia ciągnął Paweł dalej:

— A to obraza boska, aby w klasztorze z cudów słynącym nigdy nie słyszano pieśni o Matce Boga, o Jej Niepokalanem Poczęciu...

Brat Placyd spojrział łagodnie na kalkancistę, zataczył ręką szerokie koło i jął mówić głosem cichym i ciepłym, jak ten wieczór jesienny:

— Gram temu i z tem, co gra. Gram chwałę wiosny zielonej, czerwonego lata, żółtej jesieni i zimy białej. Gram chwałę czystego nieba, obłoków, dżdżu i chmur gradowych. Bo to wszystko ma swą własną muzykę; ja jeno gram z niemi. Gram z słońcem, co jest dobre i z piorunem, co drzewa powala. Gram z wodą, co płynie w cichej dolinie i z tą, co z brzegów wystąpiła. Gram słońcu, księżycowi blademu i rozumnym gwiazdom, bo one też grają; ja jeno gram im do wtóru. Gram wszystkiemu i z wszystkim. I ziemi, na której zarasta bujnie pszenica, i tej, co leży odłogiem. Bo czyż to nie jest ta sama ziemia? Czyż woda, co płynie potulnie korytem, nie jest tą samą wodą, co zalewa i topi? Czyż grzyby trujące nie jest tworem Boga? A ja gram wszystkiemu o wszystkim, iż wszystko jest dobre.

— Dobry jest tedy i człek, co źle czyni?

— Dobry, bo nie byłoby ludzi dobrze czyniących. Wszystko jest dobre, jak sam Bóg i jak On mądry, bo on wszystko stworzył. I Wszystko wdzię-

czne gra Mu hymn składny na wielkich wszechświata organach. A ja gram w ładzie z Wszystkimi, bom jeden z Wszystkiego.

Brat Paweł pokiwał głową z litosnem współczuciem.

— I czy nigdy, bracie Placydzie, nie przychodzi ci na myśl życie wieczne?

— Zawsze o niem myślę i przeto jestem, czem jestem.

Brat kalkancista zaśmiał się twardo z szydem wyższości:

— A czyż inni nie są tem, czem są?

— Możesz nawet nie wiedzieć, czem jesteś. A możesz być czem innem, niż ci się zdaje. Nie wielu wie, czem są. Ten, co wie, jest nim do kresu, na zawsze i sobie nie kłamie. Inni sądzą, że są czem innem, niż są — i ci kłamią sobie. A kłamać jest pierwszym i największym grzechem. Jeden patrzy i pyta: „Czemu? Skąd?” I jest smutny. Inny sądzi, że nie trzeba o nic pytać i myśli, że jest szczęśliwy. Ten kłamie sobie.

Lecz brat Paweł położył palec na ustach i rzekł tonem łagodnie karcącym, jak do niegrzecznego dziecka:

— Zbytnią ciekawość zgubiła pierwszych naszych rodziców. Zawsze o tem pomnij, bracie Placydzie.

Zasunął głębiej dłonie w rękawy ciemnego habitu i spuścił pokornie głowę, jak gdyby bez szemrania poddając się woli Boga i niezbadanym wyrokom Jego.

Słońce skonało już dawno za opalową mgłą; poczęło się ściemniać. Drzewa otulały się w lekką,

jak pajęczyna, zasłonę mroku i zamykały się jakby w sobie na noc całą. Świerszcze na chwilę umilkły, lecz znowu zaczęły swą gawędę. W dolinie, przeciętej jasną smugą potoku, mrok się już przeciągał. Na szczycie ciemniejącej kopuły nieba błysnęły pierwsze migotliwe gwiazdy.

— Świat jest jak wielki kościół — szepnął do siebie brat organista.

Wstał, przeciągnął ramiona, jakby w tęsknocie wielkiej i począł się wolno przechadzać po ścieżce, posypanej żwirem, który skrzypiał sucho pod drewnianymi jego sandałami. Na zakręcie drogi nagle spostrzegł ciemną postać brata Jacka, ogrodnika klasztornego, schyłego pod brzemieniem chrustu, który dźwigał na barkach.

— Bracie Jacku — zawołał, przyspieszając kroku — pozwól, pomogę ci.

— O, dzięki, dzięki, nie takie znów ciężkie — wzbraniał się ogrodnik.

Złożył chrust na ścieżce, otarł pot z łysiny i ujął organistę pod ramię.

— Grałeś dziś, bracie Placydzie, jak sama święta Cecylia, organistka niebieska.

Pochylił się ku niemu i dodał na ucho:

— Gdybym był młody, uciekłbym z klasztoru, usłyszawszy pieśń taką. Dalibóg.

Zachichotał swoim zwyczajem z dziecięcą prostotą, i, objąwszy Placyda za szyję, musnął go ustami w rumiany policzek. Organista uściśnął dużą, spracowaną dłoń brata Jacka i potrząsnął nią serdecznie, dziękując za dobre słowo.

— Mało kogo tak kocham, jak ciebie, mało kogo — powtarzał brat Jacek. — Nie tylko dlatego,

że razem wstąpiliśmy do klasztoru. Ale... wiesz co?...

Oblizął wargi, pogładził łysinę i wygolone czysto policzki i zaśmiał się, klepiąc organistę żartobliwie po ramieniu.

— Chodź do mnie, boży grajku.

— Dobrze. Pogawędzimy.

Brat ogrodnik cofnął się, jakby zdumiony szybką zgodą.

— Już wiesz? Kto ci mówił? — szepnął z rozczarowaniem.

— Co?

— Że... moszcz gotowy...

— Cooo? Młode wino już jest? — klasnął w dłoń organista.

— Jest! — odpowiedział z dumą brat Jacek. — Więc nic nie wiedziałeś?... Chodź, spróbujemy...

Chwycił pośpiesznie chrust i pociągnął Placyda za rękaw.

Brat Jacek miał w głębi ogrodu swój własny mały domek, złożony z jednej celki i altany, obrosłej glicynią, gdzie stała ława i stół, a na nim już czekał dzban młodego wina. Ogrodnik zaniósł chrust za chatę, z celi wyniósł świecę i dwa kubki blaszane i napełnił je po brzegi mętnym płynem.

— Na naszą miłość, bracie organisto, — rzekł wznosząc kubek w górę.

— Niechaj kwitnie.

Organista przytknął do ust czarkę i długo wdychał aromatyczną, mocną woń wina. Potem przełknął mały haust i, nie ocierając zmoczonych warg, smakował, mlaskając językiem z podniesionymi w górę oczyma, jakby głęboko nad czymś się za-

stanawiał. Postawił kubek na stole, chwilę jeszcze wpatrywał się w zamyśleniu w płyn, następnie potakująco kiwnął głową.

— Dobrze.

Gdy brat Jacek dokładnie powtórzył to samo, spojrzeli sobie porozumiewawczo w oczy i z uśmiechem kiwnęli sobie zgodnie głowami. I znów jednocześnie zmoczyli usta w winie, wciąż jeszcze patrząc sobie w oczy, jakby z niepokojem o zgodność sądu. Wreszcie brat Placyd poruszył się zdecydowanie na ławie, jakby gotów do walki za sprawę godziwą i pewną i rzekł tonem głębokiego przekonania, a nawet wyzywająco:

— Jest zupełnie dobre.

Jacek mimowoli powtórzył ruch organisty i dodał:

— Najzupełniej.

Lecz jeszcze, jakby chcąc się przekonać o nieomyślności ważnej bądź co bądź decyzji, powziętej może zbyt lekkomyślnie i pośpiesznie, podnieśli do ust czarki i wychylili do dna.

— Tak, — potwierdzili ze spokojem pewności, — tak...

I gdy im spadł ten kamień z serca, pili już odważniej, jako że się przekonali, iż piją wino dobre.

Brat ogrodnik napełnił znów kubki i, usadowiwszy się wygodnie, chlasnął się szerokim gestem w kark.

— Pamiętasz bracie Placydzie, nasze pierwsze lata w klasztorze? Gdyśmy, żółtodzioby, siadywali na ławce przy murze, patrzyli na góry i miasto, słuchali śpiewów i grań pastuszych? Gdy ja płakałem — ty mię pocieszałeś, gdyś ty płakał — jam cię pocieszał...

Brat organista pokiwał głową ze smutnym uśmiechem:

— A pamiętasz, bracie Jacku, nasze sny o świecie, o bohaterskich czynach, nasze awanturnicze zamysły ucieczki?... Potem ty znalazłeś ośłodę w ogrodzie, ja w organach. O, wielką ośłodę! One mnie nauczyły kochać harmonię świata, nauczyły mnie słyszeć ją i widzieć...

— Harmonia... — powtórzył brat Jacek z namysłem. — Tego słowa tyś mię nauczył, bracie Placydzie. Gdy serce prosiło się serca, ust usta, myślałem sobie w duszy to twoje dziwne słowo, które zdawało mi się być równie straszne, jak Bóg, to słowo: harmonia... I patrzyłem na grę chmur, na grę much i pszczoł, na grę tęczy, ptaków i kwiatów — i serce zapominało, zapatrzone, zasłuchane... Nauczyłeś mię słuchać, a słyszeć, patrzeć, a widzieć. Nauczyłeś mię używać uszu dla pieśni, granych na zerwanej strunie, nowych uszu, których nie mają wszyscy. Nauczyłeś mię tego nowego świętych obcowania, wysyłania oczu na gwiazdy, na spotkanie z bratnimi oczyma. Nauczyłeś mię koić serce miłością ziemi i wody, słońca i powietrza. Bo ja, co nigdy nie byłem ogrodnikiem, tu nim zostałem i pokochałem kwiaty, drzewa, trawy, winnice, motyle... Nie wiem, co by bez ciebie ze mnie teraz było. Możliwym już nie żył... — dodał ciszej z westchnieniem i opuścił głowę.

Lecz podniósł ją znowuż po chwili z uśmiechem i objął brata organistę za szyję.

— I dlatego kocham cię, stary, jak nikogo nigdy jeszcze nie kochałem.

I usta ich połączyły się w pocałunku, w serde-

cznym raz jedynie w życiu pocałunku dwóch starców. Siedli blisko siebie, objawszy się ramionami i szeptali bogate, jak jesień, słowa wspomnień i wdzięczności, słowa mętne, jak to wino, które pili i coraz mętniejsze. Mówili o swem życiu niebujnem, a bujnej myśli, o drobnych radostkach mniszych i radościach człowieczych, które pili rzadko, lecz tem zachłanniej... O wszystkim, wszystkim...

— Pięknie grałeś, Placydzie, i bogato. Lecz dziwnie pieśń swą skończyłeś... Dźwiękiem, który czeka...

— Nie skończyłem dziś pieśni, Jacku, bo Paweł zapomniał o miechu.

— Nie dziwota, nie dziwota, — zaśmiał się Jacek. — Patrz, nawet Paweł!... Cudne było, cudne...

— A jednak... nigdy nie jestem szczęśliwy z tego, co mi się gra — rzekł Placyd. — Bo wydaje mi się to takie małe, takie dalekie od tego, co jest tutaj, w głębi, na dnie, co chciałoby być wygrane, a nie może. I przeto cięży. Lecz marzy mi się taka wielka, bujna pieśń o Wszystkim, razem huczna i razem bezgłośna, jak Wszystko. Taka pieśń dla kochanków milczenia, którąby jedynie słyszały te uszy inne, nowe, te nasze. Taka pieśń, którąby wtórowała spadającym liściom i gwiazdom, cichym woniom kwiatów i pasiek, szmerowi skrzydeł motyli, bezgłośnemu wzrastaniu drzew, milczącej poświacie miesięcznej, szmerowi pajęczyny, chybotanej wiatrem. Już ją czuję... czuję, graną na dwóch wystruganych z wierzbiny patyczkach, lub... Wiem, wiem! — dodał z tajemniczym błyskiem w oczach i położył palec na ustach.

Podniósł się szybko, wziął świecę i pociągnął za sobą ogrodnika.

— Dokąd chcesz iść? — zapytał Jacek, idąc posłuszenie za organistą.

— Cyt! — szepnął Placyd.

Skradającym się krokiem, na palcach stąpając, przedarli się przez czarną gęstwinę ogrodu, przeszli krążanek, ocieniony starogotycką kolumnadą i stanęli przed drzwiami, prowadzącymi na chór.

Brat Jacek rozglądał się chyłkiem wokoło.

— Niema nikogo... — szepnął.

Placyd nacisnął drzwiczki: otwarty się z lekkim skrzypnięciem. Wstąpili na schody, które trzeszczały przeraźliwie pod ich ciężarem. Organista, zasłaniając dłonią płomień świecy, szedł naprzód. Gdy znaleźli się na chórze, przechylił się przez balustradę i spojrzał w ziemną otchłań kościoła, rozświetloną jedynie słabem, czerwonym światłem lampki wieczystej, płonącej przed wielkim ołtarzem.

— Niema nikogo.

Postawił świecę na ziemi i ukląkł obok organu.

— Odśrubować od miecha...

Wzięli się do pracy z nerwowym pośpiechem. W głuchej ciszy kościoła rozlegał się świst zżartych rdzą śrub i ciężkie oddechy mnichów. Po długiej chwili podnieśli skrzynie z klawiaturą i, zgasiwszy świecę, zeszli ze swym ciężarem na dół.

— Gdzie? — zapytał ogrodnik.

— U ciebie.

Przeszli krążanek, ogród i znaleźli się w altanie obrosłej glicynią. Postawili swój ciężar.

— Tu, tu, — szepnął gorączkowo Placyd.

Przysunął ławę i zasiadł przed klawiaturą.

— Grać nie będzie, bo... niema miecha — rzekł jeszcze Jacek.

— Wiem i tak być musi. Grają gwiazdy, a nie słyszać ich, gra blask księżyca, a nie słyszać go, grają spadające liście, a nie słyszać ich, grają rosnące drzewa... Wtórować im będę... Nowa pieśń dla nowych uszu.

— Tak-tak-tak-tak-tak... — zaszeptał Jacek, przecierając czoło.

Organista drżącymi palcami przebiegał po klawiaturze milczącego organu i mówił szeptem, urywanym głosem, ze łzami w przymglonych szczęściem oczach:

— To ta największa pieśń, ta największa, największa, bo milcząca. Wtór milczącym gwiazdom, zamarzłemu morzu, marmurowym posągom i duszom, co są ciche...

A brat Jacek rzucił się na kolana u nóg jego i, całując brzeg jego ciemnego habitu, szeptał drżącymi ze wzruszenia ustami:

— Dzięki, że dożyłem... Słyszę... słyszę tę pieśń... tę jedyną pieśń tylko ja... ja tylko i ty... ja i ty... tę największą pieśń... największą.

ZACHWYCENIE

...virginibus puerisque canto

HORACY.



rowadź nas tam zaraz, prowadź nas tam! — wołali upojeni. Błagalnym ruchem ręki wstrzymywał tłumną rzeszę, co w skwapliwym naporze, uniesiona obietnicą, cisnęła się do nóg jego, obutych w proste, pątnicze sandały. Skrajem luźnej, białej szaty osłonił stopy od dotknięć śliskich ich pocałunków, zakrywając z zawodem oczy smagłą dłonią.

Cofał się z osłupiałem przerażeniem i uchodził od tłumu, który wyciągał doń z dziękczynieniem spotniałe ręce i czołgał się za nim na klęczkach z obłąkanem wyciem zachwytu na ustach spienionych:

— Prowadź nas tam zaraz, prowadź nas tam! Lecz on, cofając się, milczał. Wkrótce otoczyła go i odcięła od tłumu wierna straż uczniów.

.....
Znużony śmiertelnie i smutny siadł na kamieniu ustronnym. I działki cisnęły się doń drobne.

— Przywiedźcie je do mnie — rzekł uczniom.

Przyszły małe dziewczątka i chłopcy mali, usiedli wokół niego, a najmniejsze wziął sam na kolana.

i gładząc ich włosy jasne, jak len, prawil im słodką opowieść.

Cicho słuchały dziatki słów upojnych; a on przymknął oczy i z uśmiechem szczęścia śniąc, błądził nieomylnie wraz z dziećmi, radując się w sercu, iż żadne z nich nie pytało go o drogowskaz. — Słuchały.

.

Gdy dziatki odeszły, rzekł do uczniów swoich z łagodnym uśmiechem:

— Z dziatkami byłem dziś w raju.

OFIARNICY

Jeste, syn Emanuelowy, ocknął się z drzemki, podniósł bezładnie rozburzoną głowę i oczyma, pełnemi jeszcze snu, wodził nieprzytomnie po izbie, łagodnie jasnej od błękitnych odbić czystego nieba i złotych refleksów zieleni sadu zalanego upalnym słońcem letniego popołudnia. Trzepocąc sennie powiekami, błądził spojrzeniem po czysto obielonych ścianach, lecz po chwili znów głowa opadła mu gnuśnie na posłanie. Wtopionego w półsenną jawę kołysały przytulnie gospodarskie gdakania kur, zmieszane z kochliwym gruchaniem gołębi. Niekiedy od pobliskich winnic przywiewał wiatr przytłumione głosy pracujących najemników, a od pastwisk beczenie kóz i owiec, i głuche, przeciągłe ryki bydła. Za oknem, w sadzie, szeleściły słodko liście oliwek, drzew cytrynowych, granatów i fig, wstrząsanych lekkim podmuchem od Libanu, czasem spadający owoc jabłoni uderzył głucho o miękką ziemię.

Drzemiący zawarł twardo powieki, jak gdyby pragnął znowuż zapaść w sen; przed zamkniętymi oczyma migały mu szare, okolnym dniem przejaśnione plamy i przeganiały precz senność. Zwłókt się tedy ciężko z rozkopanego posłania i, usiadłszy na ławie, zatopił twarz w dłoniach. Lecz każde włókno rozprężało się w nim ku gwałtownemu wybu-

chowi, jak zgięta w dłoniach stal. Zaciął szczęki i porwał się dziko, a na grube usta spłynął mu gorzki grymas bezsilności, wraz z wymyślnie brutalną klątwą, którą cisnął nagle krótkim, gardłowym bulkotem.

Wyszedł z izby i, stając w progu, patrzył tępo przed siebie: w słońcu drżały złotem prześwietlone plamki roju komarów, a na środku dziedzińca pstra gromada kur, skupiona bezładnie wokół rozsypanych ziaren kukurudzy i owsa, pilnie i z pośpiechem tłukła dziobami w ziemię, walcząc niekiedy ze sobą w zawistnem łakomstwie wśród krótkich, wrogich pokrzyków. Zmieszane z niemi krzątały się czerwono nogie, schludne gołębie i przelewnie niezdarne kaczkę, a z dala od gromady drobiu ostrożnie i chyłkiem poskakiwała ku jadłu hałaśliwa banda wróbli. Za podworcem wgłębiał się sad, ciężki od soczystej i cierpkiej nadziei bogatego zbioru; gięły się pod brzemieniem dojrzewających owoców splecione gałęzie niskich drzew, których pnie świeciły resztkami wapna, splukanego już w części wilgocią.

Jeftę, z utkwionemi przed siebie nieruchomo oczyma, z ociągłiwem zapamiętaniem jasnowidza, ruszył ku ostrokołowi. Z świstem skrzydeł wzbil się płochliwy obłok gołębi i wróbli, a potem opadł płynnie na dachy chaty, obory i stodoły. Jeftę doszedł do kamiennego płotu, okalającego obejście, i patrzył na spalone trawy pastwiska, ubielonego stadami żerujących gęsi i barwnemi plamami przeżuwających w słońcu krów. Gdzieś nad parowem postrumienionym dymiło bezświeczne w blaskach słońca ognisko; na lewo rozciągały się karne szyki winnic, a w prawo orne pola, żółte od dojrzewającego owsa

i ściernisk po żętej pszenicy: stamtąd dolatał uszu Jeftęgo dźwięczny brzęk kos i zgodny śpiew pełni, nucony przez żniwiarzy, upojonych rozumnie pewnym i na duchu podnoszącym rytmem wspólnej pracy. Jeftę dłonią przysłonił od blasku zmrużone oczy i patrzył tam długo wyteżonym wzrokiem; a potem, oderwawszy spojrzenie od pilnej gromady żniwiarzy, zawisł oczyma w bezkresnej dali gościńca, wysadzanego strzępiastymi wiechciami akacyi. Po chwili bezruchu machnął beznadziejnie ręką i zawrócił ku dziedzińcowi. Siadł w cieniu na kłocu do rąbania drewna, oparł się plecami o ścianę chaty, wyciągnął nogi daleko przed siebie, i, splótszy piegowe dłonie na karku, wpłatał się oczyma w głębi sadu. Męczyły go myśli owiane mętem. Dziwiło go teraz to, o czem już wiedział przedtem. Nie sen, nie sen! Niczego mu oczy nie skłamały! — Oparł łokcie na kolanach, a palce wtopił w rozburzone włosy z jakimś dzikiem łakomstwem. Omotała go znów bezduszna tępość: niewidzącemi oczyma wpatrzył się w udeptaną gładko ziemię podworca, kołysząc się rytmicznie na chwiejnym kłocu; niekiedy jakby łuska opadała mu z oczu, zaostżał wzrok ku widzeniu i wtedy rozgarniał stopami sypki miał suchego pyłu, by znów bosem piętami zasnąć ciemniejsze wilgocią wnętrza, które był obnażył.

Z kuchni doszedł go cichy śpiew niewieści, zgrzytliwy i starczo zadyszany:

— *Pójdiesz ze mną z Libanu, o oblubienico,
Spojrzysz z góry Amana, z wierzchu góry Sanir
I Hermon, ze lwich jaskiń i z gór lampartowych,
Ujęłaś bowiem serce moje, siostró smagła.*

Małe, bure oczki zmigły mu się mlecznem bielmem złości; zaciąwszy szczęki z twardą zawziętością, rzucił się niecierpliwie, aż kloc pod nim zachybotał wstrząśniony.

— Wilczyco, czy was zęby bołą? — syknął szyderczo, odwracając się gniewnie ku oknu kuchennemu, w którym po chwili ukazała się zwiędła i bezkrwista twarz starej służebnicy, Rebeki. Ręce chude, żylaste i tłuste od pomyj, ocierała w brudną ścierkę i uśmiechała się przytem tępo, pokazując dwa żółte zęby, sterczące sieroco ̇w bladym dziąśle.

— Gniewasz się, Jefe? — zapytała gderliwie przymilającym się głosem oszukańczej znachorki. — Nie wiedziałam, synu, że tu siedzisz i możesz słyszeć śpiewki wyczerpanej do dna studni, co wspomina swą wodę, — dodała z błędnym wyrazem mrocznej, więziennej niemal pustki w wypłowiałych oczach. — Śpiewałam sobie, bo... bo tak jakoś lżej... Krzyknij w głęboką studnię, a także ona sobie zakrzyknie. Inaczej smutno.

— A któż to w was krzyknął? — zakpił złośliwie.

Łokciami o wnękę okna się oparła i nachyliła nad Jeftem.

— Wspomnienie, synku, wspomnienie. Nie zawsze było, jak jest. Była wiosna, i lato, i jesień... A w zimie, kiedy niema nic prócz tego, co jest... w zimie zawsze miło zaśpiewać sobie to, co się przy żniwie śpiewało: wtedy i słońce wróci myślom, i noc parna, i kwiaty polne, i sad umajony....

Jej oczy wypłowiałe i mętne, jak powietrzne bańki na zgniłych bagniskach, zdawały się patrzeć gdzieś niezmiernie daleko, a kąty sinych, wązkich warg uniosły się w uśmiechu bladym, jak kwiat

zwarzony przymrozkiem, w uśmiechu, który mówił, że niedarmo oczy błędzą tam, dokąd się już wraca tylko opowieścią lub snem. Długą chwilę trwała z tym dalekowidzącym uśmiechem na ustach; a potem jakby opowiadała sobie, zaczęła znowuż głosem jednostajnym i miarowym:

— Był młody i silny. Oczy miał czarne i czarne włosy...

— A gdyby rude miał włosy?! — zachichotał Jefe złym głosem, potrząsając mierzwą miedzianej czupryny.

Lecz Rebeka, jakby go nie słyszała zgoła, ciągnęła dalej:

— A potem, po długiej słodyczy... potem poszedł sobie precz, — zakończyła nagle szeptem ledwie słyszalnym.

Jefe porwał się dziko.

— A ona poszła bez słodyczy nawet! — zaprzeczył gwałtownie, rzuciwszy się ku Rebecie z groźnie wzniesioną pięścią. — Poszła, bo rude miał włosy, a brat miał czarne włosy i tłuste policzki! Poszłaś, to chybaj, plucho, gdzie tam chcesz, i legaj w słomie, z kim chcesz! Ty będziesz brzuch nosić, a nie ja, ani on. Ale jego to ja — —!

Zachłysnął się przekleństwem twardem, jak głaz, i dysząc ciężko, pobladły zatoczył się pod ścianę. Pięście i szczęki ścięły mu się kurczowo, głowę zalał wściekły udar krwi wzburzonej, a w oczach jęły mu tańczyć żółte i czerwone plamy, jak w słońcu ten rój komarów. Chwilę wyziewał z siebie złość i zwolna gasł.

— Suka! — wyksztusił przez zwarte zęby i ciężko osunął się na kloc.

Znów palce zatopił we włosach i w bolesnem poczuciu niemocy wgniatał aż do bólu pięście w oczodoły, z lubością wsłuchiwał się w przyśpieszony rytm krwi w pulsach i raz poraz spluwał dla ulgi daleko na środek dziedzińca.

— Jęste! — usłyszał nad sobą głos Rebeki.

Wzruszył ramionami kilkakrotnie i nie odpowiedział.

— Jęste! — powtórzyła kobieta z wyrzutem.

Każdy muskuł naprężył mu się, jak cięciwa niechybnego łuku i cały wydał się sobie drapieżcem, co czyha chytrze na ofiarę, wyzywając go z dziecięcą niemal nieświadomością zasadzki.

— Nie sierz się, synku, nie sierz — zaczęła znów głosem drażniaco dobrotliwym, pełnym roztropnej perswazyi. — Wszystko znieść trzeba na tym świecie... I od wszystkich. A lepiej jest, synku, od swojego, niż od cudzego. A kogoż masz bliższego, niż...

— Starszy jestem! — przerwał chrapliwie, uderzając się butnie w piersi.

Nagle spojrzał na kobietę oczyma jakby innemi, z tem zdumieniem oddalenia, płynącego z uczucia wyższości z powodu krytej tajemnicy.

— A zresztą... zresztą skąd ty...? — zapytał z szerokim gestem zdziwienia.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie i domyślnie zmrużyła wypłowiałe oczy:

— Wiem, dziecko, wiem wszystko — pokiwała głową. — Ho, ho, stara jestem, niedowidzam, ale widzę, synku, widzę, co się wkoło dzieje. Niewidzące oczy wglądają głębiej, bo są starsze — dodała, z powagą wznosząc oczy i palec w niebo.

Lecz Jęste skoczył do niej, porwał ją za ramię i przechylił ku sobie przez otwarte okno.

— Gadaj, co wiesz! — zacharczał groźnie, wpatrując się błędnie w jej twarz bezkrwistą i zmarszczoną.

Z lękiem chciała się wyrwać i cofnąć w głębię, lecz, jak kleszcze, wrzynały się palce jego w jej rękę.

— Gadaj, co wiesz! — wrzasnął przeraźliwie i posiniał na twarzy od złości, jak bez.

— Józef ci Sarę wziął — wyszeptala przerażona.

— A! — ryknął gniewnie i targnął Rebeke wściekle, aż piersią padła na oparcie okna.

— Oszalałeś?! — jęknęła starka, podnosząc się i patrząc nań oczyma bezlitośnie osmaganej suki.

Rozcierała obolałe ramię i mruczała coś niewyraźnie pod nosem.

— Gdybym była twym ojcem, lebbym ci ukreśliła, ty...

— No co? — porwał się ku niej wyzywająco. Chwilę mierzyła go nienawistnym wzrokiem.

— Ty, ty... znajdo! — wyksztusiła wreszcie w spazmie dotkliwej bezsilności. — Tak, tak, znajdaś, wiedz! Na miedzym ojcowej cię znalazła — krzyczała, przysiadłszy, i raz po raz wskazując nań krzywym, chudym palcem wiedzmy.

Oszołomiony cofnął się, uszom nie wierząc. W oczach zakotłował mu mętny wir. Zachwiał się i oparł o ścianę, by nie upaść. Jak nieprzytomny mrugał powiekami i zdawał się nic nie rozumieć. Lecz nagle potarł sobie dłonią czoło, a w uszach zabrzmiało mu posłyszane słowo w jakimś nieznanem dotąd znaczeniu i powadze: Znajda! Z opętańczym wrzaskiem, w którym była i cała nagłość i groza niespodzianej nowości, cała ta bezlitosna

celność nieomylnego ciosu, i płacz gniewu, i ryk wściekłości, i konwulsyjny skowyt poczucia własnej niemocy, — rzucił się na oślep przed siebie, z pięściami złożonemi w ciężki młot, powolny pewnej ręce kowala-mocarza.

Kobieta odskoczyła w kąt izby z niehumanym krzykiem śmiertelnego strachu:

— Zabije! Ratujcie! Boże!

Jeſte rzucił się na nią, lecz wtem na progu ochłonął, a szal spadł zeń nagle, jak woda spływa z członków, odjętych falom rzeczonym. Stał i pochylił głowę. Z za węgła domu nagle wyszedłszy, ukazał się Józef. Był od brata wyższy i silniejszy; twarz, zaczerwieniona od pośpiechu pyszniła się pełnią zdrowia, a ciemne oczy błyszczały żywo z pod czarnych łuków brwi. Pośpiesznie poszedł pod okno kuchenne i, w milczeniu skinąwszy Jeſtemu głową na powitanie, zawołał do wnętrza:

— Rebeko, daj mi jeść! Ale wartko, bo czekają mnie.

Odgarnął z czoła bujne kędzierze i pot otarł z pod oczu, nabiegłych krwią od zmęczenia.

— Ty skąd? — zapytał cicho Jeſte, nie podnosząc nań oczu.

— Ode żniwa, — odrzekł zapytany, nie odwracając się i niecierpliwie bębnił palcami o ścianę.

Bracia milczeli. Józef dreptał w miejscu, wodząc żarłocznie oczyma za krzątającą się w kuchni służebną i powtarzał wciąż pod nosem:

— Prędejj, prędejj....

Chciwie porwał jadło, podane mu przez okno, i łakomie utopił w niem zęby zdrowe i białe. W ciższy słyhać było tylko stłumione chrupanie jedzą-

cego i ciężkie dyszenie Jeſtego, który wodził za bratem nieufnie schmurzonemi oczyma i przygryzał wargi.

— Wracasz do żniwa? — zapytał znów po chwili, spoglądając na Józefa z popod brwi.

— Nie, — odrzekł ten krótko ustami pełnemi jadła i, żując pośpiesznie, pochylił się, by poprawić przed drogą sandał.

Nagle zwrócił do brata szybko głowę i, poprawiając omackiem rzemyk, zagadnął badawczo:

— Dlaczego pytasz?

Jeſte wzruszył obojętnie ramionami, lecz oczyma uchodził przed spojrzeniem brata.

— Pytam, — rzekł z prostotą — bo dziwi mnie, żeś odszedł żniwiarzy, by zjeść, skoro już wkrótce wszyscy wrócą na wieczerzę.

— Głodny byłem, — odpowiedział Józef, zwracając się znów pilnie do ciżem.

— Widzę.

— Ano więc.

Umilkli, spozierając ukradkiem na siebie.

— Pewno później wrócisz... — zaczął znowuż Jeſte po chwili, kreśląc na piasku patykiem nieudolne koło.

A gdy Józef nic nie odpowiadał, dodał:

— Razem ze żniwiarzami? Czy czekać ciebie z wieczerzą?

— Nie czekajcie, bo nie wiem, co wypaść może, — odrzekł Józef z wysiłkiem nisko nad ziemią pochylony.

— Pewno, nigdy wiedzieć nie można: to tu, to tam, to ten, to owa...

Kij prysnął w ręce Jeſtego na dwie części.

— A czasem i poczekać przyjdzie dłużej, niż się człowiek spodziewał, — dorzucił, bawiąc się w zakładotaniu ułomkiem, co mu w ręce zostało.

Józef wglądał uważnie w małe, bure oczki brata i nagle roześmiał się głośno.

— Czemu się śmiesz? — schmurzył się Jęste i końcem języka zwilżył suche, zwiste wargi.

— Czemu? — powtórzył wesoło Józef, zabierając się do drogi. — Bo raduję się, że kogoś obaczę. Pozdrów ode mnie żniwiarzy! — dodał, śląc bratu pożegnanie lekceważącym ruchem dłoni.

— A skłoń się ode mnie Sarze! — odciął Jęste, błędąc jeszcze bardziej, lecz siląc się na uśmiech.

— Dzięki, nie zapomnę! — odkrzyknął z dala Józef i wśród śmiechu raz jeszcze odwrócił się do brata.

Potem ruszył żwawo drogą i oddalał się szybko. Długą chwilę patrzył za nim Jęste, z zastygłym na trupio-bładej twarzy przyśmiejchem podstępnej uprzejmości, który zwolna jął się roztopiać, aż wreszcie spłynął dwiema beznadziejnie głębokimi bruzdami, zszącającemi się od kątów ust ku brodzie. Małe jego oczy zwężyły się jakby i zmatowiały, a wargi, załamane płaczliwie, poczęły drżeć, podrywane nagłymi skurczami. Znów dłonie zwinęły się w pięść, twardą i zemściwą, jak młot powolny pewnej dłoni kowalarnicarza; znów szczęki zwały się na głucho, a nozdrza rozděły chciwie do szybkiego oddechu.

— Poczekaście, poczekaście! — zgrzzytnął gniewnie i pogroził pięścią pyłowi, opadającemu zwolna po śladach Józefa.

Ostatni skrawek czerwonego słońca usunął się cicho za widnokrąg, krwawiąc jeno jeszcze czoła nielicznych obłoków, rozsianych po niebie, jak owce

znieruchomiałe w drodze. Mleczne opary wzniosły się z pól, wynurzyły się z jaru postrumiennego i ociągłiwie sunęły wilgotnym tumanem ku winnicom. Z brzękiem lśniących kos wracali od żniwa najemnicy, powolni i twardzi, postępując poważnie zgodnym i rozumnie pewnym krokiem ludzi, nawykłych do wspólnej pracy. Za nimi, wzbijając chmury pyłu, kroczyły dostojnie ociążone krowy, niepokojone kolejno natrętnemi napaściami jurnych, rozpragnionych byczków; wznosząc głowy, porykiwały niekiedy tęsknie, jakby żegnały gasnący dzień, co rozlewał się jeszcze krwawymi resztkami na zachodzie.

— Ho! - ho! - ho! — pokrzykiwały pastuchy, uśmierzając batami gwałtowne zabiegi miłosne zalotnych lekkoduchów.

Wśród kurzu przebiegła słoczona lęklíwie gromada owiec pod baczną strażą pilnych psów, które po zwartych grzbiętach potulnego stada, jak po ziemi, przebiegały, by surowo karcieć niesfornie rozbrykane buntownice.

Szedł błękitny zmrok, szedł od wschodu, jakby był dniem; w ciemne masy zlewał płamy krzewów i korony drzew, wysuwał się sennie z głębokich zaułków i bezświétnych wnętrzy, zatapiał się w wysokich trawach, czołgał się gnuśnie po ziemi, jak dym.

Oparty o niski mur, patrzył Jęste zmartwiałemi oczyma w niebo, rozkrwawione, jak nigdy nieogojąca się rana. Skostniała tępota zapamiętania znieruchomiła go, a wnętrzem jego przewiewał smutek głuchy, jak stępot kroków po zbutwiałych liściach w leśnym ostępie. Niekiedy owiewał go rozszołchany podmuch żalu, oplatała go cicha i łagodna tęskność, a w źrenicach zawisły łzy niewypłakane. Światami

leciał ku kochaniu sercem, z którego wewnętrznym płaczem przelewał się nadmiar bólu, ustami ku ustom straconym, ku tym oczom, jak chabry i war-koczom, jak noc. Kolebała go cicha muzyka żalości, wygnania i opuszczenia, boleściwa muzyka, płacząca bezskargliwym smętkiem i niemocą, której nie wygra nic, jeno drzewa jesienne i bolejące serce. Szedłby bez końca działem pastewnym, skrajem oliwnego gaju, po zarosłych krełowiskach, a potem jarem postumiennym, hen, ku Libanu góróm błękitniejącym na widnokręgu, i nuciłby sobie bezstawnie, co dzwonki jąkają owcze, co drzewa śpiewają cmentarne, co świegocą święte jaskółki przed burzą: pieśń u dziecięcej kolebki i lament u trumny, śpiew do kochania i rozłąki. Nuciłby z cicha sobie i myślom swoim, jak się szepce modlitwę, i szedłby powoli, zapatrzonej w wiotką trawę, gnącą się pod stopami, kijem ścinałby wysokie szczyty chwastów, niekiedy zagwizdałby sobie szeroko hasło pastusze — i szedłby, szedł, długo, bez końca, byle dalej, byle jak najdalej stąd, za las... za zręby stoków... hen — hen...

W oczach zamigotały mu łzy litości nad sobą: widzi się sam wśród niegościnniej pustaci, na postudze u ludzi cudzych i złych. Biją, nogą kopią, urągają, krzywdzą... Zniesie, zniesie wszystko pokornie i cicho, jak podły pies. Nawet się nie poskarży, jeno w nocy popłacze sobie wśród mroku nad dolą swoją sobaczą... Albo... albo rękę wyciągnie pod arkadami marmurowej bóżnicy, przynożnym pożebrze skowytem i przecież może wpadnie mu do garści nędzny grosz, choćby nawet oplwany obelgą pogardliwej litości. O, zniesie, zniesie, zniesie i skomleć potrafi, jak pod progiem pies obity i przepędzony

precz na słotę! Zapytają ludzie: „Gdzie Jeste się zapodział?“ — O, daleko jest-ci Jeste, daleko! W świat wywędrował ludziom złym na urągowsko i poniewierkę, żebrze psim jękiem o suchy kęs chleba... — Wziął sobie Józef Sarę, z nią szczęście i wiosnę, a on, znajda bezdomny, pod arkadami marmurowej świątyni, z ręką wyciągniętą błagalnie, głodny, siny i porzucony...

— Jeste, czemu ty płaczesz? Jeste!...

Ocknął się i, zawściągawszy oczy z wędrówki marzenia, zobaczył rozumną, spaloną słońcem twarz ojca. Nieznacznie otarł oczy dłonią, wyprostował się żwawo i, siląc się na swobodę, rzekł:

— Ej, nic!

Uchodząc oczyma przed badawczym spojrzeniem ojca, wykonał drżącymi palcami szereg dzi-kich ruchów, jakby się bronił przed napaściami roju os oszalałych i natarczywych, i raz poraz powtarzał zdławionym głosem:

— Nic, nic, nic!

Stary Emanuel pogładził biały i wełnisty obłok brody, odgarnął za uszy włosy siwe, aż do ramion spadające, i kilkakrotnie z niedowierzaniem pokiwał głową czcigodną.

— Czemu się, ojcze, dziwujesz? — zapytał Jeste, podnosząc na ojca płochliwe spojrzenie.

Ten wzruszył ramionami.

— Ja?... Ja się już niczemu nie dziwię, synu — odrzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Zbyt stary na to jestem i doświadczony. Nie dziwuje się, kto wie.

Odważnie utknął Jeste swe małe, bure oczki w oczach ojca.

— A ja się dziwuję przeto właśnie, iż wiem — szepnął drżącym głosem. — A tak, tak, dziwuję się, bo wiem.

— Cóż takiego wiesz, że się dziwisz?

— Dziwię się, ojczu, żeś schował przed znajdą prawdę — wyrzekł szybko z żarliwym wyrzutem, przytakując głową namiętnie. — Dziwię się i pytam: poco? poco? poco?...

Wstrząsał gwałtownie rękoma przed oczyma ojca, rozwarłszy szeroko powieki. Nagle ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a głowa pochyliła się na piersi.

— Gdybym był wiedział wpierw, mniej ostrym ciosem zaszyłby się nóż w serce — wyrzekł cichym głosem skargi.

— Skąd wiesz? — zawołał ojciec, cofając się zdumiony. — Kto ci nabajał? — poprawił się zaraz.

— Zaszczekała mi dziś o tem wilczyca!

Ojciec postąpił ku niemu, ujął go łagodnie za przegub dłoni i wstrząsnął przyjaźnie jego ręką.

— Synu... — zaczął wzruszonym szeptem.

Lecz Jefe wyrwał dłoń z ręki starca i przerwał surowo:

— Nie jestem twym synem!

— Jefe, do kogo masz żal? — ciągnął dalej ojciec. — Czym ci dał, choćby nawet w gniewie, powód do domysłu? Czym dla ciebie był inny, niż dla twego brata?

— Nie mam brata! — zawołał Jefe jeszcze gwałtowniej. — Nie miałem go nigdy! Nikogo nie mam, nikogo! Słyszysz, ojczu? Nikogo! Jestem tylko wyrodnym synem wyrodnej swej matki, co już pewno dawno nie żyje. Więcej nikt, nikt!

— Jefe, co tobie?

Przyskoczył gwałtownie do ojca, wpił w jego ramię palce, jak szpony, i dysząc, jął syczeć mu w ucho głuchym, gorącym szeptem:

— Skowycze mi całe serce i wyje pod chłostą! Łbem walić o ścianę, drzeć pazurami ziemię, szarpać zębami i krzyczeć, krzyczeć aż do skonania!... Wszyscy tak samo chodzą, jak wczoraj chodzili i przedwczoraj; przyśmiejają się do siebie i płodzą dzieci; pogodą się trapią, plotą wieńce dożynek i bajki dla dzieci; chodzą, skaczą, przytupują sobie do opętańczego tańca i nie wiedzą... oni, ojczu, nie wiedzą, że tu pęka jedno serce ludzkie! Litości! Miłosierdzia! Jedno tylko serce mam w piersi, to jedyne, kochające serce! Gdy pęknie i stanie, pokazując ostatnią godzinę... Boże bezlitośny i zły! kroplą po kropli sączyć się będzie czas dalej w zegarze żywota innych i nikt nie wspomni o tym... — Krzyczy mi coś w głębi wołaniem zbłąkanego: „Oszukali! Na bezdroże wywiedli! Nic nie uratuje!“ Skradli, co miałem najumiłowańszego i ostawili samego, jak topielca w nocy na dnie wezbranej rzeki! W górze woda, błędzę rękami: woda. A w górze, niezmiernie już daleko, toczy się życie dalej niewstrzymanym potopem: żyją w słońcu, ktoś śmieje się gwiazdom, księżycowi ktoś płacze, ktoś się rodzi, ktoś morduje człowieka, a pijane gardła śmiechem wtórują urodzinom i konaniu. Życie, życie!... I tylko ja jeden, sam, czarną otoczony nocą i miękką tonią. Usuwa się ziemia pod stopami, dusi w gardle wrzask: „Ja także chcę żyć! Ja także chcę żyć!“ Lecz coś jednym zamachem wtłacza mi mój krzyk znowuż w krtań: — Nie wolno! — „Dziewczyne

chcę mieć ku miłowaniu!“ — Nie wolno! Inny ci ją weźmie. — Czemu? czemu? czemu, na Boga, nie wolno mi mieć ani matki, ani ojca, ani brata? Nic! nic! Ta myśl wierci, jak świder, iglicą się wpija w tępą głuchość i dławiacem przejmując zdumieniem: dlaczego mnie jednemu nie wolno mieć własnego ukochania, mieć go?! Nie znałem matki, nie miałem ojca, ni brata — i tę mi też skradli!! Uciekajcie! nie zbliżajcie się, bo kąsam, bom się wściekł i kąsam!

Zatchnął się i zaszedł od rozdzierającego łkania i krzyku.

— Jefe! Co tobie! Nic nie rozumiem!

— Ja sam nie rozumiem, ojcie. Sący mi się z serca jad: zatruje sobą każde dobro. Ciężkie mam chmury w sobie: zasują sobą każde słońce! Ja dziś najgorszy z ludzi, bo chcę się mścić, chcę drapać, kąsać, szarpać! Chowajcie przede mną wszystko żelazo, bo każdy błysk jego przypomni mi mą krzywdę!

Rozszalał się w uniesieniu i gorzał wszystkim dzikim żarem rozpętanej w pustyni nawałnicy. Oczy płonęły mu niesamowitą łuną wewnętrznego pożaru, który gorącymi płomieniami słów buchał, jak lawa i głązy z rozpalonego wnętrza ziemi.

— Kto ci zawinił, synu? Przeciw komu dyszesz? Kto wznicił w tobie pioruny? Synu, — zawołał ojciec uroczyście — stara dłoń cię wspomůže, przysięgam! Powiedz wszystko ojcu, powiedz wszystko, a pójdzie z tobą przeciw niemu.

Przeraził się Jefe i serce mu stanęło.

— Ojcie, tobie nie wolno! — przerwał, odtrącając go dziko od siebie.

— Synu, klę się, że napuszczę jadem nóż i wbiję go w piersi twego krzywdziciela.

— Nie-nie-nie-nie-nie-nie!! — zaprzeczył gwałtownie, zatykając uszy. — Nie przysięgaj, ojcie, na Boga, nie przysięgaj, bo tobie nie wolno! Tobie nie wolno! Nie wiesz, coś powiedział! Cichaj, cichaj, święte gwiazdy na nas patrzą!...

Z nabożną trwogą wzniosł oczy ku niebu i spojrzeniem zdawał się o przebaczenie modlić gwiazdom, tym milczącym szpiegom ponocnych myśli, słów i uczynków. Skulił się lękliwie pod brzemieniem świadomości swej winy i głowę zakrył dłońmi, jakby ją chronić chciał przed niechybnym gromem kary.

— Chodźmy stąd — szepnął, pociągając ojca. — To miejsce snadź kusi. Każ jutro okadzić je świętem kadzeniem.

Zgaśł potulnie i złamał się cały przerażeniem sobą. Raz poraż z niepokojem spozierał na ojca i drżał struchlałym sercem na myśl o grozie bliży starczego synobójcy.

— Tyle słów nierozważnych, tyle słów... — szeptał zdławionym głosem i napół nieprzytomnie przecierał dłonią czoło. — Ciężką obarczyłem się winą i nieprzebaczalną.

— Ofiarę jutro złożysz Panu i odpuszczone ci będzie — pocieszał ojciec.

— Tak, tak, pójdę z Józefem złożyć jutro ofiarę — pochwycił skwapliwie. — Zaraz o świcie... Może Pan odwróci swoją gniewną karę... Zaraz o świcie, by dnia nie poczynąć z ciężarem winy na barkach.

Uczuł słodką ulgę oczyszczenia, a przedziwna błogość niemowlęcej niemal czystości napęłniła serce jego ufną pogodą. Pragnęłyby potrzebujących obda-

rzać, przebaczać winowajcom, przycisnąć do serca świat cały i mówić mu słowa dobre, kojące, braterskie.

Wracali zwolna ku chacie pustym dziedzińcem. Z za długich i wązkich pasem mgły przeglądał księżyc wschodzący, a z daleka pohukiwały trąby pastuchów-wartowników.

Weszli do izby, oświetlonej mrugliwymi promieniami świec zatkniętych w siedmioramienny świecznik i siedli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy z łagodnym pobłażaniem i ufną nadzieją.

— Tak, zaraz o świcie pójde z Józefem złożyć ofiarę — mówił Jęfte głosem przyciszonym, mrużąc w zamyśleniu oczy. — A potem, gdy wrócę, z najemnikami pójde ku żniwu, za rzekę, dogładną pasieki, o południu nakarmię gołębie Józefa. Potem znów zajde do żniwiarzy, wrócę wieczorem w pokój...

Przechylił głowę przez poręcz ławy i marzył o dniu jutrzejszym i o sobie, zapobiegliwym i przewidyującym; wywoływał obrazy jasne i słoneczne, które minioną rozmowę z ojcem zacierały zwolna swym szczęsnym i beztroskliwym rytmem pogodnego życia w wielkodusznym zapomnieniu krzywd, we wzniósłem przebaczeniu i wśród boskiego spokoju zbożnej serca zgody w obliczu Pana. Rzeczy drobne i kochane, święte i małoznaczne, jak pokorne mrówki, śpiewały w nim podniebny hymn uwielbienia, w którym zespalały się szmery chybotanych liści, pobrzęki pszczoł i kos żniwiarzy, pohukiwania pastuchów i wilgotne wonie nadrzecznych pustek. Uświęcał swą miłością i podnosił do tajemniczo wielkiego znaczenia wszystko to, co dotąd, jako nikłe i nieważne, omijał obojętnie i niedbale; oplatał teraz sie-

cią tkliwie łagodnych uczuć każdą drobnostkę, każde źdźbło, kwiat każdy. I sam rozkołysał się dobrocią, pobłażaniem i przywiązaniem gorącym do samego siebie, wydał się sobie jedną z tych rzeczy świętych, dobrych, godnych wielkiego miłowania i czulej tliwości.

Ktoś nagle zakołatał do drzwi pewną ręką. Jęfte drgnął. Uderzenia powtórzyły się w szybkim następstwie. Były niecierpliwe, gwałtowne i żartobliwie niepokojące. Poznał Jęfte wesołą pustotę dobywającego się i widział już jego oblicze zadowolone, upojone dosytem, dumne przechwałką łatwego zwycięstwa. Wtapiał się czuciem w swobodną od ugaszonego żaru pewność zdobywcy i z najgłębszych den jego istoty znów wzniosł się mgławym obłokiem gryzący i duszny opar zawiści; oplatał go znów i osuwał się przygńbiającym ciężarem na ciemność, przyginał do ziemi i krew rozbudzał na nowo. A gdy Jęfte przypominał swój przed chwilą sen o dobroci, wydał mu się on nagle obcy i daleki. Zdało mu się, że w tym wzlocie uczucia wyczerpał w sobie ostatki tliwości ciepłej, dobrotliwego przebaczenia i tego wszystkiego, co ludzkie. Próbował znów wnieść swoje serce, zatrute nagle jadem mściwości, ku uczuciom miękkim i dziecięcym, lecz wydało mu się ono jak głaz, z którego, chcąc go dźwignąć, zdzierał jeno do reszty i niepowrotnie ostatki miękkiego mchu. Opadła jego dobroć, jak bezwładnie zwisają ramiona, które się już nigdy podnieść nie mają, jak strudzone śmiertelnie lotem skrzydła.

Ojciec otworzył podwoje i w progu, w widmowym świetle chwiejnych płomieni, stanął wyniosły zdobywca.

— Przywiodłem wam gości, — rzekł i, cofnąwszy się w cień, popchnął przed siebie czerstwego starca, odzianego w nędzne łachmany. — Wędrowiec o nocleg prosi. Spotkałem go u przełazu, — dodał, wchodząc za przybyszem.

— Pokój temu domowi i błogosławieństwo Pana Zastępów, — rzekł uroczyście nędzarz.

— Witamy gościa w zagrodzie Emanuela, syna Sofarowego, — powiedział ojciec.

— Masma Łazarzowy opiece Pana oddaje uprzejmych gospodarzy, — odrzekł przybysz.

Postawił w kącie wysoki kij pielgrzymi, brzegiem nędznej skóry wielbłądziej, którą zwieszała się z grzbietu, otrząpał pył z postrzępionych sandałów i skłonił się nisko.

— Powiedz, Jefe, starej Rebecy, że gościa na wieczerzę mieć będziemy, — rzekł ojciec.

— Bóg spłać!

Stary Emanuel posadził gościa za stołem i zapytał:

— Skąd idziecie i dokąd wola?

— Chodzę wszędzie, i tu tedy przyszedłem, — odpowiedział Masma i włożył w usta kęs chleba.

Prócz chleba zresztą niczego tknąć nie chciał. Popijał wodą i, wodząc wokół trzeźwemi oczyma, zdawał się spojrzeniem zazierać do serca. Lecz oczy te nie były złe. Były jeno zimne i doświadczone, oczy, dla których niema tajemnic ni niespodzianek.

A potem, gdy otarł kąty ust grzbietem kościstej dłoni i rozsiadł się wygodnie na ławie, jął prawić o ładach i morzach, które poznał w latach całodziwnej włóczęgi; z wyższością wszechwiedzenia mówił o ludziach, którzy są, i o tych, których już niema; o duszach, które nie szukając, odnalazły siebie i są

dostojne niewątpieniem i sobawładztwem, i o tych, co szukają, a znajdują siebie w dzień śmierci...

— Jam z tych drugich, bo moim udziałem życia droga wieczysta. Zszedłem świat cały: od Gazy do Damaszku, od Gebal do Hebron, od Akko do Kir Moab. Ja zawsze w drodze, mieszkaniem dróg. Nic mnie nie boli, bo wiem, że drogą zawsze gdzieś dojdę i zawsze coś znajdę, co, zrodzone z ognia i walki długiego szukania, nierównie bogatsze i szacowniejsze będzie od tego, co się w dłoń samo wsunęło, nieszukane. Nigdy nie traci, kto szuka, bo częstokroć ten, kto znalazł, z sił opada, jako że wierzy, iż ma już wszystko w dłoni; i sądząc, że znalazł już wszystko, traci to, czego jeszcze nie znalazł. A ten, kto bezustanku szuka, nie stracił jeszcze nic, bowiem wszystko jeszcze może znaleźć. Kto osiadł na polu szczodrzenia, stracił łan pszenicy; kto zajął się zbiorem owoców oliwki, stracił całe niezmiernie bogactwo winobrania. I gdyby każdy, idąc swoją drogą i znajdując, mówił sobie: „Dalej“, nie zabijałby człowiek człowieka, bo wszyscy ciągle szukając, nie zazdrościliby sobie dorobku znalezienia. Kto osiadł na polu szczodrzenia, zawidzi bratu, który przeto zajął łan pszenicy, jako że później od pierwszego powiedział sobie: „Oto mam“. Lecz najlepiej spocząć dopiero w dzień śmierci, bo plon wtedy najbogatszy — plon całego życia. Życie jest szukaniem. I wie się nie przeto, że się umiera, lecz przeto się umiera, że się już wie. Dalsze życie jest bezowocne, skoro nie spodziewam się już niczego. — A ja, Masma Łazarzowy, nic nie wiem i nic nie mam, bo ciągle idę tam, gdzie już nie można powiedzieć: „Dalej!“

— Nie, Masmó! — zawołał Józef. — Najbogatszy ten, który po drodze zagarnia wszystko, co się trafi: czy to pole szczodrzeńicza, czy to łan pszenicy, — i zaśmiał się, spoglądając bokiem na Jeftęgo.

— Tracisz czas w drodze, zatrzymując się przy rzeczach, które cię mało wzbogacą.

— A któż wiedzieć może, czy to, co na końcu drogi zdobędę, będzie warte tego, cobym po drodze sobie w sakwę nazbierał?

Masma rzucił ramionami i rozłożył ręce.

— Synu, a któż wiedzieć może, czy łan pszenicy nie zjałowiej?

— Wzbogacę wydajność gleby, nawiózłszy gnoju.

Podniósł się Masma i, wznosząc palec do góry, rzekł z półuśmiechem zwycięstwa:

— Wzbogacisz dorobek sobą samym.

I usiadł znów poważny, wodząc wokół doświadczonemi oczyma. — Jeftę łakomie pochłaniał te słowa zgmawatane i bogate, jak gałęzie owocowego drzewa i, szukając wyjścia dla tego ekstatycznego skłębienia widmowych zwidzisk, miotał się sercem w bezsilności i niemocy. Niekiedy zatracił siebie, stając się wszystkim żądzą chciwego schłonięcia tych myśli nasyconych i niepożywnych, jak rozpalony piasek. Oczami nad miarę rozszerzonymi błędził kędyś bardzo daleko i dziwił się, że jeno czasami ze zwichrzonego tumanu, jak jasnowidzenie, wychyliło się ku niemu coś tak blizkiego, iż, zdawałoby się, rękę tylko trzeba przed siebie wyciągnąć, by dosięgnąć celu, — a razem tak coś dalekiego, że ramiona opadały mu bezwładnie, a do oczu cisnęły się łyzy bezsilne. Błądził poomacku, naosłep rzucał się łapczywie zdrowym głodem ku obrazom wyrazistszym, co odbijały nęcąco

z chaotycznego bezładu i zdawał się je powtarzać szeptem i językiem przyciskać do zawartych zębów, by mu się snadź nie wymknęły podstępnie. Patrząc na Józefa, czuł jedno: by żyć, trzeba iść swoją drogą. Ma ktoś łan pszenicy, czy dziewczynę kochaną... nic to! „Dalej!“ — Lecz potem znowuż mijały go obojętne, odrzucające niekiedy larwy słów, mijały zimne, wyniosłe, niedostępne. Wtedy migały mu upiornie w oczach chwiejne, czerwone płomienie kopających świec, których dym czarny rozciągał się w długi, męcząco nieprzerwany pochód widmowych mar, przeginających lubieżnie swe potwornie szpetne cielska; z mocą brały się za przeguby rąk, w zawrotnem kolisku zataczały jakiś szalony płas powietrzny, krótki i dziki, jak wrzask opętańca, i z szyderczym, przeraźliwym chichotem wybiegały sznurem nieprzerwanym przez otwarte okno, precz w noc. — Znagła ocknął się, drżąc wszystek, jak łachman na wietrze. I znów tylko chygotały płomienie kopających świec, podrygując kurczowo, jak potworne karły.

Wracał zwolna myślą do życia z zapamiętania nieprzytomnego: siedział na zaszczytnem miejscu trzeźwy, mądry koczownik i mówił głosem przytłumionym, jakby dochodzącym do uszu Jeftęgo z dna grobu:

— ...O, czemuż ludzie nie pilnują swej własnej, sobie przeznaczonej drogi i czemu dobro życia zatrułi złem współzawodnictw i waśni?! Czemu nie mówią: „Dalej!“ w siebie zapatrzeni, lecz spozierający z ukosa i z zawiścią na przestrzeń, dzielącą ich od innych?! Nie stąd-że rodzi się zbrodnia, nie tu ma początek pierwszy oczu błysk krwawy i ściśniętych pięści obuch pogroźny?... Czemu ludzie nie

są na innych ślepi?! — Pierwsza krew polała się z zemsty. Pierwszy świst obucha w powietrzu wszczęła dłoń współzawodnika — o łaskę Pana... Stanęli dwaj bracia u swych ołtarzy, by ofiarować: Kain złożył na stosie z owocu ziemi, Abel zaś zabił owieczkę ofiarną. Podzęgli suchy chrust, nagromadzone na ołtarzach, bracia zwaśnieni, lecz Pan, chcąc dać świadectwo swej przychylności dla sprawiedliwego Abła, a gniewu na złego Kaina, przyjął mile Ablową ofiarę, a Kainową precz odrzucił ze wzgardą, dym ścieląc po ziemi. I wtedy zawrzał odrzucony gniewem przeciwko bratu swemu i ciosem potężnym obucha zabił go!

— Znam to — przerwał Józef, rozparty ufnie na ławie. — Nie poszłó im o dziewczynę?

Stary włóczęga spojrział Józefowi uważnie w oczy i nagle roześmiał się wesoło, rozkładając szeroko ramiona:

— Wilk zawsze myśli o owcy, a głodny o chlebie!

Krew uderzyła Jęftemu do głowy, czoło pokryło się kroplistym potem, a żyłami jęły przebiegać mroźne wiewy. Opadł ciężko na ławę i całym ciężarem skołatanej rozpaczony runął w namiętny szamot rozterki. Był jak drzewo, otrząsające się z próchna...

Z zapartym oddechem wsłuchiwał się w śmiertelne rżenie konającego, w jęk rozpaczliwie błagalny, dochodzący go gdzieś z bezedna: „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Mrowie dreszczu wstrząsnęło całym ciałem skrycie knującego, przed którego oczyma wykwitał zwolna krwawy kwiat utęsknionej zemsty. Bezustanku wracały mu przed oczy brudne plamy krwi, skrzepłej na rozplatanem ciemieniu i obuch, skąpany w posoce. Dał się bezwładnie unieść wi-

rowi, bezpamiętny, wpatrzony jeno uporczywie w siebie: widział się zimnym i bezlitośnie obojętnym na błagalne wołanie pomocy; niewzruszonym się widział, stojącym z posagową surowością, ze skrwawioną maczugą w kurczowo zaciśniętej pięści; widział się mitycznym mścicielem-zwycięzcą, tryumfującym nad zimnym zewłókiem wroga. I zdało mu się, że olbrzymieje, że wyrasta dumną głową pod niebo, że ramiona pęcznią mu niepożytą mocą, a uda krzepną w potężne kolumny z granitu. Stał się wyniosłym dla niewidzialnych oczu, olśnionych jego czarem boskiej niedostępności orlego gniazda nad zawrotną przepaścią. Był sobie, jak dziw rozpętanego orkanu, jak cudo grozy rozhukanych koni. Czuł się upojony sobą i oczarowany: sam sobie drogowskaz i cel, sam sobie bodziec i wykon. — „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Lecz zimny mściciel-zwycięzca wskazując na swój ołtarz ofiarny, rzecze: „Odrzucił z owocu ziemi. Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Był zdumiony i ogłuszony tą świętą niemal prostotą nagłego jasnowidzenia, co oslepiająco jasną błyskawicą rozświeciło mu noc poczucia miażdżącej krzywdy i lęklivego wahania.

Z założonemi na piersiach rękoma wpił się urągliwym wyzwaniem w zamglone sennością oczy brata, a pogardliwym uśmiechem litował się jego gnuśności.

Podniósł się i rzekł:

— Pójdę przyładzić na jutro żertwę. Złożę Panu z owocu ziemi.

* * *

Z podworca doszedł uszu Jęftego piskliwy, obtudnie przymilający się głos „wilczycy“, dziarskie gaworzenie kur i szelest rozsypywanych ziaren.

— Tiu-tiu-tiu-tiu-tiu...

Zachrypłym głosem zapiął kur, gdzieś odpowiedziała mu krótka i niezdarna próba dorastającego pisklęcia. Jęfte zwlókł się z postania i przetarł oczy. Z chaotycznego skłęb sennych marzeń, jak z mlecznej toni, wyprysnęła z nagłą jasną myśl przypomniała:

— Dziś!

Otrząsnął się ze złudy, jak ptak z porannej rosy i z twardą zaciętością niezłomnego postanowienia obciągnął na siebie odzież, znieładzoną wśród niepokojnego snu.

Czuł jasno i nieugięcie. Zaciął szczęki. Znów widział się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niepożytą mocą, o udach skrzeptych w potężne kolumny z granitu. Płomienny żar wewnętrzny rozpałał mu policzki, a myśl ustawiczna o niezłomności postanowienia hartowała i zwielokrotniała jego zaciętość. Dla zajętego jedną myślą świat okolny stał się czemś niepotrzebnym zgoła i stąpił się w jeden niedorzeczny obraz rzeczy zbytecznej, istniejącej jeszcze tylko z przyzwyczajenia: sad, stojący nieruchomo w świeżej przymgle wczesnego, bezsłonecznego jeszcze poranka, perłowo-modre niebo, prześwietlone ukrytem jakimś srebrem, rośne trawy, omotane jeszcze pajęczmi niciami roztopiającego się zwolna mroku, — całe to hałaśliwie czerstwe poczynanie się dnia wydało się Jęftemu podrzędną śmiesznością znudzonego starca, co nie umie wyrzec się zajęć, do których przywykł. Jęfte sam czuł się ośrodkiem niedającym się usunąć, biegunem nieodwołalnym, około którego całe dziś miało się owinąć, jak nić na kołowrotku obracającym się

z dziką szybkością około swej osi. Czuł się ważny postanowieniem swem groźnem i koniecznym, czuł się jakby boskim posłannikiem, oczekiwanym długo zwiastunem czynu, dławiącego dech w gardle i upojnego razem, jak niespodziane połączenie cielesne w niepewności schrony nawiedzanej licznie. Dzień ten wydał mu się dniem nieubłagane koniecznym, jakby od dawna przeznaczonym i przewidzianym w wyrokach boskich, dniem niemal świątecznym. Cała szara dal dnia wczorajszego i przedwczorajszego gubiła się przed jego oczyma, otulona mgłą jednostajności, zlewała się w głuchą nicość. Dopiero dziś, to dziś, jakieś inne, straszne i utęsknione, wyraźne i jasne, jak tarcza słoneczna, wybijało się oślepiającym światłem swego przeznaczenia. Z tej mlecznej toni życia nieważkiego, przeżytych dni nic nieznaających, ach, nie przeżytych nawet, lecz jeno przebytych, z szarości bezsilnych targań i miotań się bolesnych, dzień ten wykwitał, przejaśniony olśniewającym blaskiem.

Jęfte krzątał się starannie około stroju: nabrawszy wody, zlał strugą dłonie i obmył twarz, gładko przczesał włosy i przywdział odświętną odzież. Gotów do drogi, usiadł na ławie. Trząsł się wszystek. Lecz nie troskał się tą drżączką, bo zdało mu się, że cała fatalność dnia wstającego jest swoją nieodwołalnością niemal świętą, nie dopuszczającą wahań, ni wtórnych postanowień; że ostatecznej pieczęci nie zdoła nic, ani nikt przełamać, on sam nawet; że bieg tych przedziwnych swą nowością wydarzeń pójdzie niezmiennie wytyczonym już raz szlakiem, chociażby nawet wzdrygła się wola, a ramię osłabło w połowie drogi. Już widział czyn spełniony, już

żył nim raz podczas Masmowej opowieści, gdy zatracił siebie, a stał się jeno srożącym Kainem, co ma pomścić na bracie odrzucenie przez Pana ofiary; gdy wtopił się wszystek w Kainowe czucie dumy i godności potarganej w strzępy, w rozpacz poniżenia, gruzlącą serce odrzuconego wzgardliwie przez Pana Zastępów. Ten dym, ścielący się po rośnej trawie, czołgający się nisko, jak kopnięty nogą pies, ten dym ofiarny, pokorny i nieśmiały, niegodnie upokorzony i miażdżący schłostany pogardliwym szydem, — stał się dla Jeftego podniętą drogowskazu, łechcącym bodźcem odwetu. — I teraz nie był już bratem, nienawidzącym brata dla odjętej podstępnie dziewczyny, a stał się ofiarnikiem odepchniętym wyniośle, mszczącym poniżenia na ofiarniku, którego objął Pan mile przyjął. W głowie jego dzwonem w bezkres rozkołysanym krzyczała jedna myśl, pieniąca burzliwie krew: „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Jęfte gorzał i w zanadrze wsunął nóż.

Nagle piorunem złamała go druzgocąca wątpliwość: „A jeśli... jeśli... nie odrzuci?!“

Ścierpł wszystek od grozy możliwości niespełnienia zamysłu, którym już żył, którego już woła dokonał. Zbladł jeszcze bardziej, pot zimny oblał mu ciało, a na oczy padło mleczne bielmo, jak spadającemu w przepaść górską. Chwycił się za głowę i zatoczył, jak pijany.

— Nie, nie, nie, to niemożliwe... — wyjąkał drżącymi usty.

Struchlałego nawiedziły rozpaczne zwidzenia: przed oczyma jego rozciągała się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego, gubiła się w mgle

jednostajności, zlewała w głuchą nicość. Dalej znowuż mleczna toń życia nieważkiego, dni białych i nic nie znaczących, które należy znów przebyć wśród szarości bezsilnych targań i miotań się beznadziejnych.

— Nie! nie! nie! nie! To niemożliwe!

Skulił się i znalazł pod brzemieniem rozterki, jak pod ciężarem niezmiernego głazu. Tarzał się rozpacznie po ziemi i gryzł palce. Lecz nagle podniósł się na ręce, odgarnął z czoła kosmyki zlepionych włosów, potem wstał gwałtownie i butnie uniósł głowę; małe, bure oczy błysnęły mu żmijowymi językami gromów, a szczęki wykrzywiły się zacięciem nieustępliwej stanowczości.

— Musi odrzucić, musi! Cisnę mu w twarz bluźnierstwo świętokradcze, plunę mu w ślepia jademy szysterstwa, lekceważenia, pogardy!... Spalę mu w ofiarę trzewia zdechłej suki, lub cuchnące łachmany żebracze! Musi odrzucić, musi!

Piana wystąpiła mu na wargi, a całe ciało drżało, jakby z zimna. Wąż krzywdy świszcział mu w uszach. Kuszająca i groźna ponęta bluźnierczego świętokradztwa kusiła go jak przepaść, gnała go przed siebie i smagała rozpalonymi biczami. A na usta spływała miodlitewna prośba do jakichś bóstw, wyższych od Pana: „Oby odrzucił mą ofiarę! Oby odrzucił!“

— Jęfte, czyś już gotów?

Jęfte nabrał tchu w piersi i odrzekł wolno:

— Tak, jużem gotów.

Porwał swą codzienną odzież w drżące ręce i wywijał nią w powietrzu, jak wojennym znakiem na gruzach zdobytego miasta.

— Dam mu ją, a sobie złagodzę nową odświeżoną. Tak, dam mu ją.

Pędem skierował się ku stodołę, gdzie spał koczownik. Odchylił ciężkie drzwi i wszedł w mroczne wnętrze.

— Masmó Łazarzowy, śpisz?

Na szczycie stogu słomy ukazała się ascetyczna twarz włóczęgi.

— Już dzień? — zapytał głosem chrapliwym i gnuśnym od snu, przeciągając ramiona. — Ano, trzeba mi w drogę!..

Zagarnął zmierzwione włosy za uszy i zsunął się z kopicy.

— Zanim jednak ruszycie, przywdziejcie tę oto szatę, którą przeze mnie ojciec wam przysłał.

Masma spojrział na ofiarowaną mu odzież i pokręcił głową.

— Szatę? — powtórzył i skrzywił się, wzruszając ramionami. — Ej, nie! Mam strarą, a ta mi do grobu wystarczy. Trzydzieści już lat ją noszę: żal się rozstać...

Badał i przewracał odzież, podaną mu przez Jeftęgo, patrzył w nią pod światło i nagle z podziwem podciągnął siwe brwi aż gdzieś do połowy czoła:

— Godna szatka: nawet nie dziurawa!

Podniósł na Jeftęgo żywo oczy i zaśmiał się zcicha.

— Nieprawdaż? Godna królewskiego dziecka: nawet nie dziurawa! — Dając ją z powrotem, potrząsnął głową:

— Nie, to nie dla mnie — rzekł.

Cofając rękę, wzbraniał się darzyciel przyjąć znowu szatę z rąk starego włóczęgi i gwałtownie napierał:

— Weźcie, Masma, musicie wziąć, nie godzi się odrzucać podarku.

— Wziąć? — zastanawiał się koczownik. — Ha, wziąłbym ją nawet, ale... poco mi jej?...

— Wdziecie ją.

Masma wpatrzył się weń wąpiącemi oczyma.

— A cóż zrobię ze starą?

— Ostawicie starą dla mnie.

Oczy włóczęgi błysnęły tajonym śmiechem.

— Poco? — zdumiał się głośno.

— By... bym miał po was pamiątkę — wyjąkał Jeftę, patrząc w ziemię.

Chciałby jednym zamachem wywikłać się już raz z tych sieci. Był gniewny na siebie, że żarliwym naporem dawał możność snucia domysłów.

— Niech i tak będzie — powiedział obdarowany, jasno spoglądając na darzyciela.

Przewdział odzież i ostatek Jeftemu swój przegnęły, cuchnący potem łachman. Znajda porwał radośnie te strzępy, przyciskając je do piersi, jak skarb najcenniejszy, rzucił się w ciemny kąt stodoły i wsunął zdobycz w worek z ofiarną pszenicą.

— Hej, Jeftę! — zawołał z podwórca ojciec. — Śpiesz, Józef już czeka!

Pośpiesznie porwał wołany na ramiona wór ofiarnej pszenicy i wyszedł ze stodoły; a za nim wolnym krokiem postępował koczownik ze zmarszczoną namysłem twarzą.

Na dziedzińcu stał już Józef z ofiarną owieczką na barkach. Jeftemu mocno serce biło, gdy ojciec, kładąc dłonie na głowach odchodzących ofiarników, rzekł uroczyście:

— Oby Pan wejrzał na was i ofiary wasze!

„Oby odrzucił moją! Oby odrzucił!“ modlił się cicho knujący.

Ucałowali ręce ojcowskie, poważni i milczący.

— A wy? — zwrócił się Emanuel do Masmy. — Już dalej w drogę?

Schmurzony namysłem włóczęga skinął głową w milczeniu.

— Tedy Bóg prowadź! — powiedział ojciec, wsuwając mu w zanadrze kawał chleba.

— Dziękuję za szatę. Syn dał! — przypomniał Masma.

— Zedrzyjcie w zdrowiu! — życzył Emanuel, odprowadzając gościa i synów do wrót. — Już pewno nigdy się nie zobaczymy.

Koczownik przystanął i, wskazując kijem drogę wysadzaną strzępiastymi wiechciami akacyi, rzekł:

— Nigdy się nie cofam.

Znów ruszył i, śląc oczy w bezkres, dodał zcicha:

— Jeno dalej, dalej, przed siebie...

Jego oczy doświadczzone i schmurzone teraz namysłem, hardo patrzyły i wysoko.

— Z Bogiem! — zawołał ojciec, przystając u przełazu, i chwiał w powietrzu ku odchodzącym ręką drżącą i zylastą.

— Żegnajcie! — odkrzyknęli prócz Jeftego.

Ten milczał, czując ciężar w sobie. Dyszał ciężko pod brzemieniem wora ofiarnej pszenicy i męczących myśli. Zdrętwiałe nogi poruszały się, jak kłody. W ustach czuł cierpką czczość, jak posmak miedzi.

— Wy dokąd? — zagadnął po chwili włóczęga.

— Na leśnej polanie mamy swe ołtarze — rzekł Józef, przystając. — Wy drogą?

— Dla mnie i bezdroże jest droga, gdy niem idę — powiedział, nie patrząc na Jeftego.

— Tedy żegnajcie; tędy nam droga.

Bracia skręcili w leśną drożynę. Józef szedł przodem pewnym krokiem, a za nim, skulony pod ciężarem, włókł się zwolna Jefta. Nic nie mówili do siebie. Chrząścił suchy łom pod ich stopami, skąpanymi w wilgotnej od rosy trawie, niekiedy płaczliwie skarżyła się owca, znieruchomiona na barkach Józefa, lub zaszumiały poważnie szczyty sosen, ożywione wiatrem. Gdzieś w dymnym fiolecie leśnego wnętrza tłukł się dzieciół i gruchały dzikie gołębie.

Jefta patrzył uporczywie na swe stopy, migające przed jego oczyma w miarowym chodzie, i za każdym krokiem czuł głuche w czaszce dudnienie. Chciałby był przymknąć znużone oczy i wytchnąć, lecz droga wydłużała się w nieskończoność. Z wysiłkiem nadążał za nieznużonym bratem, a każdy przyśpiech jego dolewał kroplę goryczy do kielicha nienawiści, po brzegi już napelnionego.

Wyszli wreszcie na polanę, gdzie widniały dwa kamienne ołtarze ofiarne; każdy podszedł do swego i złożyli na ziemi ciężary. Jefta rozprostował grzbiet i wodził wokół oczyma, jakby zupełnie innemi, podczas gdy Józef szybkim ruchem noża rozplątał gardziel beczącej owcy. Na widok dymiącej się krwi, rozdał Jefta chciwie nozdrza i namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

Ruszyli w gąszcz po chrust. Jefta tulał się od drzewa do drzewa, z jakimś dzikim niemal pośpiechem, składając suchy łom na lewem ramieniu. Nagle zabrzmiały mu w uszach słowa starego kocz-

wnika: „Dla mnie i bezdroże jest drogą, gdy niem idę.“ — Staął. Cemu stary Masma to powiedział? Czyżby się domyślał? Lecz czemu pragnąłby go jeszcze pobudzić?

— Dla mnie i bezdroże jest drogą... — powtórzył Jęfte pół-głosem. A po chwili znów dodał słowa dziwnego starca: — Nigdy się nie cofam...

I dotykalnie niemal zjawiała mu się surowa i rozumna twarz włóczęgi, jego oczy trzeźwe i doświadczone, spozierające w głąb serca.

— Jęfte! — zawołał Józef rubasznie z polany. — Czyś się powiesił na suchej gałęzi?...

Ocknął się, a szyd skrzepił go i zaciął. Syknął wściekłością i znów uczuł się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niepożytą mocą, a udach skrzepłych w potężne kolumny z granitu. „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“

Twardym i stanowczym krokiem wyszedł na polanę: Józef już podpalał żertwę, złożoną na stosie. Jęfte wpatrzył się bez tchu w prosty pień dymu, wznoszący się z Józefowej ofiary i poraz drugi namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

— Przyjął... — szepnął i otwartymi ustami wchłoniął łakomie powietrze woniejące żywicą.

Zgarnął chrust na ołtarz i, zastłoniwszy sobą stos, wydobył z wora cuchnący łachman żebraczy, przysuwał go warstwą pszenicznego ziarna i wtedy znów ciężko westchnął, niby pod ciężarem klątwy nieodwołalnej konieczności: „Stało się!...“

Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a w głowie huczały dzwony, rozkołysane w nieskończoność, waliły spizem serc w obolałą czaszkę i du-

dnęły w uszach głuchym pomrukiem przestrogi: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!“

Jak nieprzytomny, drżącymi palcami skrzesał ogień i słyszał, jak całe okole, wiekowe drzewa, strumienie leśne i leśne strachy ponocne rozkrzyczały się tysiącami grzmiących głosów: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!“ Lecz od den najgłębszych jego istoty odpowiedział głos surowy: „Nigdy się nie cofam!“

Zatrzeszczał zapalony chrust. W czarnych kłębach dymu, snującego się chytrze między suchymi gałązkami, przeświecały niekiedy krwawe błyski ukrytego płomienia, które znowuż przygasały. Nagle buchnął jasny ogień, okrążał łom zdradliwie płochliwymi językami, zagarniał zachłannie przestrzenie coraz większe, czasem z podstępem udaniem cofał się, zaczynał chyłkiem w gąszczu zamotanych gałęzi i wypadał silniejszy, tarzał się, jakby wśród rozkosznych bólów, syczał, wysysając tajemne soki, aż wreszcie rozpętał się nieokiełznaną, wszechwładną mocą żywiołu.

Odstąpił Jęfte wstecz i z zapartym oddechem śledził dym wznoszący się z ołtarza. Zatchnął się w oczekiwaniu. Nagle oczy zaszyły mu mgłą, głowę owiał mętny tuman ogłuszenia; cofnął się i, ze zdumieniem rozprężając skostniałe ramiona, całą pierśią rzucił w niebo krzyk przeraźliwy:

— Przyjął! Jednak przyjął!

Ze stosu wyrastał ku niebu prosty słup dymu.

Zatoczył się bluźnierca ze śmiechem, potrząsając szyderczo dłonią ku błękitowi:

— Niedobrze tam już snadź, niedobrze! Wszystko bierzesz na swą chwałę, byle kadzidło, byle dym, o, niewybredny!

Trząsł się wszystek ubezwładniającym spazmem śmiechu.

Z leśnego gąszcza nagle wynurzył się stary włóczęga.

— Przyjął, starcze, przyjął Pan twe łachmany w ofierze! — zawołał doń Jęffe, zanosząc się od śmiechu.

Twarz starca pogodna była, rozjaśniona uśmiechem dobrym i pobłażliwym.

— Nie łachmany moje, lecz twoją ofiarę, — rzekł spokojnie. — Chcąc bluźnić, synu, ofiarowałeś. A kto królowi w myśli jeno złorzeczy, kornie głowę kłoniąc, ten strachem hołd jego mocy składa.

— Lecz łachmany, starcze! — Cuchnące łachmany! — zawołał Jęffe, patrząc rozszerzonymi nieprzytomnie oczyma. — Czemu nie strzelił we mnie gromem, ani nie zawołał: „Jęffe, cóżeś uczynił?!“. Czemu na znak gniewu nie rozścielił dymu po trawie?...

— Święty ogień łachmany oczyścił, a Pan przyjął oczyszczone... mimo twą wolę.

Zachwiał się Jęffe i, przylgnąwszy plecyma do pnia drzewa, tarł dłonią czoło. „Co teraz tedy, co teraz?“ wołał w nim bezradny skowyt rozpacz. I znowuż przed oczyma przyjętego niespodzianie ofiarnika rozciągnęła się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego... głucha nicość bladych dni... Boże! Boże!... Wróci do domu z pochylonem czołem, jak winowajca — bezwinny. — Nie, wróg musi umrzeć!

Podniósł oczy i ujrzał brata, stojącego w cichem bezprzecuciu przed swym ołtarzem, z twarzą ukrytą w dłoniach, i pogrążonego w modlitwie. Nie miał

sily... „Pan przyjął!“ Wszystkie władze jego, zbyt długo spiętrzone w groźny słup gniewu, zmiotczyły, opadły, rozlały się, jak woda.

Lecz znowuż szarpnął nim piekielny ból i zajęczało w uszach straszne pytanie: „Co teraz!“ Padł bezwładnie na ziemię i zawył krwawym szlochem, wgniatając w policzki zaciśnięte pięście. „Co teraz, co teraz?!“ — Jednak nic nie widział. Szarość, szarość bez kresu i dojmujący ból — i wstyd!... A!

Znagła targnął się, jakby rwąc krępujące go więzy i dzikim ruchem wyrwał nóż z zanadru. I odtrącając starca grozą obłąkanych oczu, stanął hardo, z twarzą wzniesioną w niebo.

— Przyjąłeś te strzępy, przyjąłbyś padlinę zdechłej suki... to przyjmiesz i ścierwo bluźniercy! — zawołał dzikim, chrapliwym śmiechem szaleńca i wtłoczył sobie nóż w serce krótkim, lecz mocnym zamachem.

Krwia zbaczony padł martwy u stóp ołtarza.

AJAKSY DWAJ



ie widzieliście chyba człowieka, któryby zacierał ręce tak serdecznie, gorąco i upojnie — któryby rano wstawał z takim rzeźwym porywem ochoty, jasności i zadowolenia. Gdy było słonecznie i złoto, wybiegał ze śpiewem, odziany w jasną narzutkę, pozdrawiając ciepło wszystko, na co się natknął; gdy dzień był słotny i ponury, zmieniał tylko jasną narzutkę na płaszcz gumowy. Poza tem wszystko było tak samo: i śpiew i czuła tkliwość dla wszystkiego, co spotykał. Wtulał brodę w nastawiony kołnierz palta i śmiał się do siebie rozkosznie, szczęśliwy z deszczu i gumowego płaszcza. Boć wszystko na tym dobrym świecie składa się przecież tak cudnie mądrze ku radości i wygodzie człowieczej; wszystkiemu można zaradzić i zawsze znajdzie się jakiś wymysł boski lub ludzki na każdą sprawę. Na deszcz jest płaszcz gumowy, parasol i kalosze; w urzędowym biurku jest wygodne pomieszczenie dla nóg; każdy gwóźdź ma swą dziurę w ścianie, a każda oprawa swą książkę. Wielu rzeczy wiedzieć nie potrzebujesz i spać możesz spokojnie, bo są tacy, co wiedzą. Żeby są po to, by gryźć nimi rzeczy twarde, kluczem otwiera się szuflady, do rękawów wkłada się ręce, w krześle jest oparcie dla pleców, a nawet — ho! la-la! ho! la-la! —

istnieją trójkąty przystające! Może być coś pięknieszego nad przystające trójkąty?

Edmund Ajaks był wdzięczny rękawiczkom, że mają po pięć palców, tak zmyślnie i dokładnie przylegających; w ekstazie radosnego upojenia dziwował się i błogosławił małżeńskiej spólnocie szyn kolejowych i kół; a nieraz, doprawdy, aż płakać mu się chciało ze wzruszenia, gdy patrzył na symetryczne i szczelne ułożenie parkietów posadzki. Bo dla Edmunda Ajaksa był świat prawidłowym deseniem, gdzie każdemu wzniesieniu odpowiadało zagłębienie, gdzie wszystko zazębiało się czarodziejsko, jak w maszynie zegara. Był dumny, że żyje w świecie tak rozumnym, wierzył w wszechmoc Boga i ludzi i wszystko było dlań jasne i regularne.

Gdzie był tedy, uśmiechał się. Bo wszystko jest dobre i mądre. A jest co złego, to już tam ktoś zło niechybnie naprawi, nie bójcie się! Jo-ha! hi-johaj! Są ludzie mądrzy i sprawni! Wszystko jest dobrze!

Niczem się nie trapił i nie kłopotał. Chciał być tylko punktualnym zębem w wielkiej maszynie, by w czas trafić na swe wyżłobienie, a gdy trafił, podziwiał mądrość bożą. Jego twarz szeroka i śniada, o płaskim nosie i mięsistych wargach, była zwierciadłem, w którym odbijała się cała ta harmonijna równowaga władz duchowych. Była w niej przejrzystość i jasność czysto zapisanej karty, otwartość gospodniej bramy i syta pełnia stodoły pod jesień. Miał w oczach ciepłą i bezpieczną ufnosć kota na przypiecku, a w ruchach szeroką serdeczność ramion, nawykłych do rozdzielania wokół uścisków przyjaznych. Był niewinny, jak trawa, a łagodny

i bezbronny, jak chore dziecko. Z chłopięcych, robinsonowych lat, gdy marzył o Indyanach, został mu tylko długi nóż, tępy i bezpieczny, jak drewniana szabelka. Nożem tym wyskrobywał plamy atramentowe.

* * *

— Panie Edmundzie, panie Edmundzie!

Ileć go ktoś w biurze zawołał, Edmund Ajaks, choć nie wiedział, w jakim go przyzywano celu, uśmiechać się poczynął.

— Czy potraktuje mnie pan papierosem?

— Ajaks nie pali przecież, wtrącił z kąta jasny staruszek.

— Lecz papierosy do traktowania nosi zawsze przy sobie, z czego ja korzystam, jak z powietrza — mówił biedny ojciec licznej dziatwy. — Pan Edmund jest na tyle dobry, że zawsze... Ostatni? Nie, dziękuję. Nie wiedziałem, że ostatni. Napewno dziękuję.

— Czem chata bogata, tem rada, — zapraszał dobrotliwie Edmund Ajaks, wtykając mu papierosa w rękę. — Bądź pan łaskaw wziąć.

— Ajaks jest romantyk: sam nie paląc, nosi papierosy do traktowania nimi innych.

— To jeszcze nic. Pan Ajaks znał pewnego starego kawalera, który grał na skrzypcach i skarzył się ustawicznie, że nie ma z kim grać we dwójkę, a tak strasznie lubi duety. I cóż powiecie, druhy serdeczne?! — pan Ajaks zaczął się dla niego uczyć gry na skrzypcach!

— I grali duety?!

— Grali. Ale nie z panem Edmundem, bo stary kawaler wkrótce potem się ożenił.

— A pan Edmund?

— Był na ich weselu, a na prezent ślubny posłał im drogocenne skrzypce.

— A sam gra dalej?

— Już więcej nie grał. Bo poco?

— Gra, gra, gra! Nawet koncertuje! Daję słowo!

— Kiedy? Odkąd?

— Ależ, ależ... — bronił się Edmund Ajaks.

— Gra, gra, gra! — wykrzykiwał starannie uczesany wytwornis, wywijając tryumfalnie w powietrzu płachtą dziennika. — „Dowiadujemy się, że do naszego miasta w przejeździe z Petersburga do Konstantynopola zawita na jeden koncert mistrz światowej sławy, Edmund Ajaks...” — czytał głośno, broniąc dziennika, który chciano mu ciekawie wydrzeć. — Daję słowo!

— Pan Ajaks?! — skupiała się gromada biurowa wokół gazety.

— Ależ to nie ja! Ani nie jadę do Konstantynopola, ani nie jestem z Petersburga.

— No, pewno, że nie pan.

Spokojnie odczytano teraz ponownie kronikarską wzmiankę i powoli rozchodzono się do swych biur.

— To pański krewniak?

— Imiennik pewno tylko. Bo żaden krewniak.

— Słyszałem go w Monte Carlo, — odezwał się głuchy eksoficer. — Ho-ho! — cmoknął w dwa palce: — Wirtuoz dyamentowy.

— Dyamentowy?

— Dyamentowy. Wtedy to, proszę panów, zdarzyło mu się srogie nieszczęście: gra Bacha i w po-

łowie zapomina. Zaczyna drugi raz i znowuż w tem samem miejscu — stój! — Ani rusz. Skandal!

— To musiało być hecowne!

— Hecowne? — Eksoficer się obraził. Odwrócił się do ściany... nagle rzucił się dziko i krzyknął:

— Mnie jakby kto w pysk dał! Fi, hecowne! Wyjśćby chciało się co prędzej, a tu wszyscy z otwartymi gębami czekają i spojrzeć sobie w oczy nie śmieją. Taka sława! Niczem Paganini, Yssaye, Burmester... Z Morges przyjechał go posłuchać Paderewski. Aż tu macie nowość: zapomniał. No, po prostu zapomniał, jak się zapomina czyjegoś nazwiska. Opuścił smyk wzdłuż ciała i ze skrzypcami pod brodą stoi i gapi się na żyrandol, blady, społniały, jakby miał trupem paść. Paderewski, który siedział w pierwszym rzędzie, wiadomo, człek nerwowo, próbuje gwizdaniem przypomnieć mu dalszy ciąg. Gwizdże dwa — trzy takty. Ajaks nic, stoi i gapi się na żyrandol. Upływają straszne dwie minuty, które wydają się rokiem. Kilku głupich Szwabów śmieje się pod ścianą, zapite, czerwone mordy piwowarów. Ajaks na nich patrzy, istny trup, tylko położył go do trumny. Patrzy i mruga oczyma, jak dureń z otwartą gębą. A skrzypce ma ciągle pod brodą. Stania się trochę na nogach i mówi: *Excusez, je suis malade...* A wargi jakby posmarowane węglem. *Excusez, je suis malade...* Kilku tych opasłych Niemców zaczyna klaskać w ręce. Nie ze złości nawet, z głupoty. Ucisząją ich sykaniem. Jakaś rosyjska hrabina dostała spazmów, musieli ją wynieść, bo krzyczała i płakała. Ja trzymałem się obu rękami krzesła, jak na fotelu dentysty...

— A Ajaks? Cóż Ajaks?

— Powiedział: *Excuez, je suis malade*, i upadł.

— Zemdlął?

— Zemdlął.

— Dobrze, że to nie ja byłem! — zatarł ręce Edmund Ajaks, uśmiechając się do kasztana za oknem.

— A ów Ajaks — ciągnął eksoficer — ów Ajaks, trzeba panom wiedzieć, jest piekielnie ambitny. Po tem zdarzeniu coś z dziesięć razy przeszkodzono mu w odebraniu sobie życia. Ale to już lata! Zapomnieli i Ajaks znowuż jest sławny. Ale pono nigdy nie gra Bacha. Obraził się na Bacha.

Krzykliwym śmiechem zakończył eksoficer swoją opowieść i zasiadł szeroko do biurka, wydymając poważnie wargi. Zaskrzypiały miękkie, pracowite pióra, ktoś zakaszał, opluwając przed sobą papiery, za oknami turkotały wozy.

Biedny ojciec licznej dziatwy był dziś rozmowny. Rzekł:

— Nieraz wielkie ambicye gotują przedwczesny grób. A w najlepszym razie niezadowolenie i gorycz. Przeciwnie, cicha praca jest błogosławioną piastunką światłej równowagi, spokoju duchowego i łagodnego ukojenia. Jest to wniebowzięcie w czterech ścianach.

— Myślę to samo — pokiwał żarliwie głową Edmund Ajaks.

— Jest to dosyć smutne, ojczulku, co pan mówi — przerwał z westchnieniem cichy, melancholijny wielkolud.

— Czemu smutne?

— Wygląda na rezygnacyę i chęć osuwania czegoś, co z swej natury jest dzikie. Ten, któremu gotują grób przedwczesny, to zapewne orzeł. Chcia-

łoby mu się przyciąć skrzydeł, by nie latał, i z drobiem puścić na podwórko. To jest właśnie smutne.

— Któż chce orłom przycinać skrzydeł? — stanął Ajaks w obronie „ojczulka”. — Niech one sobie tam, jak to się mówi, bujają popod chmurami i co im z tego? Także czeka ich koniec. Chciał wiele, a choćby dopiął swego, tak samo zginie, jak wszystko inne. I cóż z tego jemu i światu? Miał tylko więcej męki, a mniej chwil spokojnych. Któż nie ma prawa żyć dla swego zadowolenia. Lepiej przestawać na małym i umieć to czynić.

— Prawda, — westchnął cichy, melancholijny wielkolud — umieć to czynić, to szczęście. Lecz jeśli kto nie umie?

Edmund Ajaks rozłożył ramiona.

— Niechże żyje wedle swego widzimi się. Lecz za swe niezadowolenie nikogo niech nie wini. Tylko swoją nieskromność.

Cichy, melancholijny wielkolud wsparł rozczochraną głowę o olbrzymią pięść i patrzył ponuro w ziemię. Nie podnosząc oczu, rzekł:

— Pan jest szczęśliwy.

Edmund Ajaks zatarł ręce i zaśmiał się:

— Znalazłem swe miejsce i trzymam się go rękami i zębami.

— A pragnień nie ma pan żadnych? — spojrzał z podełba wielkolud.

Ajaks, jakby się zawstydził, skrył oczy za powiekami.

— Chciałbym, by wszystkim było dobrze — odrzekł. — Ja nie jestem sentymentalny, ale, naprawdę... smutne twarze...

Urwał i zwrócił się do okna.

— Dlatego jest pan taki dobry — powiedział z kąta jasny staruszek.

— Chciałby pan, by ludziom było dobrze — ciągnął dalej melancholijny wielkolud. — A czemu odmówił pan awansu? Czy panu jest tak dobrze?

— Mnie? — zdziwił się Edmund Ajaks. — Mnie jest aż za dobrze. To, co mam, wystarcza mi. Są inni bardzo potrzebujący, a ja mam wszystko. Dlatego odmówiłem, proponując, by mój awans dano... komu innemu. Ja nie potrzebuję.

— A nie mówiłem, że Ajaks jest romantyk?!

— I sądzi pan, że dobrocią zarobi pan na ludzką wdzięczność? — zapytał z posępnym szyderstwem oksoficer, dając westchnieniem do zrozumienia, że zawiodł się niegdyś boleśnie na wdzięczności.

— Któż mówi o wdzięczności? — odparł Ajaks. — Nie na wdzięczność zarabiam, a nawet nie chcę wdzięczności. Raz, wie pan, opiekowałem się pewnym szewcem. Nędza potworna, chora żona i dzieci kiedel pokazy. Niejeden grosz tam wetknąłem, aż postawiłem na nogi: szewczyna zaczął zarabiać. Jeszcze co pewien czas, w krytyczniejszych momentach, pomagałem kolorowym papierkiem... Przychodziłem i radość mnie rozpierała, gdy patrzył, jak dźwigać się wszystko poczynano tam ku życiu. Niby trawa przydeptana rozprostowuje się w słońcu... Potem już i wspomogi mej nie potrzebowali, a ja jeszcze chadzałem tam, by spojrzeć i w cichości serca tryumfować. Może za często, bo raz zniecierpliwiony szewczyna zwymyślał mnie. Powiedział w gniewie: „Cóż to pan se myślisz, że ciągle nachodzić mnie będziesz za tych kilka marnych papierków?!“ Rozradowała mnie ta jego bezinteresowność. To była bezintere-

sowność, czy pan to rozumie? Dopiero wówczas — ha! ha! ha! — naprawdę się ucieszyłem! Zwymyślać swego dobroczyńcę! Czy pan to rozumie? Niezwykle dobry i zacny człowiek!...

— No i oczywiście nie pokazał się pan tam więcej?

— Przychodziłem czasem wieczorem i przez okno zaglądałem cichaczem do warsztatu. Był tak zajęty, że ani nie myślał spojrzeć w okno!...

Edmund Ajaks śmiał się, jak dziecko i, wspiąwszy ramiona aż po uszy, zacierał gorąco dłonie.

— Inny byłby się kłaniał w pas, łapy lizał i jak pies skomlił obrzydliwie.

— Pan jest z wszystkiego zadowolony. — Cichy, melancholijny wielkolud wzruszał ramionami. — Wszystko dla pana jest zrozumiałe. Powinien pan Bogu dziękować za dar optymizmu.

— I dziękuję.

— Chodzi pan do kościoła?

— Chodzę. Czemu pan się śmieje? Przecież kiedy się człowiek napatrzy wszystkiemu wokół, jakie to dobre i mądre... trzeba gdzieś pójść wypowiedzieć swą radość i wdzięczność. Ja chodzę do kościoła ze zbytku radości. Gdy się jest bardzo szczęśliwym... pan to rozumie... czuje się potrzebę uściśnięcia komuś dłoni...

Edmund Ajaks miał w tej chwili oczy bardzo przyjacielskie.

* * *

Szedł, skromnie lecz czysto odziany, wyprostowany, jak żołnierz na straży. Z pod kapelusza zasa-

dzonęgo głęboko na oczy, jak czapka-niewidka, patrzył w świat tajemniczo i dziecinnie.

Na rogach ulic przystawał, by rozejrzeć się wokół, i szedł dalej. Bawił się. Wyobrażał sobie, że jest plantatorem kawy i idzie obejrzeć plony. Szeroki kapelusz słomiany ma na głowie, w ręku trzcinkę, a u nóg wyża. Idą szeregi nagich murzynów z koszami kawy na głowach. Jak na obrazku. Dużo słońca i zieleni egzotycznie bogatej. Przystanie na żółtej ścieżynie i zapyta o coś strażnika, uderzając trzcinką o łydkę z nonszalancką pewnością siebie. Nie wie, co strażnik odpowie, ale z pewnością będzie stał wyciągnięty, jak struna, z czapką uniesioną w dłoni. Zaczem pójdzie dalej.

Tak marząc, kroczył wyprostowany, jak żołnierz na straży. Naiwna powaga i zaduma zjawily się w siwych oczach; a w uśmiechu ust było rozkochanie bezpamiętne. Bo Ajaks kochał się w odludnych marzeniach o przygodach, śnił o wschodnich miastach portowych, pełnych ludzi różnobarwnych i stującego gwaru.

Znowu przystanął i rozejrzał się z pod kresy kapelusza, nasadzonego głęboko na oczy, jak czapka-niewidka. Ujrzał na ścianie duży napis, głoszący czerwonymi literami jego nazwisko. Zbliżył się czujnym krokiem, a wnet potem uśmiechnął. Był to program koncertu jego imiennika słynnego. Saint-Saëns, Beethoven, Mendelssohn... a Bacha istotnie niema. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Usiłował powrócić do swych plantacyi kawy. Nie udawało się: był ruch zbyt żywy na ulicach i hałas rozgłośny, godzina zmroku i przechadzek. Ajaks kręcił się po ulicach, gdy znów wpadł mu

w oczy napis czerwony: Edmund Ajaks. Przystanął i teraz znowuż. Jutro w Filharmonii... Zresztą wszystko jedno. I tak nie pójdzie.

Zapiął palto, bo poczynalo być chłodno. Szedł gładko ku domowi i pogwizdywał sobie z cicha figlarną strofę o pannie Ludwice, bez której nie obeszła się żadna „muzyka“. Skręcił w zaułek i przez okno zajrzał do bezinteresownego szewca. Poczem poszedł do domu.

Edmund Ajaks schował brodę w kołnierz, jakby się chciał przytulnie w sobie zadomowić, i marzył po chłopięcemu słowami z opisów podróży. Więc był kolejno eksploatatorem guano na wyspie odludnej, agentem handlowym wszechświatowej firmy, członkiem ekspedycyi podbiegunowej i uczestnikiem afrykańskiej wyprawy Roosevelta. Przypomniało mu się skądś słowo ljanya, a potem liny okrętowe i był już marynarzem.

Było mu w duszy śpiewnie i junacko. Nie zapalając światła, maszerował wokół pokoju wojskowym krokiem, trąbiąc półgłosem. Zmęczywszy się, zapalił lampę i począł majstrować dziwaczną piłeczką około kasetki. Obstawiał stół bezlikiem stolarskich narzędzi, deszczułkami i przyrządami do wypalania w drzewie. Gwizdał już z rzadka, gdy przechodził przez pokój, by poszukać czegoś na etażerce, lub kiedy podnosił głowę z nad roboty i przerzucał graty na stole. Były to hejnały beztroski i pastuszej swobody, którą czuł cichy pracownik. Bo było mu lubo w czterech ścianach, gdy myślą wolną snuł stepowe sny o dzielnem życiu w namiocie.

— Panie Edmundzie, kolacya! — zaśpiewała z za drzwi pani Hełmowa. — Herbata na stole.

Znane hasło. Poważnym krokiem przeszedł Ajaks do mieszkania gospodyni. W drzwiach skłonił się uroczyście i zasiadł do stołu.

— Czytałam dziś wielkie plakaty — zaczęła podstępnie panna Dunka.

Pani Hełmowa spojrzała na córkę uważnie, oczyma osoby, niedobrze słyszącej.

— He?

— Czytałam na mieście plakaty — powtórzyła córka głośniej.

— M-hm — skinęła bezmyślnie głową pani Hełmowa i jadła dalej.

Ajaks zrobił zdziwioną minę.

— Kto umarł? — zapytał.

— He? — podniosła matka głowę z nad talerza i patrzyła na usta Ajaksa.

— Panna Dunka czytała plakaty — głośno telefonował Ajaks.

— M-hm...

— Nikt nie umarł. Ale za to będzie koncert.

— Koncert?

— A tak, koncert — przekomarzała się dziewczyna.

— A, pewno Edmunda Ajaksa! — uciął nagle Ajaks i roześmiał się.

— Tak, tak... Czy to pański krewny?

— A może to ja sam?

— Eee... — niedowierzająco kręciła głową.

— A może — uśmiechał się figlarnie.

Nagle spoważniał i odstawił talerz.

— Rozumie się, że nie.

Począł szybko mieszać herbatę, patrząc w niepokojną, lejącołą powierzchnię piynu. Spojrzał z pod brwi na pannę Dunkę i roześmiał się.

— A Bacha nie gra naprawdę.

— Bacha?

— Tak. Dał mu się pomylić; ale zapomnieć!

— Pan śpi...

Edmund Ajaks śmiał się serdecznie i opowiedział pannie Dunce przygodę z Monte Carlo. Opowiedział humorystycznie i źle. Pomieszał Paderewskiego z zapitymi Niemcami, biednego koncertanta ośmieszył. W końcu zaś zapomniał owego zdania po francusku i nie mógł go w żaden sposób powtórzyć. Trochę go to zbiło z tropu, ale wnet odzyskał znowu humor, tembardziej, że i panna Dunka nie umiała po francusku.

— Jednem słowem... — chciała zakonkludować, lecz nie mogąc znaleźć stosownego wyrażenia, zmrużyła tylko szelmowsko oczy.

— ...Kompromitacya — pomógł jej Ajaks.

Po chwili rzekła, westchnieniem litując się doli nieszczęsnego skrzypka:

— Ale to nieładnie śmiać się z cudzego niepowodzenia.

Zapewne, niepowodzenie do śmiechu się nie nadaje. Zresztą nie było to nawet wcale komiczne. Człowiek, który mu owo zdarzenie opowiadał, zastrzegł się z oburzeniem i całkiem wyraźnie, że nie było w tem nic hecownego. Rzekł z żołnierską dobitnością: „Mnie jakby kto w pysk dał“. Pamięta dokładnie. Pewno, śmiać się z nieszczęścia nie należy, bo może się ono zdarzyć każdemu. I we wszystkim. Mocno żałuje, że panna Dunka mogła go uważać za złośliwego. Bo właściwie nie śmiał się ze swego biednego imiennika. Ot, po prostu śmiał się, bo lubi się śmiać. Wszak wiadomo. I panna Dunka wie do-

skonale, że on ma tylko takie wesołe usposobienie. Cóżby mu ostatecznie zależało na ośmieszeniu skrzypka? Bóg z nim.

— Cóż pan taki protekcyjnalny?

Protekcyjnalny. A w końcu nic mu na tem nie zależy: Ma sprawy pilniejsze do załatwienia. Czekają masa pracy. Dobranoc.

Znów skłonił się uroczyście (lubi być uroczysty) i wrócił do siebie.

Był może trochę niezdrowszy, bo śniły mu się w nocy rzeczy wielce niemiłe. Zazwyczaj nic mu się nie śniło. Dawno, dawno, w dzieciństwie jeszcze, straszły go upiorne sny o Maćku ze słynnego krakowiaka: „umarł i leży na desce. Ale taka u Maćka jest dusza, że choć umarł, to się rusza“. Bał się wówczas panicznie widoku trupa, ruszającego się na desce i zbudziwszy się z krzykiem, płakał wśród nocy. Dziś znowu przyśnił mu się ów Maciek. Skrzypce miał pod brodą i smyk w dłoni opuszczonej wzdłuż ciała. Leżał na desce, a nad nim pochylał się, niby lekarz, wysoki pan o wielkiej, ryżej czuprynie i szeptał: „Trup, istny trup, tylko połóż go do trumny“. A Maciek ruszył nogą, otworzył oczy i szepnął: *Excusez, je suis malade...* I poznał w nim Edmund Ajaks siebie. Leżał na desce, nie mogąc się już poruszyć, jak w letargu i myślał: „To moje biedne ciało, biedne ciało. Od stóp do głowy, to ja“. I wysilał pamięć, by sobie coś przypomnieć, coś bardzo ważnego. Męczyło go to niesłychanie. A potem pan o wielkiej ryżej czuprynie, począł gwizdać. Wreszcie roześmiał się krzykliwie, i odchodząc precz, rzucił do otaczających go opasłych grubasów: „Obraził się na Bacha“.

Ajaks zbudził się spocony i odetchnął: był to tylko sen. Wstał z ulgą i długo mył się w zimnej wodzie. Idąc do biura, a potem z biura do domu, śmiał się do czerwonych napisów, głoszących nazwisko słynnego skrzypka.

Pogodnym wieczorkiem wyszedł lekko na miasto — uśmiechnięty plantator kawy. Grzecznie mijał różowe dziewczątka i rad z siebie z fantazją wywijał laską. Śmiały się do niego szeroko otwarte okna mieszkań, wesoło dzwoniły tramwaje, a nad domami zachodziło sobie po wiejsku słońce. Na rogu ludnej ulicy grała katarynka.

„I bądź tu pesymistą!“ — pomyślał swawolnie Edmund Ajaks, suwając zgrabnie obcasami po bruku. Wypiął piersi i narzutkę przewiesił przez ramię. Ho! la-la! ho! la-la! jest się Edmundem Ajaksem i ma się dziś koncert w Filharmonii, bo tak głoszą afisze. Tylko, że na tym koncercie nie będzie — Edmunda Ajaksa. Wyśmienite, ha! ha! ha!

Szedł pierwszorzędnymi ulicami i nie spotykał znajomych. Wszyscy byli dlań dziwnie obcy, niezbadani, a nawet zgoła nieprzecuci. Kobiety były piękne, niepewne i roztrzepane, mężczyźni głacy, troskliwi i przymilni. Niektóre panie szły prędko, mając osłonięte lekkimi szalami misternie uczesane głowy. Szeleściły wieczorowe suknie jedwabne. Szły na koncert.

— Dobrodzieje szanowni, dobrodzieje! — jęczał przyklejony do muru żebrak, wyciągając daleko od siebie rękę suchą i brudną. W głosie jego drżało błaganie trwożliwe obok ponurej groźby, skowyt bolesny obok mrukliwego warczenia. A ręka sterczała, jak dotkliwy wyrzut, natrętna i nieustępliwie harda, równie

mogąca schwycić z łapczywością rzucony grosz, jak i zadać cios złośliwy i niespodziany.

Obok, drogą jezdnią, toczyły się nieprzerwane szeregi paradywnych powozów, przebiegały z przerażliwym dzwonieniem przepełnione tramwaje, ciskając z pod kół fioletowe ogony błyskawic.

Ajaks był oszołomiony i zahuczany, jak w młynie. Stał się czemś poza sobą, kłoda niemyśląca i nieczuła, wypełzła chorągwią, którą wiatr targa, gdzie zechce. Dał się unieść ludzkiej fali w alejowe szeregi kasztanów. Przed jego oczyma, jak sznury pereł drogocennego naszyjnika, błyszczały dwa szeregi latarni, zakończone bogatą fasadą kolumnową dostojnie przysiadłego gmachu; tam łagodnym fioletowym i pomarańczowym światłem płonęły słońca łukowych lamp, jak wierna i zaufana straż.

U drzwi wchodowych raz jeszcze, jak przez mgłę, pozdrowiły go znajome czerwone litery, poważniejsze, niż przedtem, zdające się ponętnie przynaglać do pośpiechu. Ajaksowi serce biło głośno, gdy przedzierał się poprzez głowy cisnącego się tłumu, by mu snadź nie sprzątnięto z przed nosa ostatniego biletu. Wreszcie, ze zdobytym świstkiem, został wyciśnięty z ciżby, jak pestka z owocu.

Siedział całkiem wysoko pod malowanemi na stropie Muzami, mając przed oczyma duży pajak elektryczny, zwisły nad widownią, jak sucze wymię. Wokół był gwar, niepokój i nerwowa atmosfera oczekiwania. Wszystkie spojrzenia gromadziły się koło małych drzwi obok estrady, na której stał fortepian czarny i połyskliwy, jak metalowa trumna. Setki ust odmieniały bezustannie nazwisko słynnego skrzypka, które w uszach Ajaksa brzmiało tak swojsko, niemal

bratnio. — Niejednokrotnie na jego dźwięk zwracał się mimo woli zdziwiony, jakby nie wiedział, czego chcą od niego. Wciąż: „Edmund Ajaks... Edmund Ajaks...” Przysłaniał dłonią uśmiechnięte usta, a w piersi mu coś rośło, jakby serce pęczyło.

Gdy usłyszał przywitalne oklaski, którymi przyjmowano wchodzącego na estradę koncertanta, miał w oczach pobłażliwość lepszego wiedzenia. Uczuł, że ten tam pan we fraku, to istota bardzo bliska, że zna go z szarego codzień, a teraz, w szacie odświeżonej i w okolicznościach uroczystych, poznaje doskonale. Wszak to Edmund Ajaks! Nie jest mu obcy, tam daleko osamotniony na pustym prawie wzniesieniu, ze skrzypcami pod brodą i prawicą opuszczoną wzdłuż ciała, kiedy czeka swej chwili, słuchając wstępnego akompaniamentu. Zna ten gest okrągły przy podnoszeniu smyczka do skrzypiec. Och, tak! To on, ten sam. Zna go i ton rozpoznaje. Ten miękki, jasny ton, snujący się, jak nić pajęcza. Przemyka oczy i jest tuż obok osamotnionego tam na pustym prawie wzniesieniu. Dwie dusze sobie gwarzą...

Z odrętwienia zbudziły go pierwsze oklaski i znowu uśmiecha się za dłonią. A w stronę obszernej estrady śle bratnie spojrzenie porozumienia: „Wiemy tylko ja i ty”. Czuje, że powinien od oklasków sam się wstrzymać, bo — nie wypada. Jest mu, jakby brał sam udział w tem, co oto zyskuje pochwalne uznanie.

Powodzenie upaja go i mile łechce. Kwiaty, padające obficie na estradę, są dalekie, dalekie; lecz to nic, przyjrzy im się potem bliżej. Rozgląda się po twarzach i minę przybiera niezadowoloną, by

ukryć przed ludźmi rozsadzającą go dumę i upojenie wewnętrzne. Udał obojętnego, jakby nie obchodziły go zgola ani kwiaty, ni oklaski... Chodzi sobie po korytarzu, tu i tam, z rękami w kieszeniach, jakby nigdy nic. Nawet nie zejdzie do *foyer*, bo należy mu być dziś skromnym i nie pokazywać się zbyt ostentacyjnie. Chyłkiem tylko słucha rozmów i każde gorące słowo notuje sobie skrzętnie w sercu. Dłoniom bronił dziś zetknięcia, by niebacznie nie zatrzeć ich wedle zwyczaju. Wypada być bowiem dyplomatycznie oziębłym.

Wrócił na swoje miejsce, założył nogę na nogę, ręce na piersiach i czekał. Znajomym kłaniał się grzeczniej jeszcze, niż zazwyczaj, by nie myśleli, że jest zarozumiały. Zaczęła się część druga. Koncertant, wchodząc na estradę, minę miał znudzoną i ruchy niedbałe. Uśmiechnął się doń skrycie Ajaks:

— Kłamiesz, udajesz. Gdyż wiem dobrze, że podskoczyć miałbyś ochotę i po dziecięcemu klasnąć w ręce. Ale trudno, tak trzeba.

Jednak grzecznie milczał. Uczyniła się ogromna cisza, że można było słyszeć skrzyp pedału przy fortepianie i kołków u skrzypiec. Wszyscy z napięciem czekali, zaparłszy w piersiach oddech.

Ajaks chrząknął.

On jeden tylko z całego audytoryum miał odwagę chrząknąć. Boć dla niego jednego tylko nie była chwila obecna tak świątecznie niecodzienna. Reszta zebranych słuchaczy... och, tak... Lecz wśród nich on tylko jest Edmundem Ajaksem. W kościele jeno książdź głośno mówi.

Najobojętniej w świecie gładził dłonią włosy i patrzył w sufit, zamalowany Muzami. Rozparty

swobodnie, rozczesywał czuprynę, jak człowiek, którego nic nie dziwi, cokolwiek się stanie i dla którego niema niespodzianek. Wszystko jest zdawna dosięgłe i stare.

Zna i to.

Ktoś szepnął cicho:

— Beethoven.

Edmund Ajaks uśmiechnął się, jakby wiedział lepiej i wzruszył ramionami. Wszyscy, zasłuchani, trwali w nieruchomości. Ten i ów, wsparłszy zadumane czoło na dłoń, śnił na jawie, oczarowany i skupiony. Oddany cichej, kościelnej kontemplacji, zapadł się w siebie i wszystek stał się słuchem i marzeniem bujnym. Ktoś inny przechylił głowę wstecz na poręcz fotelu i z zamkniętymi oczyma, zda się, zmartwiał. Niekiedy tylko drgnął nieznacznie muskuł twarzy, oświetlonej słabem światłem, idącym od estrady.

A tam stał on, blady i spokojny. Rzucił niekiedy spojrzenie na widownię, jakby przekonać się chciał, czy wszystkich już ma pod swą władzą. Zdawało się, jakby płynęła od niego rozkołysana fala odurzenia, rozlewająca się po sali, niby powódź; pochłania w siebie coraz to nowych ludzi i zabiera w swe władztwo.

— Toś ty? — pytał Ajaks zdziwiony i zmieszany. — Toś ty, władco i czarodzieju? Nie znam ciebie.

Uczuł się przygnieciony przez nieznaną potęgę.

— Nie znam ciebie! Słyszysz? Nie znam ciebie!

Był w tem może nawet lęk. Osuwała mu się na barki wyniosła posągowo wielkość. Ujrzał się

drobnym i odepchniętym łokciami na ubocze. Aż stracił siebie w końcu z oczu, zagubionego nieznacznie w rojnym tłumie. Uczuł strach, co się z nim stanie. Zginie, zginie! Bez śladu. Jezu!

Oby dać się porwać szponom i unieść ponad głowy rzeszy. Wyżej, wyżej! Bo inaczej zdepczą! Płak go jeno dojrzy z góry w ciżbie. Dać się unieść, ulecieć! Lecz co jest to Nieznane? Czyż dosięgnie?!

Ajaks przetarł oczy. W uszach brzmiała mu jeszcze ostatnia nuta, jak przeciągły śpiew letnich owadów. Słaniał się nieprzytomnie i gorączkował wzburzoną myślą. Policzki mu pałały i trzęsły się ręce.

— Brawo, brawo! Ajaks! Bis!

Porwał się dziko i dreszcz go przejął. Sala huczała od krzyków i oklasków. Wsparty na krawędzi fotelu, pożerał Ajaks płomiennymi oczyma dziękującego skrzypka, który blady, wyczerpany, kłaniał się wśród zalewu kwiatów i bezsilnie rozkładał ramiona.

— Tyś wielki! Mocarzu! — wołało coś w duszy Ajaksa.

— Ajaks! Ajaks! — grzmiał tłum.

Jak przez mgłę patrzył i nie rozumiał. Otaczali go ludzie wzburzeni, przejęci i drżący. Ktoś boleśnie krzywiąc usta, powtarzał:

— Niesłychane... niesłychane...

Edmund Ajaks, zataczając się, jak pijany, wybiegł z sali na ulicę bez kapelusza. Wrócił do domu podniecony, a w uszach ciągle jeszcze brzmiało mu wołanie: „Ajaks! Ajaks!“. Padł na otomanę, twarz wgniótł w wezgłowie i leżał bez ruchu. Pod czaszką kłębiły się myśli i obrazy ruchliwe, jak mrowisko.

I wciąż oklaski i wołania, huczące pod sklepieniem, zamalowanem Muzami. Widział całe morze bezbrzeżne tryumfalnych kwiatów, pałające płomienne twarze i dłonie wyciągnięte, by dotknąć skraju jego szaty... Jak boski cudotwórca, idzie środkiem kottującej się rzeszy i widzi matki, wznoszące w ramionach dzieci małe: „To on, to on, hosanna!“

— Hosanna! hosanna! Uzdrów mnie!

Po ziemi czołga się kaleka i woła:

— Uzdrów mnie! Dotknij mnie, a uzdrowion będę!

— Dotknij mnie, a widzieć będę!

— Dotknij mnie, a moc odzyskam w członkach!

— Hosanna! hosanna!

Widzi przed sobą niezliczone tłumy, na kolanach pełzające.

— Nie ja... nie ja... — wzbrania się skromnie.

Drgnął i oprzytomniał. Chwiał się tanecznie żółty, zastrzony płomyk świecy. W kręgu jego blasku ujrzał Ajaks rozrzucone na stole narzędzia stolarskie, kasetkę i przybory do wypalania w drzewie.

Zbliżył się wolna, usiadł i począł majstrować dziwną piłeczką. Po chwili przerwał pracę i zadumał się. Za oknami dudniły czyjeś kroki po twardym bruku. Nagle porwał się Ajaks i z rozmachem cisnął kasetkę w kąt pokoju, gdzie rozbiła się z łoskotem. Rzucił za nią mściwie dłuta, pilniki, heble, aż wreszcie, nie mając już nic pod ręką, chwycił się za głowę i przypadł twarzą do wezgłowia otomany. I tam, skulony biednie, jak żebrak proszący jałmużny, płakał cicho, żałośnie...

Nazajutrz, ku zdumieniu wszystkich, spóźnił się do biura. Milczał i z piórem w dłoni patrzył bez-

czynnie w okno. Gonili się po niebie chmury i kwitły kasztany.

— Był wczoraj koncert pańskiego imiennika.

Ajaks skinął głową.

— Czegoś podobnego nie słyszałem — rzekł melancholijny wielkolud. — Władztwo dusz, jakim jest sztuka, po raz pierwszy stanęło mi w oczach w całej pełni. Wczoraj zrozumiałem, że artysta żyje życiem spotęgowanem w dwójnasób. Życiem swoim i życiem swej sztuki.

Uśmiechnął się gorzko.

— I pomyśleć, poco my tu żyjemy, poco ta nasza śmieszna zabiegliwość, ta bezpłodna praca...

— Milcz pan! — krzyknął Ajaks blady i drżący.

Nastąpiła nagła cisza. Słysząc było skrzypienie trzewików gdzieś na korytarzu i jakąś rozmowę na schodach.

Ajaks otarł pot z czoła. Wstał i rzekł:

— Przepraszam. Jestem chory. *Je suis malade.*

Je suis malade...

Wyszedł. Wrócił do domu, zamknął się i do wieczora przeleżał na otomanie. Gdy zapadł zmrok, dźwignął się. Był cichy i pokorny. Zapalił świecę, uprzątnął stół i wyjął z szafy zakurzony futeł. Były w nim skrzypce, na których uczył się ogień grać dla starego kawalera. Przed niemi, w trupiozłotym blasku świecy, przesiedział całą noc.

Nad ranem odebrał sobie życie.

LAMPIONI WIELKI



ie trzeba znów być naiwnym: oczywiście, że Lampioni, to nie było jego rzeczywiste nazwisko, które brzmiało w oryginale bardziej swojsko: Adam Guzdek. Tak wypisano w metryce, tak wypisano w wszystkich urzędowych księgach i aktach. Lecz człowiek, zaiste, jest tem, czem jest, a nie tem, co stoi w księgach i co wiedzą o nim po urzędach. Tak więc Guzdek był Lampionim Wielkim, a niczem innym, choćby tam nie wiem co! „Adam Guzdek“, to dobre dla ludzi cudzych, nieznanych, ot, pozór, maska przyzwoitości, służąca do zewnętrznych wystąpień. Twarz prawdziwa atoli, głębia, treść wewnętrzna, krótko: cały człowiek ze swą istotną egzystencją zawierał się w nazwaniu: Lampioni Wielki. Przydomek: Wielki, to bynajmniej nie drobnostka, jakby kto mógł w nieświadomości sądzić. Owszem „Wielki“ koniecznie dodać trzeba, bo inaczej i „Lampioni“ będzie bez wartości. Z tem należy się zapoznać i zgodzić zaraz u wstępu, bo w przeciwnym razie całe gadanie na nic i lepiej pójść do lasu na przechadzkę, albo do łóżka spać.

I.

Był synem młynarza, starego Guzdkę, który z trzech powodów czuł szczególną dumę: z mуро-

wanej stodoły, z pary doskonałych rysaków i z syna, Lampioniego W. Nie to napawało starego zadowoleniem, że syna nazwano Lampionim, lecz że właśnie Wielkim. Było w tem coś królewskiego, a Guzdek czuł, że Adaś na swój przydomek zasługiwał. Miał więcej, niż dwa metry. Przewyższał głową najrośniejszych.

Lampioni aż do dwudziestego roku życia był tylko wielki. Nicby o nim innego powiedzieć się nie dało. Był wielki i koniec. No, i był dumny z tego, że jest wielki. Chodził po wsi, pokazywał się przed karczmą, przed kościołem, na wiecach oświatowych; stawał w pewnej odległości od zgromadzonych ludzi i kazał się podziwiać, jaki to on wielki. Gdy spostrzegł, że nań patrzono, okręcał się w okół siebie, by pokazać się z wszystkich stron. Odchodził z przed kościoła, karczmy lub z wiecu zawsze ostatni, gdy już zabrakło oczu, odchodził dumny. Wracał do młyna i beczynn timer kładł się gdzieś w sianie. Nigdy nic nie robił. Albo leżał, albo się pokazywał. Zresztą stary Guzdek niczego nawet od niego nie wymagał, zadowolony, że syn jest wielki, jak nikt w okolicy. Skoro zjawił się któryś z bliższych lub dalszych sąsiadów dla interesu lub pogawędki, zaczynało zawsze od podziwiania wzrostu Adasia, o czem rodzina Guzdków mówiła najchętniej. Kiedy zaś sąsiad zabierał się do interesu, Adaś odchodził zniechęcony, kładł się gdzieś, aby patrzeć w niebo, i marzyć. Marzył zawsze o tem samym: żeby być jeszcze większy, taki jak nikt na świecie; żeby być, jak ta topola nad śluzą; żeby móc ścierką odmiatać kurz z dachu kościoła; lub żeby zbierać gruszki z drzew, pochylając się jak do krzaku malin.

Gdy nadszedł dwudziesty rok życia, sąsiedzi

blizsi i dalsi — a zwłaszcza sąsiadki — zaczęli się gorszyć beczynnością Adasia.

— Tyli chłop! I niczego się nie chyci.

Doszły podobne głosy do starego Guzdk. Spojrzał żałośnie na syna. Cóż robić ma ta jego bujna latorośl? Czyż to nie dość, że jest tak wielki?

— Słyszałeś, Adasiu?

— Co, tato?

— Mówią, że winieneś się jąc czegoś... czego ty się masz jąc, synku?

— Niech tato wymyśli coś, do czego trzeba być wielki. Niech widzą, jaki to ja jestem.

„Otóż to“ pomyślał młynarz. „Niech widzą, jaki to on jest.“

Popadł w zadumę. Gdyby syn miał jeszcze z cztery — pięć metrów, to mógłby zostać gonciarzem: dach pobijając, stawiałby sobie krzesło na ziemi i zbędną byłaby mu drabina. Hm... Brak mu z cztery — pięć metrów.

Tak marzył górn timer stary Guzdek, całkiem już zapamiętawszy się w rodowej dumie.

Trafem zdarzyło się wtedy, że zarząd letniska oddalonego o niecałe dwa kilometry poszukiwał latarnika, któryby o zmroku zapalał kilkanaście naftowych latarń ulicznych i gasił je o dziesiątej wieczorem. Gdy usłyszał o tem Guzdek, wziął syna i poszli do zarządu.

— Sługa uniżony pana dyrektora. Przychodzę, bo słyszałem, że panowie poszukują latarnika. Tu właśnie mój syn nadałby się lepiej, niż kto inny. Dla szanownego zarządu oszczędność...

— Czemuż to oszczędność, panie Antoni? — zapytał zdziwiony dyrektor letniska.

— Ano, bo drabiny nie będzie potrzebował. Bez wysiłku sięgnie do latarni, stojąc na ziemi. Spróbujmy. Chodź, Adaś, pokaż panu dyrektorowi.

.....

Tak tedy Adam Guzdek został Lampionim Wielkim. Nikt inaczej go nie nazywał. Codziennie, skoro zmrok zbliżać się miał, brał Lampioni urzędową bańkę z naftą, ściereczkę do szkiełek i ruszał do letniska. Z nim kilku satelitów, lubiących podziwiać owo nadzwyczajne widowisko: zapalanie latarni bez drabiny. Przy pierwszej znowuż latarni czekali już zgromadzeni letnicy, z których grona właśnie wyszedł nowy chrzest Adasia: Lampioni Wielki. Czekali i tuż za młodym olbrzymem szli od latarni do latarni, asystując jego czynnościom urzędowym wśród hałasu, oklasków i wiwatów. Tłum z dnia na dzień rósł. Starcy, matrony, młodzież płci obojga, dzieci i niemowlęta — wszyscy uczestniczyli w uroczystości świecenia lamp. Lampioni stał się popularny i słynny na całą okolicę. Skończywszy swe funkcje, bywał codziennie gdzieindziej zapraszany na kolację i goszczony, jak młody bohater. Każdy chciał przez jeden chociażby wieczór gościć u siebie znakomitą osobę. Więc fetowano go i raczono aż do godziny dziesiątej wieczorem, kiedy znów obowiązek urzędowy powoływał go do służby. Dzięki za przyjęcie, zabierał urzędową bańkę z naftą i ściereką do szkiełek i szedł w otoczeniu licznych wielbicieli i wielbicielek zdmuchiwać latarnie. Gdy wreszcie zgasił ostatnią, rozlegały się na jego cześć okrzyki, serdecznie go żegnano aż do następnego dnia i Lampioni Wielki w towarzystwie swych wielkich satelitów ruszał do wsi, do domu. Stary Gu-

zdek był rozrzucony. Udał mu się jednak, niema gadania. Począł go w chwili jakiegoś szczególnego, jak widać, natchnienia.

We wsi zaczęto Lampioniego nie mniej honorować i czcić. Został pierwszym wśród wsiowskiej młodzieży, jej przodownikiem, chlubą i nadzieją. Jakby teraz dopiero zdali sobie wszyscy jasno sprawę, jaki to on jest właściwie wielki. I przedtem wiedzieli, że jest ogromny, lecz teraz dopiero uprzytomnili sobie przez porównanie, jaki to jest olbrzym. I silny być musi stosownie do wzrostu. — Lampioniego zapraszano na sędzie wszystkich sporów wśród parobków. Lampioni gasił namiętności, uciszał kłótnie samem już swem zjawieniem. Zabijał Michał Stanek, okrwawiwszy w bitce jakiegoś chłopca, nie dał się w żaden sposób okuć żandar-mowi, a na jedno skinienie Lampioniego włożył posłusznie ręce w kajdanki.

Dziewczęta za Lampionim szalały. Jej, jaki on wielki i silny! Jak raz Różę od księdza do piersi przycisnął, to potem przez dwie niedziele miała czerwony od uścisku nos i sińce na plecach. Z takim to i nie żał się kochać.

Lampioni wiedział o swojej przewadze nad resztą wsiowskiej młodzieży i był najszcześniejszym człowiekiem. Przez cały dzionek obnosił swój wzrost po wsi, czekając wieczora; zachodził do pastuchów na odległych łąkach, do oraczy na odległych polach, do żniwiarzy; niech wszyscy go widzą, niech każdy mu powie z wyrazem zachwytu w oczach:

— Ależ to Lampioni wielki!

Niby nie dbał o to, — nigdy słuchać nawet

o tem nie chciał. Lecz nigdy nie siadał: conajwyżej kładł się na całą długość. I raz ktoś rzekł:

— Gdy Lampioni leży na polu, to zdaje się, że płynie po łące jak długa rzeczulka.

Na te słowa rozległ się nagle głośny, rozlewny śmiech, wesoły, pusty, niemal wyzywający. Wsparłszy się dufnie pod boki, córka kościelnego i organisty, Florka Markówna, słowiańska dziwożona o niebieskich, szelmowskich oczach i złocistych warkoczach, śmiała się, śmiała, śmiała, aż echo szło od tego śmiechu, podobnego do klaskania.

— Z czasem, jak Lampioni jeszcze nam nieco podrośnie, to zostanie słupem telegraficznym! — zawołała, błyskając białymi, żarłocznymi zębami z śniadej twarzy. — Słupem telegraficznym przy drodze!

Ile pobbazania było w tem „nam podrośnie“, to odczuło jeno biedne serce Lampioniego. Pobladł nieco na twarzy, zagryzł wargi i, spuściwszy oczy, nie śmiał nawet głębiej odetchnąć; stał, jak ukarcony żak pełen zawstyżenia i skromności. Nie czuł się wcale dumny, że jest wielki. Nagle wzrost stał się dlań przeszkodą, balastem, ciężarem, wstydem. On dla jednej Florki nie chciałby być tak duży, dla innych owszem. Lecz ona zawsze zeń drwiła, i nigdy nie miała dobrego słowa, co prawda, wobec wszystkich była taka, dumna, urągliwa, śmiała i na nic, na żadną ranę, na żadne upokorzenie, ponizienie cudze nie zważająca. Śmiała się z wszystkiego i z wszystkich, ale że i z Lampioniego się śmiała, to ból sprawiało mu nieopisany. Dla niej jużby się nawet zgodził być zupełnie mały... Choć pocóż? Czyż nie dość nacierpi się od niej garbaty Ignas Konwalijska?...

Na drwinkę Florki nie wiedział zrazu co powiedzieć. Niezaradnie tarł o siebie spocone dłonie i na przemiany bladł i czerwieniał na twarzy. Wreszcie, widząc, że czasby już przerwać ten niebezpiecznie przedłużający się śmiech dziewczyny, przestąpił z nogi na nogę i z pół bolesnym, pół pobłażliwym uśmiechem rzekł:

— Panna Florcia zawsze wesoła.

Śmiała się jeszcze głośniejsze z jego zakłopotania i powtarzała bezlitośnie:

— Słupem telegraficznym przy drodze! Niech się Lampioni wesołością swoją nie wykręca! Słupem telegraficznym przy drodze!

Lampioni w lot pojął nieustępliwość twardą szyszczącej, by tedy na ostatniego nie dać się wydrwić głupca, ujął się ochotnie pod boki, przechylił figlarnie głowę, i, dopomagając dziewczynie w śmiechu, rzekł:

— Może i słupem!... A z czasem i pioruny będę do garści łapać na kościelnej wieży.

Jemu samemu nawet wydał się ten pomysł nie dość mądry, więc ubiegając gotujący się na nowo śmiech Florki dodał:

— Ubiorę na głowę blaszany hełm, w rękach będę trzymał dzwon i będę udawał drugą wieżę kościelną! Kiedyś — może!

— Haha! — rozgłosiła się Florka. — Blaszany hełm! Może baniak do gotowania bielizny weźmie Lampioni od pani Guzdkowej!? Haha!

— Albo każę sobie zrobić taki wielki samowar aż do piersi i włożę na głowę!

— Haha! Haha! Albo jeszcze coś blaszanego... coś innego!!

Lampioni był już wszystek spocony, że aż dymiło mu się pod kapeluszem. Koszula przylepła do ciała, a z twarzy i z karku lało się poprostu. Czuł, że nie wytrzyma w tych wyścigach do końca i patrzył, by najrychlej uciec.

— A to się Lampioni dopiero spoci w takim samowarze, skoro mu w zwykłym kapeluszu za gorąco! — ciągnęła nieubłagana swawolnica, zanosząc się od śmiechu.

Lekceważąco odwróciła się na pięcie i rzuciwszy przez ramię „do widzenia“, odeszła nagle, pozostawiając za sobą wrażenie czegoś bardzo złego i zarazem bardzo ponętnego. — Znał ją z tego Lampioni! Bał się jej jak ognia, jak dyablicy — a uciekać przed nią nie chciał, nie potrafił, nie mógł. Lecił do niej, jak do światła ćma, wiedząc, że się tam spali. W kościele pchał się na lewą stronę, gdzie stała, by móc na nią patrzeć. Nawet nie umiał udać, że niby nie dba o nią. Każde spojrzenie jego, każdy gest rwał się do niej, jak ptak-orzeł do słońca, bez uwagi na to, co się stanie. — I teraz nagle żal mu się zrobiło, że odeszła, serdecznie luto w duszy, łzawo i niezabawnie. Odprowadził ją oczyma daleko, aż do garbu wzgórze, gdzie — na tle błękitnego nieba — raz jeszcze się odwróciła, zaśmiała i znikła w zbożu. Stał i patrzył na poruszone kłosa, co chwiały się jeszcze chwilę w pokłonach. Potem spojrzał niechętnie na otaczającą go gromadkę i bez słowa oddalił się w stronę ojcowego młyna. Lecz po chwili zobaczył ze zdziwieniem obok siebie Ignasia Konwaliijkę, śmiesznego garbuska, który poskakiwał pocieszenie i dobiegał, nie mogąc sprostać długim jego krokom.

Chwilę szli w milczeniu, wreszcie Ignasł rzekł:

— Ona nie musi być taka zła, jak się wydaje.

I współczująco spojrzał w oczy Lampioniego. Ten nic nie odpowiedział, nawet nie wzruszył ramionami, jakby zgola Ignasia nie słuchał. Tylko jeszcze bardziej jął wyciągać nogi, tak że garbus już biec musiał, chcąc mu dorównać.

— Toby musiała być bardzo zła — ciągnął Ignasł nieco zadyszany głosem, — bardzo zła! — powtórzył z mocą. — Ja w to nie wierzę; nie ma ludzi bez serca. A jeszcze do tego dziewczyna! Ona udaje taką.

Chwilę mozolił się przy wielkoludzie w milczeniu, wreszcie, jak mały synek ojcu, podał Lampioniemu rękę. Szli dłoń w dłoń wolniej już nieco, bo Ignasiowi udało się w ten sposób pohamować rozpęd towarzysza.

— Cóż, zem garbus? — ciągnął znowuż radośnie. — Moja krzywda i wstyd. Śmiać się niema z czego. I jeszcze tak się śmiać! To przecież kaleństwo, nic więcej. No nie?

Bezsłutecznie czekał odpowiedzi, więc znów mówił:

— Albo śmiać się, że Lampioni jest wielki...

Wielkolud wyrwał nagle gwałtem dłoń z uścisku garbusa, stanął, pochylił się twarzą ku twarzy Ignasia i spojrzał mu w oczy gniewnie. Przez moment stali naprzeciw siebie, mierząc się oczyma. I Lampioni palcem trącił Ignasia w koniec nosa, tak że kaleka aż prawie dotknął garbu potylicą czaszki. Poczerwieniał na twarzy i pokornie spuścił głowę.

— Ja wiem — rzekł nieśmiało, biegnąc znów przy Lampionim, — ja wiem, że Lampioni i ja, to

co innego. Ja wiem, że ja jestem kaleka, a Lampioni... Lampioni... Ja też nie chciałem Lampioniego przez takie porównanie obrazić. Tylko chciałem powiedzieć, że ta Florka nie uszanuje nawet tego, co szanuje cała wieś, i ludzie poważni, i gospodarze zamożni... Któż widział tak obcesowo, tak —

Oburzenie odebrało Ignasiowi dar wystawiania się; nie mógł znaleźć wyrazu i ścisnąć zęby, aż mu wydatne szczęki grały pod skórą, jak dwa miejsca nad oczami u jedzącego konia. Lecz Lampioni był niekontent, że się o tem mówi i wydłużył krok i mruknął:

— Florka to z przyjaźni, ja wiem, że z przyjaźni. I z wrodzonej wesołości.

— Ja też mówiłem, że ona taka zła być nie może — odrzekł Ignasz Konwalijka.

— I nie jest. Wiedz, Ignasz, że nie jest — zawołał Lampioni z nagłym ożywieniem. — Ty jej nie znasz. Ja wiem, że ona... że ona... ma dobre serce — dodał ciszej.

— Lampioni wie napewno? — zapytał Ignasz z niedowierzaniem.

Lampioni wzruszył niechętnie ramionami i nic nie odpowiedział. Wszelako Ignasz nie chciał widocznie na tem poprzestawać i powtórzył pytanie.

— Lampioni wie napewno?

Staął wielkolud i tupnął nogą.

— Ej, ty, mały! Ty ze mnie sobie drwić nie pozwalam! — zawołał groźnie. — Właśnie, że ma dobre serce i więcej o to nie pytaj, bo popamiętasz sobie! Powiedziałem, że ma, a choćby nie miała, to ciebie to nic nie obchodzi!

— E, to pewna, że mnie to nic nie obchodzi! —

rzekł zgodnie Ignasz. — Ja się tylko pytałem z ciekawości. Pewno, że nic nie obchodzi. Cóż mnie Florka?! Ani mnie ona grzeje, ani ziębi. Że sobie ze mnie kpić pozwala, za to się nie gniewam nawet. Kpią i inni. Ale ona trochę... trochę... jakby to powiedzieć? trochę za mocno... To też zdziwiłem się, gdy Lampioni powiedział, że ona... Ale Lampioni nie chce, by o tem mówić.

Chwilę pomilczał.

— Każdemu wolno, co chce — powiedział z nagłą, uśmiechając się prawie boleśnie. — Od tego jestem garbaty, by było ludziom weselej na świecie. O to się nie gniewam, że im weselej. Nie. Ale Florki... nie, ja Lampioniemu powiem szczerze, że ja Florki bardzo nie lubię. I — niech co chce! — ja już Lampioniemu do reszty powiem wszystko szczerze. Mnie Lampioniego doprawdy serdecznie żal. Mówię szczerze. Bo to najgorzej jeszcze taką złośnicę kochać. Niech ją sobie Lampioni wydrze z serca, z korzeniami, jak dziki chwast, i hej, wyrzuci, na wiatr. Wydrzeć z serca, ja szczerze radzę, bo mi Lampioniego żal.

.....

Tak wtargnął brutalnie Ignasz Konwalijka w serdeczne tajemnice Lampioniego, który dotąd nawet nie wiedział, że to miłość. Słuchał słów garbusa pilnie i z niejakim zdziwieniem — a potem zaniepokoił się nagle złowróżbnym tonem kaleki. Aż mrozy jęły mu chodzić pod skórą i lęk go zdjął o siebie.

„Wyrwać z serca!“ — powtarzał sobie w myśli po odejściu Ignasia, leżąc w sianie z podrzuconemi pod głowę rękoma. „Wygnać na cztery wiatry“ —

myślał, wpadając w jakieś dziwne uniesienie — „otrząsnąć się, oprzytomnieć, co będzie złe, będzie strasznie złe“.

Jak w gorączce nawiedzały go straszne widzenia, w których Florka przedstawiała mu się, niby wiedźma okrutna, to znów, niby wampir krwiożerczy, wysysający się łakomie zębami w szyję po ciepły ogień żył i życia. Była szara, sucha, odziana w szaty z zapylonych, starganych pajęczyn, zionąca piwnicznymi woniami i jakimś żabim chłodem. Serce tłukło mu w piersiach dziko, gdy bronił się daremnie przed ślizkimi jej ruchami, którymi dobierała mu się do żywego poprzez roztarganą odzież ciała i bronił się gwałtownie przed wilgotnymi dotknięciami jej natarczywych pieszczot, na dnie których zdawał się widzieć podstęp chytry i śmierć. Odpychał od siebie nieprzytomnie zmoreę i czuł, że jej w końcu ulec musi. Zginie z wyczerpania, padnie śmiertelnie strudzony obroną i stanie się wreszcie jej łupem. Już nawet rozpacz sił mu nie użyczała. Słabł coraz bardziej, czuł coraz większą w członkach ociężałość i niemoc. Raz jeszcze targnął się ostatkiem sił, jak nagle rozbłysła mająca zgasnąć lampa, sprężył się, rzucił...

Już zmierzchać się zaczęło. Lampioni dźwignął się ciężko z upiornego snu, z głową mętną jeszcze i osadem smutku niejasnego, osiadłym na dnie serca. Był tak zmęczony, jakby to istotnie stoczył śmiertelny bój z widmem piekielnym. Wyszedł na powietrze, gdzie owionął go wieczorny chłód od śluz i stawu. Cisza była w młynie. Gdzieś świdrował świerszcz jeden i drugi, gdzieś grał ktoś na harmonii, urwał i zaczął gwizdać. Z za chmur wschodził księżyc tuż po pełni.

Lampioni wziął z sionki urzędową bańkę z naftą i ścierkę do szkiełek, zstrząsnął z siebie ostatki obrzydłego snu i truchtem miarowym cwałował do letniska przez ciemny las szpilkowy. Nafta chlupała w bańce, jak w napitym brzuchu woda. Głuchodudnił na grubej kołdrze zeschniętych szpilek i mchów krok biegacza. Zaśmiała się płaczliwie w głębi lasu sowa, potem znów cicho było. Lampioni biegł niezmordowanie, bo czyniło się coraz ciemniej, a on był ambitny pod względem punktualności. Minął wreszcie las i zadyszany dopadł pierwszej latarni, wokół której gromadzili się letnicy w zmniejszonej już znacznie, ale zawsze jeszcze dość pokaźnej liczbie. Byli to już sami przyjaciele, którzy polubili niezwykłego latarnika i witali go uściśnieniem ręki.

— Czemuż to dziś tak późno? — pytał któryś, serdecznie dopychając się do Lampioniego przez ciasne koło innych życliwych.

— Nic — odrzekł wielkolud — trza się prędko zwijać, bo będzie noc.

Nastąpiła cisza, gdy Lampioni otworzył szklane drzwiczki latarni i począł manipulować około lampy: zgromadzeni patrzyli nań w milczeniu podziwu i z szacunkiem. On nawet na palce się nie wspinał: trochę nad głowę wzniosł ręce, zdjął szkiełko, wyczyścił prędko, zaświecił lampę i zamknął drzwiczki.

— Doskonale! — dały się słyszeć głosy, jak co-dziennie. — Coś nadzwyczajnego.

Migiem załatwił się Lampioni, bo mroczno już było. Od latarni biegnąc do latarni, rzucił na jedno, drugie pytanie krótką, lecz uprzejmą, odpowiedź, a pytań padało wiele z stron różnych. Lampioni nie przestawał być bowiem atrakcją mimo kończący się

sezon, budził zawsze ciekawość, zyskiwał z dnia na dzień większą sympatyę i życzliwość z powodu swego taktu i uprzejmej rozmowności. Z początku się nim bawiono, potem polubiano. Wszyscy mówili „nasz Lampioni Wielki“, jakby mówili o swem dziecku. Była w tem czułość, duma rodowa, sentyment kulturalnego środowiska dla zabytków cennych i rzadkich. Wszystkie te przyjemne uczucia znajdowały wyraz w tkliwym zachowaniu się protektorów Lampioniego. W każdym ich geście, z każdego słowa przebijał ton czegoś, czemu brak tylko namiętności, by nazwać to miłością.

Już z ostatnią porałą się Lampioni latarnią, którą właśnie miał zaświecić, gdy nagle ręka mu zadrżała i ścierka do szkielek padła na ziemię. Przetarł oczy, jakby nie wierzył im. Z przeciwnej strony drogi ujrzał nagle Florkę. Szczelnie otulona chustką, stała opodal i patrzyła nań upartym wzrokiem. Chwilę trwał tak Lampioni pod tem spojrzeniem, jak skamieniały. Wnet się opamiętał, zaświecił latarnię i raz jeszcze popatrzył w stronę, gdzie stała Florka. Tak, stała i patrzyła na niego tym samym upartym wzrokiem. Zadrżał Lampioni pod wpływem tych oczu. Niedbale odmówił wszystkim zaproszeniom i jak zaczarowany jął postępować ku tej kępie brzoź, gdzie skryła się Florka. Ale gdy zaczął się zbliżać, ona się odwróciła i wolnym krokiem poszła przed siebie. Szedł za nią w pewnem oddaleniu, nie śmiejąc się zbliżać. Przeszli tak polanę wielką, odgradzili się od ludzkiego gwaru strumykiem krętym i kiedy znaleźli się w sosnowym gaiku, Florka raptem stanęła. Również przystanął Lampioni. A wówczas ona zbliżyła się ku niemu cichym krokiem, wyciągnęła

z pod chustki rękę na przywitanie i rzekła szepem:

— Przyszłam i ja raz zobaczyć. Tylem słyszała z wszystkich stron... I naprawdę: bez drabiny.

Powiedziała to z takim naiwnym podziwem i niemal zachwytem, że Lampioni się raczej zaniepokoił, niż ucieszył.

— Et — rzekł smutno — panna Florcia jak zawsze drwi sobie ze mnie.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Tego mego śmiechu nie trzeba sobie tak brać znowuż do serca. — Ot, śmieję się, choć mi czasem wcale nie wesoło.

Kilkakrotnie rzuciła ramionami i ciężko westchnęła.

— Człowiek się śmieje często... tak... dla niepoznaki... — dodała z melancholią i nowem westchnieniem. — A głupi ten, co wszystko bierze za wesołość, a nawet złość.

Była w tej chwili smutna i bardzo żalosna. Z licznych niedopowiedzeń wiała gorycz i dumna skrytość.

— Ja też nigdy panny Florci nie uważałam za złą — przemówił ciepło Lampioni drżącym głosem.

Wzruszenie i wstyd nagły go opanowały. Czuł, że na zwierzenia dziewczyny nie zasługiwał wcale, wcale. A ona mówiła tak szczerze, z serca, jak pewno przed nikim nigdy tajemnic swych nie odkrywała. Więc pożałował nagle wszystkich swych myśli, zjeżonych przeciw Florce z poduszczeń Ignasia, którego teraz obarczał najcięższymi zarzutami. Litość zebrała go dla dziewczyny, boć i ona, jak widać, jest nieszczęśliwa, choć oczom ludzkim jawi się sztydząca, urągliwa, śmiejąca...

— Śmieję się, bo cóż mam robić? — mówiła tym samym sekretnym tonem Florka. — Napłaczę się jeszcze dość. Teraz niech myślą, że mi dobrze, cóż mnie to obchodzi, co o mnie myślą? Ja nikomu się ze swych myśli nie spowiadam, moje myśli są tylko dla mnie. Zna je Pan Bóg i nikt więcej. Po ludziach chodzić ze skargą nie umiem.

Wsparała się bokiem o pień sosny i założyła ręce na piersiach.

— A zresztą do kogo iść? Kto zechce mnie wysłuchać i zrozumieć? Ja wiem, że mnie wszyscy nie lubią, bo im się zdaje, że jestem bez serca. Tak, jestem bez serca, bo nie mam serca do rozdawania wszystkim po kawałku. Serce mam całe i dam temu, komu będę chciała. Dam mu całe, na zawsze, ale musi na to zasłużyć.

Z za drzew wyłonił się księżyc i słabym blaskiem oblał postać Florki, wspartą o pień sosny. Ona spojrzała łzawemi oczyma w twarz księżyca i oblicze jej wydało się wykutem z marmuru obliczem smętnego anioła. Długo trwała tak nieruchoma, zapatrzona marzycielsko i rzewnie.

Nie poznał jej Lampioni. Nie przypuszczał nigdy, że może się stać powiernikiem skrytych myśli i uczuć Florki, zdawałoby się pozbawionej zupełnie wszelkiej czułości i miękkości serca. Nie wyobrażał jej sobie nawet rzewnie zadumanej w miesięcznej poświacie, rozmarzonej cicho w księżycowy wieczór ciepłego września. Załamała się w nim ostatecznie wszelka nieufność do Florki. Zdawało mu się, że trzyma jej serce w swej dłoni, taka jasna i rozumiała była dlań obecnie, ludzka, jak reszta ludzi, żywa, podległa tym samym prawom życia i śmierci,

radości i cierpienia, co wszyscy. Była dzieckiem głupiem, niezaradnem i niewinnem, będzie staruszką, schorzałą i pobłażliwą. Stanie się z nią to wszystko, co i z innymi — jak inni, przejdzie drogę sobie przeznaczoną aż do kresu, by ulec prawom zapomnienia.

Wyraźnie, po raz pierwszy w życiu, zrozumiał prawdę nie do wiary: Florka jest człowiekiem.

Postąpił krok przed siebie.

— Tak, tak — rzekł. — Rzadko kto zrozumie, choć i wysłucha. Ja sam dopiero teraz...

— Co dopiero teraz? — spojrzała ciekawie, uśmiechając się radośnie.

— Ja zawsze myślałem o pannie Florci, jak o jakimś innym człowieku... Nie wiem...

— O innym człowieku? Lampioni mnie nie znał?

— Znałem, zdawałoby się, że znałem. Przeczuciałem. Nie. Po co się ludzić? Ja nawet nie przeczuwałem w pannie Florci niczego, co jest ziemskie.

— Jakto: ziemskie?

— Panna Florcia wydawała mi się zawsze inna od wszystkich, całkiem inna; to trudno tak powiedzieć. Każdy ma swoje zmartwienia, a panna Florcia zdawała się nie mieć żadnych; — każdy ma swój smutek ziemski, a panna Florcia zdawała się o nic nie dbać. Niema ludzi, którzyby się zawsze śmiali, a panna Florcia nie ustawała w śmiechu.

— O, jakżem ja wiedziała, że mnie nikt, nikt nie zna! — zawołała z żalem Florka. — Wszyscy myślą o mnie źle, albo bardzo źle, i nikt nie wie, że ja... że ja...

Rozpłakała się niespodzianie, przykrywając twarz chustką.

— Niby ja nie jestem nieszczęśliwa!

Nie, Lampioni nie może zostawić jej nie pocieszonej, głaskał jej ramię łagodnie i nieśmiało mówiąc:

— No, nie, któż widział zaraz płakać... No, nie...

Łkająca gorzko dziewczyna przytuliła mu się nagle do piersi, jakby szukając ukojenia. On tkwił sztywnie pod sosną, objawszy Florę niezgrabnie długiem swem ramieniem.

— A to wszyscy inni są właśnie źli, a nie ja jestem zła. Wszyscy inni! — żaliła się boleśnie. — Ja chcę, żeby było dobrze, jabym chciała, żeby mnie kto bardzo kochał, a nie tak tylko przez pustotę się przymilał. Jabym go także bardzo kochała, i byłaby mu posłuszną, gdyby on był bardzo silny i wielki. Ja potrzebuję opieki, bo ja jestem słaba kobieta, a świat jest zły i napastliwy. Za mną się nikt nie wstawi, ja się sama muszę bronić.

Lampioni był przerażony. Nigdy w życiu na myśl mu nie przyszło, że Florę trzeba przed kimś bronić. Rozumiał prawie dokładnie, że ona mogłaby go kochać, gdyby się za nią wstawał. Lecz u kogo? Otoczyło świat cały jakieś zgoła nowe światło. Wszystko stało się naraz w oczach Lampioniego innem, niż było przed chwilą. Miał bronić słabej kobiety, o której nawet nie wiedział, że potrzebuje obrony. Jakby stanął z nienacka na jakiejś nowej ziemi; jeszcze rozejrzeć się nie zdołał, ale już coś w nim wie, co uczynić będzie trzeba.

— Ja panny Florci — rzekł z powagą — nigdy

nie opuszczę. Ja zawsze obronię i wstawię się, żeby żadna krzywda się nie stała.

Wyprostował się stanowczo.

Tymczasem przycichał w rozłkanej piersi Florę nagły wybuch płaczu. Otarła łzy, poprawiła chustkę na plecach, poprawiła włosy i z jakimś niepokojem rozejrzała się wkoło.

— Ja już muszę iść do domu, już późno. Niech mnie Lampioni odprowadzi przez las.

Poszli w milczeniu obok siebie. W lesie ujął Lampioni Florę za ramię, by nie potknęła się w ciemności na korzeniach wystających z ziemi. Dała się wieść ufnie poprzez leśny, gęsty mrok. Gdy minęli las i zobaczyli nad stawem mgłę księżycem rozjaśnioną, stanęli.

— Już niech pan Lampioni wróci — rzekła cicho Florca.

— Odprowadzę aż do domu — odpowiedział.

— Po co?

— Bo chcę być przy pannie Florci, jak żołnierz.

— Będzie daleko wracać do letniska.

— Mam czas.

Na drodze spotykali wielu znajomych, którzy witali ich krótkim: „Dobry wieczór“. Jeden i drugi obejrzał się za nimi. Szli dalej, nic nie mówiąc do siebie. Przed domem Florę przystanęli.

— Dziękuję — rzekła ona, podając rękę.

— Dobranoc — odrzekł Lampioni, podtrzymując podaną dłoń i zdjął kapelusz.

Weszła za furtkę i obejrzała się. On stał jeszcze, póki nie znikła. Późem wdział kapelusz i wolnym krokiem począł się oddalać.

Nie uszedł jeszcze pięciu kroków, gdy z cienia wyłoniła się pokraczna figurka Ignasia Konwalijki. Garbus szedł jakimś dziwnie fantastycznym krokiem, jakby przedrzeźniał samego siebie. Zbliżył się do Lampioniego i zdejmując kapelusz:

— Dobry wieczór — rzekł. — Lampioni dziś nie na przyjęciu?

— A widzisz, że nie — odpowiedział Lampioni niechętnie, czując do Ignasia mocny żal i nieco urazy.

Ten zdziwił się kwaśnym tonem latarnika i zatrzymał się.

— Lampioni coś w złym humorze. Pewno znowuż dogryzła ta... ta...

— Ty, Ignaś, milcz! — zawołał Lampioni. — Nie ostrz sobie na niej języka. Jak nie chcesz oberwać, to lepiej nic nie mów. Nie potrzebuję twoich szczerých przestroóg, mikrusie.

— Czemu Lampioni taki zły? — przerwał z prostotą Ignaś Konwalijka. — Przed trzema godzinami rozeszliśmy się jak najlepiej, a ja przecież Lampioniemu nic przez ten czas nie zrobiłem.

Na ten głos pokory opamiętał się Lampioni. Wzruszył ramionami tak niby przez pół z lekceważeniem, przez pół niby dźwigając w górę spodnie, i poprawił na głowie kapelusz.

— Jeśli chcesz ze mną żyć w zgodzie, to nigdy na Florę nic nie wygaduj. Zrozumiałeś?

Na to Ignaś rzucił garbem, co oznaczało u niego zdziwienie i nic nie odpowiedział.

— Zrozumiałeś? — powtórzył Lampioni łagodnie.

— Ja już doprawdy całkiem nie wiem, co

o Lampionim myśleć — odrzekł Ignaś, powtarzając poprzedni ruch.

— Myśl sobie, co chcesz. Spowiadać ci się nie będę. Tylko cię przestrzegam.

— Jak Lampioni chce — odezwał się Ignaś z wyrazem rezygnacyi i pilatowym gestem umykania rąk. — Jak Lampioni chce.

Na dowód obojętności zaczął gwizdać, przekreśwszy z fantazyą kapelusz na bakier. Lampioni jednak nie miał zupełnie ochoty na koncert, wyciągnął więc rękę przed siebie.

— Bądź zdrow, Ignaś.

Garbus ucichł.

— Lampioni — dokąd?

— Do letniska.

— Już? Nie wstąpi Lampioni do karczmy?

Spojrzał na zegarek i dodał:

— Dopiero dziewiąta.

— Nim zajdę, nim co?... Bądź zdrow.

— Zaraz, chciałem o coś zapytać...

— No?

— Czy Lampioni mówił co o mnie... jej... Florce?...

— O tobie? — zdziwił się Lampioni.

— To dobrze. Nie chciałbym, aby mi dokuczała jeszcze bardziej. A mogłaby... z zemsty.

— Ty jesteś, Ignaś, cymbał setny. Dlaczego ty jej się tak boisz? Nie mówiłem na wiatr, że ona ma dobre serce. Mówię ci, że wiem na pewno. Tylko, że wy jej nie znacie. Ty wiesz, że ona była tam w letnisku... i płakała przedemną...?

— Florka? Płakała?

— Widzisz? Wy jej nie uważacie za zwykłego

człowieka, co może płakać. Myślicie, że ma serce z kamienia. A ja ci mówię, Ignas, że Florka jest nieszczęśliwa, sama mi to powiedziała. I dlatego cię prosiłem: nic złego na nią nie gadaj. Nigdy, Ignas; ona ma dobre serce. Nawet się nie spodziewasz. Bądź zdrow. Dobranoc.

.....
Zbyt poważną figurą był Lampioni, by Ignas Konwalijski mógł nie zastosować się z całą skrupulatnością do jego życzenia. Będąc zaś pokojowego usposobienia i bojąc się nieporozumień, przestrzegł wszystkich, którym miła jest całość kości, by w obecności Lampioniego trzymali ostrożnie język za zębami. Nieraz mogłoby się coś komuś niepotrzebnie wyrwać, a wówczas on za Lampioniego nie ręczy.

Resztę, całą tajemną resztę schował Ignas dla siebie z godną podziwu dyskrecją. Ale trwało nie długo, gdy wszyscy przekonali się naocznie o osobliwym zbliżeniu się Lampioniego i Florki Markówniej; chodzili razem wieczorami między szóstą a dziesiątą, bo latarnik nigdy już teraz nie przyjmował w letnisku zaprosin. Zapaliwszy latarnie, cwałem wracał do wsi, gdzie u krańcu lasu oczekiwała go Florka zupełnie jawnie. Nie kryli się. Byli już może narzeczonymi, bo często — w niedzielę popołudniu — bywał Lampioni u Florki w domu. To dodało Lampioniemu w oczach rówieśników jeszcze więcej splendoru. On jeden śmiał się zbliżać do okrutnej śmieszki bez obawy. Ona jego jednego wyróżniała. I szanowała. Pono szanowała. Hej, Lampioni Wielki!

Nawet najoporniejsi wreszcie przyznali Lampioniemu pierwszeństwo przed innymi. Schować się

zgoła musi krępy Grześ Brzeczka, kowalczyk, ze swą urodą, jak malowanie. Hej, Lampioni Wielki!

Pewno, pobiorą się, młynarczyk bujny i czarowna kościelnówna. Niech on jeno wojsko odsłuży, będzie huczne weselisko. Przyjedzie, mundur krasny wojaka z rzuci i powiedzie pannę na kobierzec. Hej, Lampioni Wielki!

Prawie ostatni o synowych konkurach dowiedział się stary Guzdek. Wziął syna na ubocze i zapytał czy prawda.

Uśmiechnął się Lampioni, bo sam dobrze nie wiedział.

— Ano, coś tak niby... — odrzekł wreszcie niepewnie.

— Można — rzekł na to bardzo tajemniczo i uroczyście stary Guzdek. — Organista! — dodał, wznosząc w niebo palec i czule uściskał syna.

„Partya“ wydała mu się zupełnie stosowną i odpowiednią. Więc już gotował się do błogosławieństwa blizkiego. Lampioni Wielki zaś cmoknął tatę w rękę i kontent poszedł na siano. I zaczął dumać. Oto czeka go wielka sprawa. Trzeba będzie bowiem Florkę zapytać, czy zechce. A nuż ona pragnie, by i nadal był tylko jej „żołnierzem“? Bardzo się zasumował. A nuż?... Mógłby się poradzić Ignasia, bo chłopak trzeźwy i często rozumie więcej, niż inni; nie darmo mówią o nim, że „garbus, ale ma swój rozum“. Jednak iść do Ignasia z tą sprawą wstydził się. Samemu trza będzie wybadać wszystko.

Jak zwykle czekała na niego u krańca lasu w chustce ciepłej, bo zimno było. Przywitali się i spotem poszli w stronę domu Florki.

— Chłodno dziś — rzekła.

- Tak, już chłodno.
- Nie pójdziemy do Hamulca?
- W chodzie zagrzać się dobrze.
- E, już dziś mi się nie chce.
- Gdzie więc pójdziemy?
- Jeśli tatuś w domu, to do domu.

Nie było to Lampioniemu po myśli. Chciał się dziś z Florką rozmówić na osobności. Lecz zgodzić się musiał, bo wyboru nie miał.

Tatuś, pan Wojciech Marek, był w domu i paskiem skórzanym okładał właśnie Azora, łajdaka nad łajdakami, skaranie boskie, żarłoka i t. p. a właściwie psa, który skomlił w niebogłosy, wijąc się pod razami pana organistowymi. Wejście Florki i Lampioniego przerwało egzekucję. Pan Marek odsapnął, poprawił znieładzoną odzież, kopnął psa w zadek i zesznurowawszy brzuch z powrotem paskiem, podał rękę Lampioniemu.

— Na zdar! — rzekł, jak zawsze mówił, przypominając w ten sposób, że wojsko odslugiwał w Czechach (od r. 1866—1878).

Nie taił pan Wojciech Marek, że lubi Lampioniego. Rad patrzył na tę swobodną topolę i oczy mu się śmiały, gdy wymawiał „Lampioni“, w sposób — jak mniemał — zagraniczny i bardziej odpowiedni akcentując pierwszą zaraz zgłoskę. Czuł, że to szlachetniej brzmi. I jak ten, co na obczyźnie spotyka coś swojskiego — on, człowiek bywały we świecie, uśmiechał się rodzajem rozrzewnienia, wymawiając to cudzoziemskie przezwisko, które przypominało mu coś z dawna, może nie całkiem dokładnie, ale zawsze inne kraje... I spotkawszy tu wśród samych chłopów tę egzotyczną roślinę, roz-

marzał się, biegnąc wspomnieniem do czasów minionych, które wyczarowywał przed oczami słuchaczy w długich opowieściach, poczynających się zazwyczaj:

— Kiedym służył przy wojsku w „Czeszech“...

Lampioni słuchał zawsze do końca, jakby go to cokolwiek obchodziło; kiedy trzeba było, śmiał się, kiedy trzeba było, wołał: „Oho! Ba!“ I za to też zyskał sobie zupełną sympatyę i nieograniczone zaufanie pana Wojciecha, który towarzystwo jego przekładał nad inne, mawiając:

— Jesteś tęgi zuch Lampioni! Chciałbym mieć takiego syna, którego mi Bóg (niech Mu to będzie niewymowne!) poskapił.

I teraz także, zobaczywszy młodego swego przyjaciela, rozpogodził pan Marek srogą twarz. Zaprosił Lampioniego, by usiadł (co ten natychmiast uczynił) i zapaliwszy fajkę, rozsiadł się wygodnie na buraczkowej kanapie.

— No, opowiedz co, zuchu! Co słyszać? Będzie wojna...

— A mówią, że będzie.

— Hehe! — zawołał organista rozkosznie. — Będziecie się smażyć w ogniu kul! Poczekajcie! Tak, tak. Wojna, to nie żart! A ty kiedy do wojska stajesz?

— Z wiosną.

— Hehe! To pójdiesz w sam raz! Nie, nie, Lampioni! Byli inni i kości mają całe i jeszcze medal zdobi im pierś za zasługi.

— To Lampioni staje z wiosną do wojska? — zapytała Florka.

— Tak — odrzekł.

— Do konnicy, zuchu! — zawołał bohatersko pan Marek, marszcząc brwi i nastroszywszy dzielnie siwe wąsiki, jak dwa sztylety. — Do konnicy taki w sam raz! Będzie ułan, aż miło!

— Jak ułani są ubrani? — zapytała z ożywieniem Florka.

— Mają ostrogi u nogi! — zawołał ze śmiechem pan Marek, który wiele już w swem życiu pobożnych poematów odśpiewawszy, miał ucho czułe na rymy. — Mają ostrogi u nogi. Tak ułani są ubrani — powtarzał, zanosząc się od śmiechu i ksztusząc się dymem fajki.

— Nie, ale naprawdę — nalegała Florka. — Niech tatuś powie. Jakie mają mundury?

— Od dołu do góry! — powtarzał w dalszym ciągu organista, czerwony na twarzy od uciechy, jak piwonia, nie, jak bez, jak rozzłoszczony indyk.

— Kiedy jabym chciała wiedzieć naprawdę! Niech Lampioni powie.

— Mają czapki na głowie — wpadł jej znów w słowa ojciec. — Niebieskie bluzy i czerwone rajtuzy. Hahaha!

— Naprawdę tak? Niebieskie bluzy i czerwone rajtuzy?

— To się nie tylko składa, ale ma i sens i prawdę — zawołał Lampioni blizki entuzjazmu.

Rozparł się na buraczkowej kanapie pan Wojciech Marek organista i kościelny i uśmiechał się dumnie za chmurą dymu fajczanego.

— Już nieraz — rzekł — udało mi się tak złożyć do rymu. Raz to nawet pamiętam, ułożyłem taką śpiewkę, którą potem śpiewałem w kościele podczas sumy.

Panna Święta
Nie pojęta,
Gwiazd Królowa
Najświętsza.

A kiedy służyłem przy wojsku w „Czeszech“, to mieliśmy w pułku takiego, co sam układał różne wierszyki na kolegów.

— A czy Lampioni napewno pójdzie do ułanów? — wracała Florka raz jeszcze do poprzedniego.

— Do konnicy! Do konnicy! — z całą stanowczością twierdził ojciec. — W sam raz zuch do konnicy.

— Lampioniemu będzie w mundurze ładnie — zaryzykowała Florka głośną uwagę.

— A komu w mundurze nie ładnie? — zaśmiał się tedy stary. — I która dziewczyna nie poleci na mundur? Kiedym służył przy wojsku w „Czeszech“, to... haha! Nie jednobym ci, Lampioni, powiedział, ale...

Wskazał oczyma córkę, szelmowsko mrużąc powieki. Poczciwy starowina lubił się pysznić w ten sposób przed córką z jakiejś wrodzonej ambicji.

— Co też tatuś wygaduje! — wołała wówczas Florka zgorszona.

— Prawda, nie grzech — odpowiedział sentencyonalnie pan Marek — a udawać lepszego, niż się jest, to właśnie grzech.

Tak sobie tedy przygadywali o wojsku i jego sprawach, na wzdłuż i na wszerz, a Lampioni jął się tymczasem niecierpliwić, iż w żaden sposób nie nadarza się sposobność do skierowania rozmowy na przedmiot, który postanowił dziś poruszyć. Śmiał się, wołał: „Oho! Ba!“ zerkał koso na Florke i tak

upłynął rozkoszny dla pana Wojciecha wieczór na pogawędce lekkiej i swawolnej. Było już pół do dziesiątej, gdy Lampioni dźwignął się z krzesła i powiedział:

— Na mnie już czas.

Pan Marek spojrział na zegar.

— Jesteś akuraty, Lampioni. To mi się podobą. Jak służba, to służba. Będzie z ciebie człowiek, bo znasz swój obowiązek. Chciałbym mieć takiego syna.

Poklepał chłopca po łopacie i potrząsał jego dłonią.

— Dobranoc, jesteś tęgi zuch, Lampioni!

Florka odprowadziła gościa aż do furtki. I tu żegnając się, rzekła mu półgłosem:

— Wtedy Lampioni będzie moim prawdziwym „żołnierzem“! Prawdziwym!

On się uśmiechnął. I jeszcze przez króciutką chwilę z uśmiechem na ustach stali tak naprzeciw siebie, oddzieleni sztachtetami furtki.

Od tego dnia nie mówili już o niczem innem, jak tylko o wojaczce Lampioniego. Florka potrafiła trzepać o tem całemi godzinami i nigdy nie była tak ożywiona, jak wtedy, gdy zaczęła marzyć głośno o Lampionim-żołnierzu w niebieskiej bluzie i czerwonych rajtuzach, z ostrogami dźwięczącemi u wysokich lśniących butów i szablą u boku. Śmiały jej się wówczas niebieskie oczy, a czuła była dla swego kawalera, jak nigdy przedtem.

Letnisko się opróżniło i latań nie trzeba już było zaświecać. Lampioni oddał swą urzędową bańkę z naftą i ścierkę do szkiełek, a wzamian otrzymał

od zarządu piękne podziękowanie za regularne sprawowanie służby i zaproszenie na rok przyszły. Oczywiście, o ile doczekamy wiosny. Bo czasy zaczęły być gorące. Przychodziły z południa głucho echa pierwszych strzałów i wieści coraz krwawsze. Co pewien czas przywiózł ktoś jakąś gazetę pełną niespokojnych nowin o wojnie, a nawet wojnach, w których za łeb się brał sąsiad z sąsiadem, iż wrzało tam jak w kotle. Przyszedł alarm, uczynił się kilku-dniowy gwałt i rwetes, powstał płacz i narzekania, kilku wysłużonych wojaków ze wsi powołano pod broń. Poszedł z kuferkiem cieśla Piotr Macherzyna, kowalczyk Grześ Brzeczka, Nowakiewicz, Staszczyk, Oliwa i kilku innych z pod Hamulca. Poszli i znów zapanowała na jakiś czas cisza. Spadły śniegi i jakby zagłuszyły wszystko, co się działo na świecie. Wieści przychodziły skąpe i niepewne, ktoś otrzymał od Oliwy list z dalekiego południa, dokąd wysłano jego pułk. Potem znowu długo nic. Aż naraz pewnego południa styczniowe rozległy się niedaleko dźwięki trąb. Mieszkańcy wsi wylegli i słuchali. Zbliżało się wojsko. Przyszła z poblizkiego miasta kompania żołnierzy, którzy mieli budować za wsią szańce. Rozłożyli się w budynku gminnym, w straży pożarnej, w szkole, w Czytelni. Wśród nich był też Grześ Brzeczka. Otoczyli go chłopcy i baby.

— Będzie u nas wojna?

— Będzie — odpowiedział nielekliwie Brzeczka.

— O, Boże mój najmilejszy! — westchnęła Staszczykowa, która od męża dotąd nie otrzymała żadnej wiadomości.

Zaczęła się gorączkowa praca około budowy szańców. Co tęższy chłop szedł do pracy ciężkiej,

bo ziemia była zmarzła i twarda. Lecz płacili najemników dobrze, więc garnęli się chętnie i nie trzeba ich było zganiać. Od wczesnego rana do późnej nocy rozlegały się dźwięki łopat i uderzenia siekier w pobliskim lesie, aż wrzało wokół. Wreszcie stanęły usypane szańce, przy których ustawiano strażę. I znów było cicho. Wprawdzie przyszła wiadomość o nowych zaciągach, które jednak mało dotknęły mieszkańców, bo z pośród nich powołano jeno syna karczmarza Łapajowkera.

Nastała głucha cisza. Gdzieś wprawdzie tłukli i mordowali, ale o tem, co ma nastać bliżej, nigdzie nie mówiono.

— Cisza przed burzą — rzekł sentencyjnie pan Wojciech Marek, tuląc plecy do ciepłego pieca. — Dobrego nic się nie zapowiada, to pewne.

— Mój ojciec mówił — odezwał się wówczas Lampioni — mówił, że tych, których z wiosną pobiorą, zaraz wezmą do pułków i już nie puszczą do domu.

— Bardzo to możliwe, bardzo prawdopodobne. Trzeba im będzie dużo żołnierza. Pocóż mają czekać aż do jesieni? Niech zaraz się trochę przećwiczą w koszarach i hajda! w pole.

— Mówią, że będą puszczali tylko ślepych i kulawych.

— A pewno. Bo, jak powiadam: będzie im trzeba dużo żołnierza. Niema co! Jak wojna, to wojna, mój złoty.

— Nie dla każdego wojna jednaka — rzekła z nad szycia Florka. — Jeden idzie się bić, a inny, na przykład Brzeczka, siedzi sobie we wsi przy szańcach, albo u ojca w kuźni i orzechy tłucze pięścią.

— Temu to się tylko taka gratka nawinęła, że przypadkiem pomaszzerował do własnej wsi. Ale nie bój się! Jak przyjdzie co do czego, to nie dadzą żołnierzom tak darmo próżniaczyć. Poczekaj no! Wtedy przy szańcach postawią pospolitaków, a co żołnierz wyćwiczony, to marsz! na armaty!

Pan Wojciech stuknął fajką w piec, wysypał popiół i nałożył świeży transport tytoniu. Cisza panowała, skwirczał tylko knot w lampie, jak tłuszcz wylany na ogień. Florka cerowała jakąś koszulę ojcową, a Lampioni patrzył z pod oka na pilnie skaczącą iskrę igły, niechybnej w pewnych palcach Florki, i bez smaku, dla towarzystwa tylko pana Wojciecha, smolił ofiarowane cygaro.

— Ty już także niedługo do poboru, Lampioni, co? — przerwał milczenie organista.

— Wkrótce — odrzekł, zapytany. — Tego roku będzie jakoś wcześniej, niż zwyczajnie.

— I na wojenkę zaraz, co?

— Ha, trudno, jak trzeba, to trzeba.

— Tak mówi mężczyzna! Zawsze mówiłem, żeś zuch, Lampioni! Poznać, żeś nie chłop, bo ci już teraz zapijają się na ochotę, jak nieboskie stworzenia. Pfu!

Pan Wojciech splunął symbolicznie, a po chwili faktycznie i, z podełba patrząc na młynarczuka, zagadnął chytrze:

— A jak cię zabiją, Lampioni?

Ten wzruszył ramionami.

— Nie mnie jednego. Będę miał towarzystwo.

— Bogiem się świadczę, Lampioni, żeś zuch! Tak mówi mężczyzna! Słyszysz, Florka?

Florka przestała szyć i patrzyła na Lampio-

niego, który siedział ze spuszczonei oczyma i skubał zgryziony zębami i zaśliniony koniec cygara.

— A wiedz — rzekł pan Marek, zwrócony do córki — wiedz, że on zginąć może prędzej, niż inni, bo głową górować będzie nad innymi. Ale to zuch chłopiec!

— Naprawdę może zginąć prędzej niż inni? — zapytała Florka po chwili milczenia.

— Rozumie się! Łatwiejszy cel — zawołał z przekonaniem i pewnem fachowem doświadczeniem pan Wojciech.

I nagłym wojskowym ruchem cofnął prawą nogę, lewą ręką wyciągnął na całą długość w kierunku głowy Lampioniego, prawicę umieścił koło nosa, wystawiwszy wskazujący palec, jakby chwycił za cyngiel i zmrużywszy lewe oko, chwilę mierzył.

— Bum! — krzyknął nagle, zginając wskazujący palec prawej ręki i tupnął nogą. — Już leżysz, jak drut. Ani drgniesz.

Ten eksperyment doświadczalny zrobił na Florce pewne wrażenie. Cichutko westchnęła i z żalem spojrzała na długą postać przyszłego poległego ułana.

Tymczasem zaś pan Marek przyskoczył do Lampioniego i objął go ramionami.

— Wiesz, żeś tego chłopiec, anim się spodział! Kiedym mierzył, on ani oka nie zmrużył! Umyślniem patrzył. Ani oka nie zmrużył! Bogiem się świadczę: stał, jak świeca. Takich im potrzeba! Bóg z tobą, Lampioni! Chciałbym mieć takiego syna!

Ścisnął go i klepał po plecach. Naraz dał się słyszeć tęskny dźwięk trąby, zwołującej żołnierzy na nocleg. Płynęło melancholijne hasło śpiewnie

w czystem, mroźnem powietrzu, niosąc z sobą przypomnienie twardej doli żołnierza, i jego tęsknot rzewnych, i jego śmierci często w opuszczeniu. Coś nadmogilnego, jakaś najokrutniejsza beznadziejność jest w tej krótkiej wieczornej modlitwie.

— Dziewiąta godzina — zauważył pan Wojciech patrząc na zegar.

I nagle rozległ się głośny płacz Florki, rozdzierające jej łkanie. Padła na ramię ojcowskie i zanosząc się żałością, wołała z rozpaczą:

— Czy on naprawdę — — naprawdę pierwszy zginie?!

Pan Wojciech, zaskoczony niespodzianką, milczał. A gdy córka utuliwszy się nieco, uciekła ze wstydu do kuchni, zbliżył się zwolna do Lampioniego i zakrywając usta ręką, szepnął tajemniczo półgłosem:

— Ona się w tobie kocha, Lampioni.

Pani Guzdkowa obficie zlewała łzami te białe koszule, szyte dla syna, dla swego wielkiego syna. Ślozy zamazywały jej w oczach widok igły mętą mgłą. Prawie nie widziała, często spruwać musiała fałszywy ścieg i zaczynać na nowo. Szła tedy robota nieskoro. Zamiast sześciu, ledwo cztery koszule były gotowe w przeddzień odjazdu Lampioniego do poboru.

On już załatwiał ostatnie swe rachunki. Bo idzie i nikt nie wie, kiedy wróci i czy wogóle wróci. Może za trzy lata, a może nigdy. Stanowi przecież ładny cel. Taki, to co całkiem może nie wrócić.

Był dżdżysty wieczór marcowy, gdy poszedł do Marków.

— Przyszedłem się pożegnać — rzekł na wstępie, — bo nie wiem, kiedy wrócę. Może wcale nie?...

Kościelny i jego córka wstali z nad stoła milcząco i smutno patrzyli na Lampioniego.

— Tak tedy idziesz, Lampioni? — zapytał pan Wojciech, ujmując w dłoń ramię młynarczuka. — Idź z Bogiem, Lampioni, niech ci Bóg pomaga.

Florka miała oczy spuszczone i nic nie mówiła.

— Kochałem cię, jak syna, Lampioni — mówił dalej pan Wojciech trochę zmienionym głosem, — jak syna, doprawdy... Niech ci więc Bóg pomaga... Żal mi, że nas opuszczasz. Nastaly ciężkie czasy... Ale różnie bywa na świecie... No, idź, idź, Lampioni, Bóg cię nie opuści.

Wzruszenie zdławiło głos pana Marka. Ścisnął palcami ramię chłopca i potrząsał głową.

— Dziękuję za wszystko dobre — powiedział Lampioni drżącym głosem, ujmując rękę kościelnego i pochylił się, jakby go chciał w rękę pocałować. — Dziękuję.

Lecz pan Marek usunął dłoń i przyciskając do piersi głowę młodego człowieka, począł coś niewyraźnie i bardzo niskim basem mruczeć.

— No, chłopcze — słyszał było — jak syna... jak ojciec... niech ci Bóg...

Oczy pana Marka poczerwieniały i zmąciły się łzami. Potem przystąpił Lampioni do Florki i w milczeniu pocałował ją w rękę. Dziewczyna stała ze spuszczoną głową i nieporuszona.

— Z Bogiem... z Bogiem — mruczał pan Wojciech Marek, odprowadzając Lampioniego w uścisku do drzwi. — A w górę głowa!

Raz jeszcze od progu odwrócił się Lampioni i spojrzał na Florke stojącą wciąż w tem samem miejscu ze spuszczoną głową i przygryzionemi wargami, pobladła nieco na twarzy i dziwnie jakoś zrezygnowana. Rzucił ostatecznie spojrzenie i cicho za sobą drzwi zamknął. Minął wolnym krokiem sionkę i ociągał się jakoś, bo uwierzyć nie mógł, że ma opuścić ten dom bez jednego słowa pożegnania z ust Florki. Wyszedł na deszcz i wicher. Wokół pluskała woda w bajorach, przelewając się w obfitości z rynien. I wówczas usłyszał z głębi ciemnej sionki cichy głos:

— Adaś!

Nie: Lampioni, lecz: Adaś.

Obejrzał się. Nic nie widział. Ale czuł ciepłą bliskość Florki. Wyciągnął przed siebie rękę i natknął się na jakiś drobny karton.

— Na pamiątkę — usłyszał znany głos.

Schował do kieszeni, lecz nie puszczał dłoni, która podarunek trzymała. Do ust ją gorąco przyciskał, parząc pocałunkami.

— Idź, już, idź, z Bogiem!

Florka wyrwała rękę i słysząc było jej krok w ciemności, a potem ciche skrzypnięcie jakichś drzwi. I znów pluskała tylko w bajorach woda, przelewająca się w obfitości z rynien...

Lampioni namacał kartonik w kieszeni i głęboko na oczy nasunawszy kapelusz, skulony wystawił z sionki głowę na deszcz.

Gnał w błocie i wodzie na przełaj, pod wiatr, który gwizdał mu w uszach i targał szerokie kresy kapelusza. Odsapnął aż w młynie i zaraz na wstępie sięgnął po karton. Była to fotografia Florki.

Wsunął ją sobie do wewnętrznej kieszeni — na serce.

II.

Matka Lampioniego pobłogosławiła, roniąc łzy duże i niewstydlive, ojciec podał mu mężnie rękę, dodając otuchy, i odprowadził aż do wrót. Lampioni niósł mało obciążony kuferek i gwizdał sobie, a dziury błękitne w chmurach wróżyły, że może być jeszcze nawet słońce. Za sobą usłyszał Lampioni turkot zabierającego się do pracy młyna. Uśmiechnął się na myśl, że idzie i może nie prędko go znowu usłyszy. Jakoś wcale go to nie trapiło. Gwizdał sobie, a za chwilę począł nucić pod nosem:

„Zielona ruta roni, roni,
Piękny fartuszek u niej, u niej,
A pokaż,
Gdzie go masz,
Czy taki, jak u mnie.“

I znów się uśmiechnął. Śmieszyło się go to podskoczne: „a pokaż, gdzie go masz“. Karczma, miejsce zboru, była już niedaleko.

Lampioni ujrzał przed sobą idącego Ignasia Konwalijskiego. Był dziś jakiś taki śmieszny, jak dziecinne skakanie na jednej nodze.

— Hop, Ignaś! — zawołał Lampioni wesoło.

Garbus się obejrzał i przystanął.

— To Lampioni też? — zapytał już z daleka, widząc w ręku młynarczuka kuferek.

— Toś nie wiedział?

Lecz Ignaś zamiast odpowiedzi, roześmiał się nagle na całe gardło.

— Ale Lampioni, to się im już nie wywinie! — zawołał.

— Wiem, że się nie wywinę.

— Bo kogożby wzięli, jak nie Lampioniego?

Zrównali się i szli razem.

— Ty, jak widzę, bez kuferka — odezwał się po chwili ze śmiechem wielkolud.

Ignas rzucił garbem.

— Nawet nie wiem, po co mnie wzywają. Chyba na wstyd.

Zasępił się.

— A może mają na ciebie apetyt? — szydził z lekka Lampioni, jakoś tak ze zbytku radości, bo nie czynił nigdy kalece przytyku. — Możesz się im spodobać?

Ignas Konwalijski westchnął z melancholią i gorzko pokiwał głową.

— Już i Lampioni ze mnie drwi? — szepnął. — Gdyby Lampioni pomyślał, jak to smutno być garbaty!

Pożałował Lampioni drwinki. Rzekł:

— Nie, Ignaś, daruj, ja tylko tak ze zbytków... Wiesz, że nigdy się z ciebie nie śmieję. A zresztą, co ci tam, żeś garbaty! Wszyscy wiedzą, że masz swój rozum.

Ha, snadź o ten „rozum“ bardzo Ignasiowi chodziło, bo spojrzał Lampioniemu w oczy z wdzięcznością i pogłaskał go czule po ramieniu, jak głaszcząc się mocnego, a oswojonego drapieżkę: wężąc nieufnie podstęp i dzikość utajoną.

A Lampioni dodał:

— Nie jesteś głupi. Ci, co się z ciebie natrzęsają, są zazwyczaj mniej warci od ciebie.

Ignasz zupełnie się udobruchał, chwycił Lampioniego za ramię i przytulił się z dziecinnym gestem ufności.

— Byli już przed karczmą. Wewnątrz rozbrzmiewała, mimo wczesną porę, wrzawa wielu głosów i ochryply śpiew.

— Ej, i ty, Ignasz z nami?! — krzyczał Filip, fornał z plebanii, potrząsając ku kalece piegowatą dłoń.

I już miał na ustach jakiś z gruba drwiący żart, jakiś docinek dotkliwy i płaski. Wówczas rzekł Lampioni, marszcząc brwi.

— Ty, Filip, już jesteś pijany, więc pilnie strzeż swych słów.

I położywszy dłoń na ramieniu Ignasia przemówił doń przyjaźnie:

— Chcesz się ze mną napić szklanki piwa?

Zmądrzał nagle Filipek i schował łapę w kieszeń. Patrzył chwilę na nowoprzybyłych, mrugając ślepiami i twarz sposobił do grzecznego uśmiechu. Potem, zataczając się, podszedł do Ignasia i serdecznie go do serca przycisnął.

— Bóg z tobą, zacny chłopie. Siadaj z nami do kompanii.

Widzieli to wszyscy. Garbus uśmiechnął się z ukontentowania. Spojrzał na Lampioniego, jakby od niego zależało, czy przyjmie zaprosiny, czy nie. Młynarczyk nie lubił się puszyć, więc siedli obaj przy ogólnym stole, a Filip obejmował kalekę za szyję i całował w sine usta. Wiedział Ignasz Konwalijka, komu ma do zawdzięczenia, że w ten dzień dla siebie tak osobliwie śmieszny nie stał się celem pośmiewiska i ogólnych kpin, czego bać się musiał

zapewne w głębi serca. To też, ilekroć miał do ust podnieść szklankę cienkiego piwa, wpierw trącił nią o szklankę Lampioniego i wymownem podniesieniem brwi wznosił milczący toast, oczyma łagodnymi składając wielkoludowi jakieś niewypowiedziane życzenia.

Stał się nagle zażyłym kamratem i starym wszystkich przyjacielem. Michał Stanek zapewniał go z beczki, na której siedział, że uważał go zawsze za „głowę”. A Filip prosił, by zechciał pić z jego szklanki, bo są, „jak brat z bratem”.

Rad był w sercu Lampioni, widząc swe znaczenie. I nie mniej czuli to wszyscy inni.

Chłopcy byli już srodze popici, gdy woźnice do okna z dworu zapukali, dając znać, że czas już w drogę. Lampioni wstał, a za nim wstała reszta. Posłusznie, jak na rozkaz wodza. Na czterech wozach jechało ich około dwudziestu poborowych. Byli popici, prócz Lampioniego i Ignasia, i zawodzili, jak głodne wilki, rekrucką pieśń. Był to lament niemocy wobec niezblaganej konieczności i przemożnej siły, podobny do płaczu na widok spustoszeń, uczynionych przez powódź lub pożar. Trzymając się po dwóch w objęciach, z czapkami zsuniętymi zaważyacko na tył głowy, rozpaleni na twarzach a z mgłą nieprzytomną w błędnych oczach, wyli głosami podrywany przez raptowne skoki kół na wybojach szosy. I tak zaczęła się ta krzyżowa droga, wiodąca na losy niepewne, często bolesne, których nowość i nieznanosć jest tak straszna dla trwożnej i leniwej duszy chłopca.

Potem zsiadli z wozów, by ulżyć koniom na wzniesieniu drogi, i gromadą rozchwianą ciągnęli z śpiewem dzikim na ustach. A raz poraz któryś

wylewał z swej duszy nadmiar rozpaczliwej ochoty, porywczem, wisielczem: „Hu! Hu-u!”

Lecz junacka zawadyackość jęła się zwolna prze-radzać w niepokój, w niski, bydlęcy strach. Już powoli milkły podniecone głosy, wyczerpane jakby, zmienione. Znow siedli na wozy, które potoczyły się gładko.

Lampioni wciąż milczący posmutniał. Przed jego oczyma otwierała się droga nieznana, ujęła w podwójny szpaler barwnych mundurów i lśniących guzików. Trzy lata niewolnictwa i bezpłodnej męczarni pod twardą, brutalną pięścią. I niejeden bolesny cios. Oh, bo wiele słyszał o strasznej niepo-błażliwości i złośliwej mściwości wyzwolonych otro-ków i o czarnym chlebie, zatrutym dojmującym wstydem i goryczą poniżonej dumy i podeptanej go-dności. — I teraz możliwość blizkiej, łatwej w zawie-rusze śmierci potęgowała tembardziej żal, wzbiera-jący w sercu Lampioniego. Myśl o wspólnym gro-bie na pobojuwisku była dlań piekielną męką. Uczuł naraz bunt nieposkromiony. Zbudził mu się w du-szy głos protestu. „Nie chcę umierać!”

Było mu zimno i ręce miał fioletowo-sine. Dy-gotał od daleko nieznosniejszego zimna wewnę-trznego. I u innych, w miarę zbliżania się do miasta, niepokój wzrastał. Zda się, wytrzeźwieli wszyscy. Milczeli już, patrząc przed siebie tępo i bez wyrazu. Dopiero gdy wjechali w ludne ulice miejskie, chwycił ich znowuż nagle jakiś obłęd rozpaczy. Na całe gardło wyć jęli, jakby uwagę wszystkich przecho-dniów zwrócić chcieli na swą niedolę. To już nie były głosy ludzi. Bestyalski strach stłumił w nich człowieczeństwo.

Wpędzono ich do obszernej, pustej izby i ka-zano się rozbierać. Panował zaduch i smród, mimo otwarte na przestrzał okna. Krzyki i śpiewy ucichły. Nadzy, wchodzili wywoływani po kilku do przyle-głego pokoju, a potem wracali pojedynczo. Z twa-rzy wyczytałeś już wszystko, zanim jeszcze wypo-wiedział który wyroczne słowo w obcym języku, które rozumieli wszyscy, nawet niepiśmienni.

Lampioni czuł się zmieniony. Siadł na węzélku uczynionym ze swej odzieży i twarz ukrył w dło-niach, patrząc z pomiędzy palców na to, co się działo. Filipa oczywiście wzięli. Czemużby nie? Wytoczył się z komisyjnej izby i mruczał.

— Ano, jak będzie, tak będzie. Wzięli, to wzięli. Raz matka rodziła.

Nie śpieszno mu było się ubierać. Ogłupiały jakiś, stumaniały, stał w otwartym oknie, przez które wpadało słońce, oświecając bezmyślną twarz for-nala. Nagle odwrócił się, klasnął dłońmi w nagie uda i zwracając się do Lampioniego, krzyknął z roz-paczą:

— Tak razem pójdziemy, Lampioni Wielki!

Filip miał w tej chwili twarz człowieka na wszystko gotowego; potoczył wokół oczyma nabie-głemi krwią i wzrok jego zatrzymał się na szpale-rze nieruchomo stojących policyantów. Coś wście-klęgo błysło w spojrzeniu fornala. Zaciął zęby, ści-snął pięści i potoczył się w stronę strażników. Chciał bić.

— Filip! — krzyknął Lampioni piorunującym głosem. — Stój, waryacie!

I podniósł się z węzélka ogromny, długi, ze zmarszczonem groźnie czołem.

Ucichło w dusznej izbie. Wszyscy patrzyli na wielkoluda i na zrozpaczonego desperata. Ten spokorniał nagle. Z frasunkiem podrapał się za uchem i okólną drogą popod ściany zmierzał do swego ubrania, przeprowadzany ostrem spojrzeniem swego pogromcy. Potem mlasnął językiem, jakby coś chciał powiedzieć do siebie, ale machnął ręką, koso spojrział na młynarczuka i począł szukać swej koszuli.

Lampioni znów siadł. Otoczyli go chłopcy nawet nieznani patrząc z podziwem. I każdy myślał: „Ten ma władzę“. Tak każdy myślał w tej chwili o Lampionim. On się uśmiechnął, jakoś tak trochę boleśnie nawet, trochę cierpiąco, jak matka, gdy mówi: „Co ja mam za kłopot z temi dziećmi!“.

I wychodzili z komisyjnej izby znów coraz inni, i znów wywołano szereg nazwisk. Lampioni wciąż jeszcze czekał swej kolei. Już była może jedenasta, gdy usłyszał:

— Adam Guzdek.

Wstał.

— Haha, Lampioni Wielki!

— Lampioni Wielki!

Miał wokół siebie dwudziestu ludzi, pokrzykujących z rodzajem dumy:

— Lampioni Wielki!

Szedł w ich otoczeniu, górując nad głowami innych, a oni odprowadzili go gromadnie aż do szpaleru policyantów. Tu rozstąpili się i Lampioni przekroczył próg komisyjnej izby. Zamknęły się za nim drzwi. Lampioni drżał na całym ciele. Patrzył przed siebie błędnie. Ktoś popchnął go pod miarę. Uczuł na sobie spojrzenia wielu oczu i usłyszał jakiś gruby śmiech. Wiele głosów zaczęło naraz mówić w obcym

języku, w którym też zakrzyknięto wyrok: niezdolny. I już wymieniono nazwisko następnego.

— Jakże to więc: niezdolny? — zapytał Lampioni zmieszany najbliżej stojącego dygnitarza.

Był to kapral, biorący miarę.

— Chce pan służyć? — wmieszał się gruby niski żyd w binoklach.

— Ja? Nie...

— No, więc...

Wyszedł. Znów minął kordon policyantów i znalazł się w ogólnej izbie. Jak błędny krążył, szukając swego węzła, lecz nic przed sobą nie widział. I znów otoczyli go wierni krajanie, nawet nie pytając o wynik. Ktoś podał mu usłużnie koszulę, ktoś inny otrząpywał z pyłu surdut.

Wówczas Lampioni rzekł, blado się uśmiechając:

— Jestem... uwolniony...

Wrócili do wsi wszyscy, bo to było tylko przypuszczenie płonne, że zaraz brać będą w szeregi. Nie, jak zwykle dopiero na jesień. Wrócili w rozdwojeniu: jedni byli już jakby rekrutami, inni gwiżdżali sobie niefrasobliwie, mając znów na rok spokój. Wśród tych ostatnich był Lampioni Wielki i Ignas Konwalijska. Ten już nawet wcale powołany nie będzie. Garb uznano autentycznym. No, tak, któż mógł wątpić? — Lecz Lampioni, Lampioni Wielki!

— Jest już porad miarę dozwoloną. Pono dwa metry, czterdzieści centymetrów.

— Iii! — wycedził w sekrecie Michał Stanek — to suchotnik. Ma piersi zapadłe i wygląda, jak szczapa.

Zaśmieli się. Nie. Lampioni nie jest wcale niebezpieczny. Któż kiedy mówił właściwie, że Lampioni jest silny? Jest wybujały, jak słup telegraficzny. Tak raz nazwała go Florka Markówna.

— Mówię wam: suchotnik... — utrzymywał Michał Stanek lekceważąco. — Trącić go palcem, to się wysypie.

Tymczasem Lampioni śmiał się w wozie, na którym jechał. Śmiał się aż pod niebo wysokie i żartował z Ignasiem Konwalijką.

— Powiadam ci, Ignas, że najlepiej być albo za duży, albo za mały. Być średni, to się nie opłaca!

Przed domem Marków wyskoczył Lampioni z wozu i wpadł do sieni. Florka stała w drzwiach kuchni.

— Jestem uwolniony! — zawołał Lampioni, zdejmując kapelusz.

Florka nie drgnęła, nie rzekła słowa. Patrzyła na młynarczuka niebieskimi oczyma.

— Uwolnili mnie! — powtórzył Lampioni.

Skinęła wtedy głową i mruknęła:

— Tak...

Wyszedł pan Wojciech Marek z pokoju.

— Słyszę, że cię puścili — rzekł. — Chodź bliżej, opowiesz mi, jak to było.

Lampioni przestąpił próg pokoju, chyląc w drzwiach głowę.

— Nie mam dużo czasu. Rodzice pewno czekają w niecierpliwości.

— Tak tedy mówisz, że cię puścili... A co mówili? Żeś co? Za słaby, za wielki?

— Nie wiem, co mówili. Było bardzo gwaro.

— A co ci powiedzieli? Tymczasowo niezdolny?

— Tak, niezdolny... Może za wielki.

— A ileż masz? — zapytał ze śmiechem organista.

— Nie pamiętam. Więcej, niż dwa metry.

— Hoho! Na prawdę?

— Tak. Więcej, niż dwa metry.

— No-no-no!...

Lampioni się śpieszy. Sam chce przynieść rodzicom nowinę wesolą. Nikt nie powinien go uprzedzić. Pożegnał się prędko, wziął kapelusz i poszedł do domu. Lecz i w domu nie długo mógł wysiedzieć, bo radość ciągnęła go, jak na smyczy; biegać chciał wszędzie i każdemu mówić prosto w twarz, co zaszło, że wolny jest i nie zginie; że nie będzie stanowił dobrego celu dla strzałów. Przynajmniej na razie. Do przyszłego zaś roku, Bóg wie jak cicho już stać się może z temi sąsiedzkimi swarami!

Pognał wprost do karczmy do tych ludzi, którzy z nim wystawiali się tam na niebezpieczeństwo. Byli mu teraz tacy bliscy, tacy swoi — — że chętnieby dziś pozwolił Filipowi tłuc szklanki wedle sił i ochoty. Niech swobodnie dziś bryka, bo dziś wielkie święto Lampioniego.

Zastał ich w karczmie wszystkich, rozprawiających gorąco o zdarzeniach mijającego dnia. Był i Grześ Brzeczka, niegdyś kowalczyk, dziś pan geograf z białą, jak kość słoniowa, gwiazdką na kołnierzu. Czapicę swą wojską na tył głowy zasuwał, wsparł statecznie o stół obie mocarne pięści i głosem grzmiącym mówił. Ej, nie mówił właściwie! Kazał. On, co już trzy lata jadł wojskowy chleb, a teraz jadł go znów od jesieni, niejedną wiadomością mógł się podzielić z tymi, których w naj-

blizszym czasie czekał początek twardej służby. I nauczał ich Grześ Brzeczka o koszarowego życia sprawach tajemnych i jawnych, o tem, co zdarzy się im niechybnie, i o tem, co zdarzyć się może. Słuchali go z zapartym oddechem, bo potrzebne wydało się to teraz każdemu, jak światła przestroga na nieznaną drogę. Hoho, Grześ Brzeczka, gefrajter z białą, jak słoniowa kość, gwiazdką! Ten już wie niejedno. Dźwięczą w powietrzu cudaczne słowa, przekręcane z obcego języka, brzęczą, dzwonią, jak ostrogi, klaszczą, jak plusk kaprałskiego policzka, wymierzonego w pospolitą rekrucką mordę... Strach się unosi na połowinie izby szynkowej, jak ta smuga błękitna tytoniowego dymu, która także, zda się, zamarta w miejscu z przerażenia. — Nikt się nie rusza z miejsca. Wsparli głowy na pięściach i patrzą w surową, dzielną — coś jakby jeneralską twarz Grzesia Brzeczki. Długo jeszcze nie jest nowozaciężnym dość pana gefrajterowych słów, których on nie skąpi...

Wejścia Lampioniego nikt prawie nie spostrzegł. Może tych kilku wybrakowanych maruderów, którzy nudzili się opowieścią Grzesia, lecz wobec przewagi siedzieli cierpliwie... Radość młomarczuka potknęła się zaraz w drzwiach, jak dyabeł w progu kościoła. Wyskakiwał z nad stołu ostry głos Grzesia. Chwilę słuchał Lampioni. Mówią o woj-sku... Haha! O wojsku:

Lampioni przeciągnął kości i rozgłośnie ziewnął.

— Aaa — aaa — —

Audytorium kowalczuka podniosło na Lampioniego oczy o wyrazie zniecierpliwienia.

— W domu lepiej się wyśpisz, niż tu — rzekł

z przekąsem Michał Stanek. I, zwracając się do Grzesia, dodał: — Mów dalej...

Stał Lampioni na środku szynkowej izby w niezdecydowaniu: wyróżnić Michała w łeb, czy kazać sobie podać piwa?

Zaśmiał się szyderczo:

— Już ci, Michasiu, ciarki chodzą po plecach?

Znów z miną wyniosłą przerwał prelegent i spojrzeniem wzywał swych słuchaczy do zrobienia porządku. Bo inaczej pójdzie sobie i nie będzie mówił — czytało się w obrażonych oczach Grzesia. Ten Grześ Brzeczka! Sam się w sprawę nie miesza, bo jemu na tem nie zależy, czy będzie dalej opowiadał czy nie. Jemu na tem nie zależy. Ale zależeć powinno komu innemu.

— Ty się nie siepaj, dryblasie, bo nikt się ciebie nie boi, — rzekł Michał stanowczo. — Wygnali cię, boś suchotnik, to nie udawaj tu króla.

— Zamknij lepiej jadaczkę, Michasiu, boś gotów dzisiejszy dzień popamiętać dwa razy! — zawołał lekceważąco Lampioni.

Michał wstał, podszedł do przeciwnika i twarz nastawiając śmiało, rzekł:

— Spróbuj.

Tak rzekł i czekał.

Lampioni spojrzał po obecnych. I śmiech zgasił mu na twarzy, w niczych oczach nie czytał zachęty. W nikim nie widział gotowości przyjścia mu z obroną. Oczom swym nie wierzył... Nie byłże Lampionim, Lampionim Wielkim?

A Michał Stanek powtórzył:

— Spróbuj.

I dalej czekał.

Ręce zwisły Lampioniemu wzdłuż ciała. Stał bezradny w poczuciu swej śmieszności. Bo grube głosy nagle śmiać się poczęły wyzywająco. Zaśmiał się tryumfalnie Michał Stanek, wsparł się pod boki i w twarz Lampioniemu patrzył pogardliwie. Już policzka nie nastawiał, ale jeszcze czekał. Wreszcie rzekł:

— Śmiałek!

I na pięcie odwrócił się od Lampioniego.

— Mów dalej, Grześ! — odezwały się głosy.

— Na czym to skończyłem? — podjął tedy kowalczyk. — Aha! Przyszedł feldfebel...

Śluchacze bacznie nastawiali ucha. I tak było, jakby Lampioniego nie było już w karczmie.

Padł! padł Lampioni i nie był już Wielki! Śmiali się z niego, bo odprawiła go od siebie Flor-ka Markówna. Rzekła:

— Lampioni nie będzie moim „żołnierzem“, bo wcale żołnierzem nie będzie.

I dodała surowo:

— Gdy inni będą krew przelewać, Lampioni będzie leżał w murowanej ojcowej stodole na sianie!

I nazajutrz już łaskę w jej oczach znalazł Grześ Brzeczka, co krwi skąpić nie będzie. Ten będzie jej prawdziwym żołnierzem.

Lampioni został sam. Długi, smutny Lampioni! Szła wiosna, już przyszła, a Lampioniemu ani się śniło o jakiejś radości, o śmiechu, lub śpiewie. Włóczył się zasepiony po ojcowym młynie, nad służą huczącą sobie siadywał i patrzył w spienioną wodę. Ona zagłuszała jego żal serdeczny, dobra, łaskawa woda! I tak dni mijały, jedno po drugich. Przed

karczmą, ani przed kościołem, nie pokazywał się już Lampioni ponad potrzebę. Nie okręcał się już w okół siebie, by pokazać się z wszystkich stron. Przeciwnie: krył się i nikogo nie chciał widzieć, nigdzie iść nie chciał poza dom. Gdzież bo miał też iść, skoro wszędzie laża mu w oczy ta rozweselona para: Flor-ka organisty i Grześ Brzeczka w barwnym mundurze, sam, jak malowanie? Błyskał ową frajterską gwiazdką białą, jak kość słoniowa, czapkę błękitną z czoła na tył głowy i znów po chwili na czoło nasuwał. Na toż miał Lampioni patrzeć i wściekać się w sercu? Nie, jak Bóg na niebie, woli siedzieć w domu! Tu nikt mu w oczy się nie śmieje z drwinką i nikt go nie pyta: „co tam z wojną, Lampioni?“.

Czasem tylko Ignasz Konwalijski przyniósł swój garb smętny nad służę i siadał obok przyjaciela, którego on jeden nie opuścił. Milczeli zazwyczaj, patrząc w spienioną wodę i każdy myślał o swoich sprawach.

Lecz skoro się już Ignasz do syta napatrzył wodzie i chmurze niezatartej na czole Lampioniego, zaczynał się niespokojnie wiercić na swem miejscu.

— Czemu to cię nigdzie nie widać?

Mówił już Lampioniemu: ty.

Młynarczyk wzruszył ramionami w braku lepszej odpowiedzi. Z czasem jednak i odpowiedź znalazł na codzienne pytanie. Mawiał:

— Nigdzie mnie nie ciągnie. Kogoż mi to tak bardzo trzeba, by warto było poza próg wychodzić?

Tak odpowiadał Lampioni, a Ignasz kołysał głową na boki z mądrą miną. Pewnego dnia przydał do tego kołysania rzecz nową:

— Cóż cię ludzie obchodzą? O nich dbać będziesz?!

— Ludzie? — powtórzył Lampioni i zaczerwienił się. — Cóż ty myślisz, Ignaś! Myślisz, że się ich boję?!

Wydął wzgardliwie wargi.

— Mam ich w pięcie. Wiesz gdzie? W pięcie ich mam. Albo i gorzej jeszcze, haha!

— Że cię nie wzięli... — zaczął Ignaś nieśmiało...

Widział oczy Lampioniego! Niechybnie widział, bo dodał ostrożnie:

— Każdy wie, że masz swój rozum.

Nie, o ten „rozum“ Lampioniemu wcale nie chodziło! Jeszcze surowiej zmarszczył czoło i niechętnie odwrócił się od Ignasia. Lecz Konwalijka wcale się tem nie zrażał. Wolał już to, niż owo głuche milczenie nad służą. Wtedy czad najczarniejszy osadza się na duszy, gdy myśl pocznie bolesną orkę wspominań.

I wywlekał Ignaś plotki i nowiny dnia, byle gadać, byle mleć językiem, jak ten młyn pana Guz-dka. Na nic nie zważał. Z śmiałością jakąś rozpaczliwą i o Florce gadał i o Grzesiu. Lampioni słuchał pokornie z pochyloną na piersi głową i był błądy.

— ...Ona chce, by się jeszcze przed jesienią pobrali... Ale on mówił dziś w karczmie, że ani mu się śni żenić. Powiada: „Byłbym głupi! Jak da, na co czekam, to gwizdnę jej w ucho... świat wielki!“. Śmiali się. Ktoś powiedział, że tybyś się był żenił. „Bo głupi!“ zawołał Brzeczka. „Nie umie się brać do interesu. Gdyby człowiek z każdą kochanką

szedł do ołtarza, tobym miał już, hahaha! z tuzin żon!“.

— Tak mówił? — zapytał cicho Lampioni, patrząc Ignasiowi prosto w oczy.

Był błądy, jak płótno. I zęby mu szczękały. Podniósł się i znów siadł. I patrzył przed siebie martwo. Naraz porwał się:

— Tak mówił?! — zawołał.

— No... tak...

Jak wicher, pognął Lampioni przed siebie. Ignaś drgnął i bezwiednie chwycił się za głowę.

— Lam — — Dokąd ty?!

Potrząsając garbem, ile sił miał tylko, pobiegł śladami młynarczuka. Ten wpadł do karczmy i krwawymi rozejrzał się oczyma wokół. I dojrzał go. Dojrzał Grzesia Brzeczke, gefrajtra z białą gwiazdką. Porwał jakiś nóż.

— Coś mówił?! — krzyknął i rzucił się na kowalczuka.

Wszczął się zamęt i popłoch; powstał krzyk i hałas przewracanych stołów.

— Coś mówił! — krzyknął Lampioni, chwytając Grzesia za gardło i godząc weń nożem.

Nagle odleciał w bok, jak piórko i powalił się na ziemię. Dźwignął się wnet znów i godził w Grzesia. Ten tymczasem wyjął z pochew bagnety i błysnął nim groźnie.

— Precz! — wrzasnął.

— Coś mówił?! — krzyczał Lampioni nieprzytomnie.

— Precz, bo zakłuję!

Starli się. Pod sufit wyleciał nóż Lampioniego, wytrącony mu z ręki. A w tej chwili i młynarczuk

zatoczył się i padł na ziemię. Z piersi jego sterczała rękojeść bagnetu.

Nastała cisza. I nagle pusto uczyniło się w karczmie. Zatrząskiwano jakieś drzwi.

— Lampioni! Dokąd ty?! — dał się nagle słyszeć za oknami głos Ignasia.

Wpadł do środka i krzyknął:

— Jezu!

Pochylił się nad rannym...

— Co tobie? Lampioni, co tobie!?

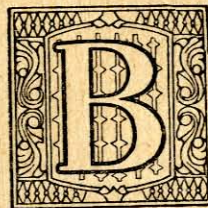
Ten otworzył oczy i spojrzał na Ignasia. Słabym ruchem sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął z tamtąd fotografię.

— To nic, Ignas, nic... Masz to, idź do Florki i powiedz... Nie, lepiej nic nie mów... Powiedz tylko: Lampioni... Lampioni... Wielki...

PRZYJACIELE

„Drodzy przyjaciele, niema przyjaciół“.

ARYSTOTELES.



Byli dwaj serdeczni przyjaciele...

I plotła się ta bajka równo, jednostajnie, bez burz i zwichnięć. Tak jedzie się sanną, tak przebiega się na łyżwach po szkłe lodu; jasno, gładko, pewnie, po męsku. Mija się to i owo, spojrzy się tu i ówdzie, jedno i drugie przechodzi bezpowrotnie, żegnane z żalem lub bez żalu, wita się rzeczy nowe, spodziewane lub nie, coś ucieszy, coś zasmuci, a w końcu jednak wszystko jest poza nami, w nas zaś jedno tylko niewątpliwe i wiecznie niezmiennie: przyjaźń serdeczna. Piękna baśń o męskiej stałości, o dwóch pewnych, niezawodnych dłoniach, spokojnych krzepkim uściskiem, i o sercach otwartych na oścież.

I oto pewnego wieczoru Kastor zadzierzgnął sobie na szyję lniany sznurek, odrącił nogą stópek i umarł. Po prostu, cicho, w samotnem mieszkaniu. A przedewszystkiem nagle i niespodzianie, nawet dla Polluksa. Gdy go tedy pytano, jakiby był powód tej niewesołej przygody, Polluks ku swemu wstydowi musiał milczeć.

— Pan musi wiedzieć — mówiono, — byliście

bowiem najbliższymi przyjaciółmi. Nie istniały między wami żadne pono tajemnice.

Polluks milczał. Milczał, bo nie wiedział. I uczył nagle do Kastora głęboką urazę, że nie wtajemniczył go w swój zamiar. Rozmawiali ze sobą wczoraj i przedwczoraj, długo i wszechstronnie, aż do wyczerpania wszelkich treści, po dno najostateczniejsze, od spraw najserdeczniejszych poczynając, a kończąc na najodleglejszych; mówili aż do chwili, która wszelkich rozmów jest kresem nieodwołalnym — i zdawało się, że przejrzeni wzajemnie swe wnętrza tajne tak starannie, iż żadne ziarno myśli nie uszło młóćbie języków. A tu tymczasem dźwigał Kastor coś, z czym się nie zwierzał, coś, co musiał w sobie (on, człowiek rozważny i wyrachowany) roztrząsać statecznie i nader poważnie, bo nigdy nic nie czynił bez głębokiego zastanowienia. Krył tedy przed przyjacielem serdecznym jakąś nieznaną treść psychiczną; nie wkładał tedy w ostatnie rozmowy całej głębi swej duszy, jak Polluks; miał coś tajemnie niepodzielnego, co zazdrośnie chował, pozując się w fałsz szczerości i jawnej prostoty. Wówczas gdy ze spokojem i nonszalancyą nieustraszonego — bo zdrowego — ateusza mówił o niesłuszności wiecznej nagrody lub wiecznej kary za życie, które — choćby było najbardziej zbrodnicze — jest przecież tylko życiem, dającym się liczyć na krótkie lata — och! wówczas nie mógł nie pamiętać, że za chwil niewiele własnowolnie wyjdzie naprzeciw swego kresu, kryjącego poza sobą ową niesprawiedliwość. A był tak niez mieszanym, tak prostolinijnym, jak człowiek, który ma za chwilę nie umrzeć, lecz wdziąć trzewiki lub otworzyć okno. Był skryty.

Fantazyja Polluksa zaczęła pracować z wytężeniem. Osnuwała Kastora całym nowym światem możliwych wydarzeń i spraw, wśród których grzebała z zawziętością kury na śmietniku, pragnąc przecież wydobyć na jaw jakieś ziarenko: powód śmierci. Wysiłek jednakże był daremny. Musiał się w końcu Polluks zgodzić, że w życiu Kastora istniała sfera dla niego niedostępna, kraina zdarzeń i spraw nieznaną, ukryta — że zmarłego otaczało jeszcze coś innego, coś zgoła głębszego, jeśli zaważyło na szali życia, tajemnica po wiek wieków niedocieczona, bo wziął ją z sobą do grobu. Błady, zimny trup z tajemnicą na zamkniętych wargach.

Uczuł się Polluks przytłoczony czemś nieznanym, co wyrastało ponad jego wiedzenie w imponująco gigantyczną wielkość. Do znikomych zaś rozmiarów zmalało to, co gmachem zdawało się niebotycznym: ich przyjaźń serdeczna, poza którą nie żył tylko on, Polluks. Po raz pierwszy zaimponował mu Kastor wraz ze swym życiem tajemnym. Znienawidził go więc i niezgłębione jego tajemnice, których nie mógł dociec.

A że pytano go ciągle o powód śmierci Kastora, odpowiadał bolesnym grymasem, westchnieniem, wnet zaś potem surowym spojrzeniem Kastona cnotliwego:

— Milczę, bo milczeć muszę. Mimo wszystko, był moim przyjacielem.

— Ach, więc — — ?

— Niestety!...

Po pewnym czasie już nie wątpił, że w życiu Kastora były sprawy nie tylko niejasne, ale zgoła bojące się światła dziennego.

I tak, sam otoczony aureolą wiernego „mimo wszystko“ przyjaciela, uspokoił się z wolna Polluks: tajemnica, która go przytłaczała, przylgnęła do ziemi nisko... niziutko... A imponująca wielkość pośmiertna Kastora roziała się lekko, jak mgła, na pomyślność i zdrowie duchowe Polluksa.

ZDARZENIE W OBERŻY POD PUSTYM WORKIEM



iebo przez cały dzień było tak bezna-
dziejnie szare, iż doprawdy niewia-
domo, kiedy właściwie zaczęło się
ściemniać. Ten wczesny zmrok je-
sienny wysączył się jakoś niespo-
strzeżenie z chmur, co zasnuły
niebo jednostajną i nieruchomą powłoką. Wilgotnymi
płatami przylepł do smugi lasu, czerniejącego za
brudnymi ścierniskami, przywarł do boleśnie nudnej
równiny i do odrapanych ścian oberży pod Pustym
Workiem i opodal leżącej kuźni.

Drogą błotnistą i pobrużdżoną kołami nikt nie
jechał, było tedy cicho. Tylko na szczątku płotu,
okalającego niegdyś oberżę, darła się obrzydliwie
obmokła wrona, a niekiedy odpowiadały jej z góry
krzykliwe siostrzyce, szybujące tam i sam z jakimś
gnuśnym i ociężałym niepokojem. Całym stadem
obsiadały gałęzie zabłąkanej Bóg wie skąd jabłoni,
potem nagle wzbijały się w górę, z wysiłkiem łop-
ocząc skrzydłami, okrężały wokół zabudowania
oberży i znowu wracały na jabłoni.

— Węszą ścierwo — rzekł do siebie stary czło-

wiek, siedzący obok przyzmy kamieni. Nogi miał okutane brudnymi szmatami, na grzbiecie wojłok, cuchnący parującą wilgocią, a w ręce młotek na krótkiej osadzie. Leniwemi rękami sięgał po bryłki kamienne, które kładł na kamiennym kowadełku i kilkakrotnem uderzeniem rozłukiwał na części. Mrużył przytem zaczerwienione powieki w obawie, by mu odpryski nie wpadały w oczy.

— Dosyć będzie — wymamrotał i ciężko powstał.

Przeciagnął się z ziewnięciem, przecierając oczy opylone dłonią i wsunął młot w kieszeń.

— Wstało niewiadomo kiedy, zaszło niewiadomo kiedy — mruknął, otulając się szczelniej odzieżą. — Słońce — uzupełnił po chwili.

Poprawił w kieszeni młot i nacisnął czapkę na oczy. Lecz jeszcze stał w miejscu, licząc wzrokiem przyzmy potłuczonego kamienia, biegnące brzegiem drogi.

— Ośm. A za zakrętem jednaście. Wszystko sam.

Zdjął wojłok z pleców i przewiesił przez ramię, a potem niecierpliwym ruchem barów począł ocierać grzbiet o szorstką koszulę.

— Dobry wieczór, Janie — zawołał daleki głos.

Rozpogodziła się twarz starego kamieniarza na widok niebieskiego fartucha Marka, kowala z sąsiedztwa, który się zbliżał, potrząsając w powietrzu olbrzymią dłonią.

— Dobry wieczór, Marku! — odpowiedział, wyciągając już zdala rękę szarą od pyłu i poszedł naprzeciw.

Gdy się zeszli, podali sobie dłonie i zawrócili

do oberży. Stała odsunięta od gościńca, ziejąc w samym środku czarną i wilgotną czeluścią wjazdowej bramy, sięgającej aż do omszałych gontów dachu. Ściany miała pokryte gzygzakami rozpęków i rudymi liszajami gliny, którą snadź niejednokrotnie łątano rany. Przed zajazdem na majdanie, porytym splątą siecią kolein i przysutym resztkami słomy, siana i sieczki, grzebały niewybredne kury. Nad wejściem chygotał na wietrze wilgotny worek, zatknięty na żerdzi, a pod nim kołatała o ściany blaszana wywieszka z zatartym już niemal całkiem napisem: Oberża pod Pustym Workiem.

Kamieniarz i kowal weszli w sień, tchnącą wilgotnie-ciepłymi wyziewami stajni i obory, i otworzyli na prawo drzwi, wiodące do gościnnej izby. Stary oberżysta, Łukasz, siedział beczynnie na niskim zydlu. Na widok przybyłych uchylił mycki, odstawiając świecącą łysinę, w której zwierciedle odbijały się czerwone plamy płomienia, tłącego na kominku. Podali sobie dłonie bez słowa i siedli za stołem niedaleko ogniska.

— I cóż na świecie? — zagadnął Łukasz oberżysta, kamieniarza Jana, patrząc mu ponuro w oczy.

Jan poprawił się na ławie, potem otarł szare od pyłu dłonie o spodnie, obu garściami odgarnął na boki obwisłe, szpakowate wąsy i, oparłszy dłonie na kolanach, rzekł:

— O południu zaszedł od miasta stary gałganiarz, Mateusz.

— Mówiliście z nim? — przerwał żywo kowal.

— Mówiłem. Przyjdzie pod Pusty Worek.

— Kiedy?

— Wieczerać. Ledwo go nie widać...

— I co mówił, co?

— Nie było czasu wiele rozpytywać, bo bardzo się do wsi spieszył.

Kamieniarz Jan, zatarł koło ognia zziębnięte ręce i patrzył zmruganymi oczyma w żar.

— A zresztą? — zapytał po chwili kowal Marek. Zapytany rzucił ramionami.

— Było pusto — odpowiedział głucho. — Krakała wrona na płocie...

Urwał i potarł czoło dłonią.

— Było pusto — powtórzył znowuż po chwili, patrząc nieruchomo w ognisko.

Kowal oparł łokieć o stół i zatopił palce we włosach. Lecz wkrótce podniósł spojrzenie na kamieniarza i głosem drżącym prośbą, zapytał:

— Naprawdę — nic?...

Ten zwrócił doń twarz z poza ramienia i odrzekł z urazą:

— Przecieżbym nie zwodził.

— Lecz Mateusz... Ten też nic nie wie?

— Wszak wiecie, że nie było czasu wiele rozpytywać. Jednakże przyjdzie on pewno wkrótce.

Marek pokręcił głową i zamyślił się.

Na dworze zaczął chlupotać deszcz leniwy i drobnokroplisty. Niekiedy wiatr ciskał w szyby garść kropel, co dzwoniły i łzami ściekały na ramy okien. Potem na chwilę wszystko cichło i znowuż pluskał deszcz leniwy i drobnokroplisty.

— Niewiadomo, co będzie... — wyszeptał półgłosem kowal, ruszywszy się niecierpliwie na ławie.

Oberżysta Łukasz, westchnął i potarł dłonią policzki czysto ogolone.

— Czekać jeszcze trzeba — rzekł. — Może

zresztą Mateusz jakąś wieść przyniesie. Zawsze... idzie z miasta...

— Eh, Mateusz! — machnął ręką kowal. — Gdyby coś wiedział, nie tańczył przed wami; skoroście go widzieli, a on wam nic nie powiedział...

Urwał. Kamieniarz i oberżysta zwiesili głowy na piersi. W kominie i w sieni wył żałośnie wiatr i targał na dachu luźnymi gontami. Po chwili rzekł oberżysta:

— Już czas nareszcie!

I spojrzawszy pytająco na kowala. Ten kiwnął głową i powtórzył:

— Pewno, że czas.

Kamieniarz Jan, zgarniał w zamyśleniu po- grzebaczem czerwone węgielki i nadpalone główne na kupę. Nagle podniósł głowę i zaczął głosem niepewnym i drżącym:

— A może... może wcale... Ej, nie! — dodał zaraz, potrząsając głową. — Pocóżby kazali szutrować.

— Pewno! — potwierdził kowal. — Po cóżby kazali.

— A kazali? — spytał Łukasz.

— Hm, pewno, że musieli kazać, skoro mnie zlecili te kamienie rozbić na szutrowinę.

Łukasz zaśmiał się głośniejszym i wsparł się pod boki i rzekł:

— Juści. To nie bez kozery.

— Nie bez kozery — przytwardził chętnie kowal Marek.

— Droga jest do jechania — ciągnął domyślnie oberżysta.

— Do jechania — przystał kamieniarz.

— Jak świat światem szosy tu nie naprawiali, a mimo to ludzie jeździli. Wystarczała dla nich.

— Dla kogo? — spytał Marek.

— Dla tych, co jechali. A teraz będą szutrować. To widać, że nie wystarcza dla kogoś. Rozumiecie, co mówię: dla kogoś. Dla kogoś to nie wystarcza, — upierał się gospodarz.

— Dla kogo? — zapytał znów Marek.

— No, dla kogoś, kto będzie jechał.

— Codziennie jedzie i nie jeden.

— Ha! Ale szutrować będą.

— Więc co?! — niecierpliwił się już kowal na dobre.

— Pojedzie ktoś, dla kogo szutrować warto. Bo pocóżby szutrowali? Pojedzie ktoś wielki — rzekł Łukasz.

— Wielki? Kto?

— Ktoś wielki, dla kogo drogę szutrować warto — tłumaczył Jan.

— A skąd wiecie? — spytał Łukasz.

— Wszak samiście powiedzieli.

Łukasz drapał się za uchem i mrużył oczy, jakby w myśli przypominał sobie wszystko, co powiedział. Wreszcie mruknął:

— A pewno.

— Szutrowina na połowie drogi już gotowa — mówił kamieniarz żałośnym głosem skargi — i czeka niecierpliwie na walce. Ach, ile to już czasu upłynęło!... Nawet nie wiem, jak długo siedzę codziennie przy drodze z młotem w ręce, a czekaniem w sercu. Zdaje mi się, że już upłynęły lata całe.

Wlepił oczy w ciemny kąt izby i bezdźwięcznie poruszał wargami, jakby żuł jakieś gorzkie słowa.

Lecz zagnała wypiął wprzód piersi i, wzięwszy się pod boki, potrząsnął głową:

— Juści! Wielki pan będzie tędy przejeżdżał! — rzekł głośnie. — Wielki! Bo pocóżby?

I powiódł pytająco oczyma po obecnych. A gdy ci nic nie odpowiadali, patrząc nieruchomo w okno, za którym chlupotała gnuśnie słońca, przysunął się do oberżysty i rzekł poufnie półgłosem.

— A może... może i czekać nawet nie będzie, aż skończą?... Może przed tem ruszy...

Gospodarz ruszył się z ożywieniem i kładąc dłoń na ramieniu starego kamieniarza, zapytał z ogniem w oczach:

— I pewno zajedzie pod Pusty Worek, co?

— A gdzieżby!? Pustkowie wkoło — zawołał stary człowiek pewnym głosem. — Pewno popasie zdrożone konie, może nawet i sam się prześpi...

— W alkierzu go ułożę — wtrącił Łukasz oberżysta.

— I może każe powóz i kopyta koniom opatrzyć na dalszą drogę? — dodał kowal Marek przysuwając się żywo.

— Juźci, że każe — potwierdził głośno kamieniarz Jan. — Każe wam oglądać obręcze u kół, obejrzeć podkowy, czy dobrze się dzierżą... Może nawet będzie trzeba przekuć jedno kopyto, a może i więcej... Bo któż przewidzieć może?

— Zapewne stanie pod Pustym Workiem — rzekł Łukasz. — I zawoła wesółym głosem: „Hej, gospodarzu! A macie tu gdzie w pobliżu dobrego kowala, któryby obejrzał kopyta mych koni?“.

Kamieniarz pochwycił z ochotą:

— A wy odpowiecie: „Jest, miłościwy panie,

w pobliżu mistrz w sztuce kowalskiej!“. „Zawołaj mi go tedy żywo!“. I rzekniecie do mnie: „Bieżajcie, Janie, do kowala z sąsiedztwa i powiedzcie, że jasny pan go wzywa“. Zwinę się wartko i przywiodę was przed oblicze pańskie. „Mówiono mi, że jesteście mistrzem w sztuce kowalskiej. Obejrzyjcie tedy kopyta moich koni, czy im czego nie potrza na dalszą długą drogę“.

I kamieniarz poklepał kowala wyniośle po ramieniu, uśmiechając się łaskawie.

— Pójdziecie więc do koni, a Łukasz zastawi stół bogatemi potrawy. Podjadłszy sobie smacznie, rzecze pan: „Gospodarzu, dawno już nie jadłem takiej wieczerzy w podróży. Macie za trud“. I rzuci wam sakiewką pełną złota. A potem wróci Marek i powie: „Panie miłościwy, pójdź i spojrzysz, jak opatrzyłem kopyta koniom“. Wyjdzie pan z izby poważnym krokiem, popatrzy i rzeknie: „Marku, jesteś naprawdę mistrzem. Jak długo żyję, nie widziałem jeszcze kowala, któryby tak opatrzył koniom kopyta. Macie za trud“. I rzuci wam drugą sakiewkę złota...

Oberżysta i kowal zacierali ręce i z uśmiechem cichym na ustach kiwali zgodnie głowami.

— A w końcu i na mnie spojrzysz: „Kto jesteś, stary?“ „Kamieniarzem, miłościwy panie i tłułem kamienie na szosę, którą miałeś, panie, przejeżdżać“.

Przerwał mu kowal:

— „Na Boga“, zawoła pan. „Toś ty potłukł tak kamienie? Jak żyję nie jechałem taką drogą. Macie za trud“. I rzuci wam trzecią sakiewkę.

Oczy trzech starców gorzały ogniem.

— Ho, ho! Wielki pan — zawołał oberżysta. — Sypie złoto, jak ziarna piasku, na wsze strony. Nie pyta ile. Sowiecie nagradza pracę ludzką.

— Wielki pan! — dodał kowal. — Spojrzy jasnym okiem i uzna zasługę...

Nagle zegar ścienny wybił pośpiesznie jakąś godzinę i zatchnął się na chwilę, jakby zaskoczony własną śmiałością. Starcy drgnęli i, spojrzawszy sobie z lękiem w oczy, pospuszczali głowy. Nastąpiła cisza. Tylko wiatr wył przeciągle w sieni i w kominie, targając niekiedy luźnymi gontami na dachu, tylko za oknami chlupotał miarowo deszcz leniwy i drobnokroplisty.

— Lecz gdzie jest Mateusz? — zapytał cicho kowal, wznosząc z niepokojem oczy na zegar, który tykał prędkutko, jakby pragnął wszystkie inne zegary przegonić.

— Pewno niedługo nadejdzie.

— Czekać z wieczerzą? — zagadnął oberżysta Łukasz.

Kamieniarz Jan i kowal Marek, porozumiewając się oczyma, odrzekli razem:

— Zaczekajmy.

Siedzieli już teraz bez słowa, zapatrzeni w ogień i słuchali jęków wiatru i nudnego pluskotu słoty. Po długiej chwili milczenia, oberżysta odchrząknął i poruszył się na ławie. Dwaj inni spojrzeli nań ze zdziwieniem.

— Zdawało mi się, że ktoś śpiewa — usprawiedliwił się szeptem.

Kowal wzruszył ramionami:

— Któżby w taki dzień śpiewał...

— Deszcz, deszcz, deszcz i deszcz — rzucił

się niecierpliwie kamieniarz i ukrył twarz w dłoniach.

Z łagodnym pobłażaniem w oczach przyjął kowal ten wybuch. Znów milczeli. Syczała wilgotna głównia na kominku, a na dworze dzwoniła blaszana wywieszka.

Łukasz nasłuchiwał otwartyszy usta.

— A jednak ktoś śpiewa — rzekł po chwili.

Marek uniósł się na ławie, a kąty jego ust drgnęły uśmiechem.

— Pewno Mateusz.

Na drodze zaszczekał pies. Wszyscy powstali do okna.

— A w mostku ciągle jeszcze ta sama dziura — zawołał z zewnątrz wesół głos.

— Gałganiarz — szepnął kowal z ulgą pewnością.

Poskoczył na przywitanie do sieni.

— Do stu furgonów beczek! — wołał przybysz. — Ten deszcz to dzieło szatana.

Wszedł do izby, rzucił w kąt pełny wór i witając się z obecnymi, pokrzykiwał ochoczo:

— Cóż tu u was, zakonnicy? Słota, jak na całym świecie... Jednak błota tyle jak nigdzie.

— Zjecie z nami? — zapytał gościnnie oberżysta.

— Dalipan! Jem, gdy świeci majowe słońce, zielenią się drzewa świeżymi liśćmi, ale gdy deszcz leje, to jem tem więcej — odrzekł gałganiarz siadając przy kominku. — Jem i piję zawsze i wszędzie. Dziś mogę tu z wami przejechać cztery trzywiki bez pary!

Śmiał się niefrasobliwie i zacierał z zadowoleniem ręce.

— Cóż tam na szerokim świecie? — zapytał niepokojnie Marek. — Nic się nie gotuje?

— Na świecie zawsze się gotuje, jak w garnku — odpowiedział gałganiarz — sprzedają, kupują, mienią, przerabiają, klną, kochają, robią dzieci i trumny, tańczą na chrzcinach rano a popołudniu na stypie... hi-hi-hi! życie, świat! Zaklinam się na własne chude gnaty, nic nie wiecie o życiu!

— Cóż wie podróżny o smutkach w domu dróżnika? — pokiwał głową kamieniarz.

— Cóż wy, Janie? — zwrócił się doń nagle gałganiarz. — Ciągłe jeszcze tłuczecie swoje kamienie? Jan spuścił głowę i wzruszył ramionami.

— Lecz cieszcie się! cieszcie! — ciągnął dalej gałganiarz.

Kamieniarz podniósł na mówiącego pytające oczy.

— Od miasta już zaczęli — zakończył tryumfalnie wędrownik.

— Jezus, Marya! Czy nie zwodzicie? — zakrzyknęli słuchacze i skoczyli ku opowiadającemu.

— Jak tu siedzę i suto jeść będę! — zawołał z przejęciem gałganiarz, bijąc się w piersi. — Gnioł walcami!

— Hej, a daleko są jeszcze?

— Czy daleko? Mila będzie a może i nie... Jak rażno pójdzie to w tydzień będą koło Pustego Worka.

— Dziękować Panu Najwyższemu! — westchnął z ulgą kamieniarz, składając nabożnie ręce i wśród łez śmiał się ze szczęścia, jak dziecko.

— Dziękować Bogu! — szeptali kowal i oberżysta, żegnając się krzyżem świętym i wznosząc oczy w niebo.

Stłoczyli się beztładnie i zarzucając się urywanemi słowy, ściskali sobie gorąco ręce.

— Trza będzie zamieść majdan i wybielić czy-sto ściany... Naprawię mostek nad rowem.

— Przyładzić trzeba mocne podkowy i obręcze na koła... Niech kowalicha fartuch mi przepierze.

— Rany boskie, pospieszyć się trzeba z trzema jeszcze przyzmi!...

— Zgarnę gnój za chlew... hej! spieszyć się trzeba.

Sprzęgnięci płonącemi spojrzeniami krzatali się żywo po izbie, zapomniawszy o gałganiarzu, który siedział nieporadnie na uboczu, kołysząc ze zdumieniem głową.

* * *

Minęło jak sen bezpowrotny.

...Przyszli w rozgwarze pracy skrzętnej i gorączkowej ludzie chmurni, niechętnie a pilni; zgar-niali szuter rozdrobniony przez starego kamieniarza, zalewali wodą, zaprawioną błotem ulicznym i ugnia-tali potężnymi walcami parowymi. Dudniła maszyna ostrym klekotem i roznosiła wokół nudną woń roz-grzanej oliwy i smarów; zgrzytały łopaty na szu-trze i chlupotała brudna zgęszczona woda. Robo-tnicy brodzili po błocie, milczący i zajęci. Na nie-śmiałe pytania kamieniarza, dla kogo to przyjazd ładzą, odpowiadali niemem wzruszeniem ramion. — Nie, nie chodzi mu o szczegóły, bo wszak wie do-brze, że wielki to pan... hoho! Nie wiedzą jednak, czy wkrótce czas go w drogę powoła? Milczą i krzy-wią twarze grymasem zniecierpliwienia. Ha, pewnie milczeć im kazano. A może właśnie oni nie wiedzą?

Podszedł do człowieka, który zdawał się być nadzorcą pracowników. Uchylił uprzejmie kapelusza i zapytał pokornie, czy nie mógłby go łaskawie objaśnić, kiedy właściwie — —. Urwał i uśmiechnął się chytrze, by dać nadzorcy poznać, że wszystko wie. Ten patrzył nań zmrużonemi oczyma i ze zmar-szczonem czołem. Nie rozumie, o co mu chodzi. Czy pyta, kiedy właściwie skończą? A cóż mu na tem może zależeć? Skończą wtedy, aż wszystko będzie gotowe.

— A potem? — podchwycił podstępnie kamie-niarz.

— Potem? — powtórzył nadzorca — pójdziemy dalej.

— Daleko?

— Któż wiedzieć może?... Jak daleko każą.

Stary kamieniarz szarpnął niecierpliwie szpako-wate wąsy. Niechżeż go nie uważa za dziecko, bo zdawna już wie o wszystkim! Jeśli go nie może objaśnić, to niech z góry powie, że albo o niczem mówić mu nie wolno, albo, ha-ha! albo sam nic nie wie. Tak, sam o niczem nie wie, bo lada komu przecież taki pan swoich zamysłów przedkładać nie będzie. Oto, w czym sedno. I na cóż to zda się ro-bić mądre miny i udawać, że się kryje ważną ta-jemnicę. Tak, jest głęboko przekonany, że pan nad-zorca o niczem nie wie. Żegnam.

Lekceważąco dotknął palcem kapelusza i splótłszy dłonie z tyłu, odszedł, dumnie stąpając po szu-trze.

Od dnia tego zaprzestał pytań i nie chodził już wzdłuż naprawianej drogi, jak dawniej, od miejsca, gdzie już przeszła, aż do kuźni kowala. Bezczyinnie

siedział przy oknie w oberży i czekał niecierpliwie, rychło ucichnie niesamowity gwar pracy: szcęk i zgrzyt łopat, boleśnie przejmujący klekot maszyny, nieustanny plusk rozlewanej wody.

Pewnego ranka (noc miał pełną niespokojnych snów i złych przeczuć) wyszedł z oberży pod Pu-
stym Workiem i, jak wryty, stanął w progu. Droga była pusta. Jakaś troska czy żal osiadł mu na czole: było znowuż przeraźliwie cicho. Z piersi starca wy-
darło się westchnienie. Ze zwieszoną głową prze-
szedł drogą świeżo wyszutrowaną aż do kuźni ko-
wala. Ten stał w czystym fartuchu przy wygasłym
ognisku i patrzył przed siebie.

— Jest znowuż cicho, jak było przedtem —
rzekł żałośnie po przywitaniu.

Kamieniarz nic nie odpowiedział.

— Zniknęli wczesnym rankiem na zakręcie
drogi — dodał kowal i dłońmi rozprostowywał far-
tuch na piersi.

— Pewno już niedługo... — zaczął kamieniarz
i niepewnie zamilkł.

Kowal spojrzał nań z cichym niepokojem. Ru-
szyli się i wyszli z kuźni na drogę.

— Oberżysta wymiółł majdan, wybielił czysto
ściany i czeka, siedząc na przyzbie beczynnem.

— Ja też dziś nie roznieciłem ogniska, bo nie-
wiadomo, czy już dziś przejeżdżać będzie.

Szli w stronę oberży.

Stary kamieniarz piętą popróbował mocy szu-
trowej powłoki.

— Twarda jest i niema pyłu ani błota — za-
śmiał się z dumnym zadowoleniem.

Doszli do zajazdu. Oberżysta Łukasz siedział

przed domem na niskiej ławeczce przypartej do
ściany i patrzył na drogę idącą do miasta. Odświe-
tnie był ubrany i odświeźnie poważny.

— Są już pono koło cmentarza — powiedział
zamiast przywitania.

A gdy nikt mu nie odpowiedział, pokiwał głową.

— Przyszli i poszli.

Znowu patrzył na drogę idącą do miasta i pal-
cami bębnił na kolanie.

— Niewiadomo, czy już dzisiaj przejeżdżać bę-
dzie — zwrócił się nagle do kamieniarza.

Jan rozłożył ręce i, przegiąwszy w bok głowę,
rzucił ramionami. Oberżysta chwilę jeszcze posie-
dział w milczeniu, a potem wstał i wyszedł na go-
ścińiec. Kowal i kamieniarz poszli zwolna za nim.
Stanęli obok siebie w rzędzie i ruszyli drogą w stronę
miasta. Nic nie mówili do siebie. Kroczyli zgodnym
krokiem krzepkich starców aż do trzeciego zakrętu
koło Męki Pańskiej. Tu przystanęli.

— Trudnoby było dojrzeć zbliżających się, bo
koła nie wzbijają pyłu — rzekł kowal.

— Tak — odpowiedzieli tamci.

I zawrócili. Znowuż szli w milczeniu obok sie-
bie, statecznie czekający, szli zgodnym miarowym
krokiem marszu. A gdy doszli do kuźni, oberżysta
szurgnął nogą o drogę i zaśmiał się:

— Gładka, jak posadzka. Hej, pięknie przy-
sposobili! Ho-ho! Ktoś wielki! Bo pocóżby aż
tak?

— O pewno! — zawołali kowal i kamieniarz,
śmiejąc się również. — Bo pocóżby aż tak?

Znowuż ruszyli z powrotem i znowu szli obok
siebie aż do trzeciego zakrętu koło Męki Pańskiej,

zgodnym, miarowym krokiem krzepkich starców.
Nic nie mówili do siebie.

* * *

Wieść o oczekiwanym przejeździe tajemniczej wielkości zaczęła się zwolna rozszerzać. Kiedy niekiedy zabłąkany w tę stronę przejezdny pochwycił lotne słowo i poniosł je dalej, skąd skrzydłała nowina wracała echem zapytań kierowanych do oberżysty: „Kiedyż to wreszcie będzie“. Łukasz przybierał wówczas zagadkową minę, która, wraz z odnowioną oberżą i czystym fartuchem kowala, czyniły wątpliwą wieść bliską pewnością.

Lecz szosę dawno ukończono, a tymczasem smętny i rozplakany deszczem wrzesień przeszedł w ponury październik, a ten w rozpaczliwie szary i pusty listopad.

Kamieniarz wrócił dziś smutny i posępnie zasunął się w mroczny kąt izby. Przy stole milczeli Łukasz i Marek.

— I cóż tam? — zapytał oberżysta.

Jan machnął niechętnie ręką i szczerze otulił się płaszczem.

Kowal westchnął.

— Tylko nie traćcie nadziei — zawołał oberżysta. — Może przeczekać chce plutę. Przecież droga daleka, a i powozu szkoda i koniom nierażno po błocie.

— I to być może — rzekł kowal Marek. — Bo pocóżby się miał spieszyć pan taki.

— Ot prawda — rzekł kamieniarz.

— W górę głowy! — krzyknął Łukasz. — Byście zaś nie upadali na duchu, znajdzie się i na to środek. Jest butelczyna.

— Ejże!? — zawołali dwaj inni.

— Było trzeba coś przygotować. Pan taki lury nie przelknie.

Gospodarz przymknął drzwi i okiennice i zaświeciwszy latarkę, zszedł do piwnicy.

Kowal i kamieniarz spojrzeli sobie w oczy i radośnie zatarli ręce.

Po chwili Łukasz przyniósł opyloną butelkę, której główkę stroiła czerwona czapka z laku.

W sprawnych rękach Łukasza wyskoczył z flaszki hucznie korek i w lot przed każdym stanął kieliszek, w którym zagrał płyn złoty. Łukasz podniósł czarę pod światło, umoczył w niej usta i cmoknął smakowicie językiem:

— Łagodne, jak masło, a mocne, jak ogień. Sprobujcie.

Stuknęły się trzy kieliszki i trunek zniknął w zadowolonych gardzielach.

— Nie zgani was pan za to winko, Łukasz. Bądźcie pewni — rzekł z uznaniem Marek.

— Nie piłem, jak żyję, nic takiego — dodał kamieniarz Jan.

— Spodziewam się — przyjął dumnie pochwałę gospodarz i dodał wdzięcznie:

— Powtórzmy!

Spojrzeli nań z niewiarą.

— Jak balsam — wystawiał dla podniety kowal.

— I pańska jest hojność gospodarza — popierał kamieniarz.

— Znajdzie się druga i trzecia, jeśli trzeba — wołał po sercu głaskany gospodarz.

Brzęknęły o się znowu kieliszki.

— Zdrowie naszego pana — krzyknął rozweselony kamieniarz.

I flaszka poszła w kolej...

...Dobrze kurzyło się z czupryn i chwiały się nogi Łukasza, gdy uniesiony szczodrotą własną, pochwałą towarzyszy i wielkością przyszłego zdarzenia, wynosił z piwnicy, sam już nie liczył którą butelkę.

Szeroko im było w duszy, różowo w oczach. Znikły wątpliwości a nadzieja przyszła przybierała wyrazistość prawie dotykanej lada chwila obecności.

— Ładną kieskę złota rzuci wam za taki specyał — rzekł kowal.

— Im bardziej kontent będzie ze mnie, tem hojniej was nagrodi — śmiał się radośnie Łukasz.

— I uzna tego, kto tłukł szuter — nie zapomniał o sobie kamieniarz.

— Więc wasze zdrowie, Łukasz — krzyknęli z duszy Jan i Marek.

Łukasz całował ich gorąco, śliniąc im odkwitające po winie policzki.

I nie było już końca uściskom i kieliszkom pod opieką nadziei i nocy — —

...Rano kopciała mocno wypalona lampa, gdy na hałas silnego stukania w okienice podźwigali ciężkie, żdziwione głowy z ław, na które padli zmorzni. Zaspany gospodarz przetaił oczy i otworzył drzwi. Smuga szarego, brudnego światła wpadła do ciemnej izby.

— Sam król mógłby tędy przejeżdżać, a nie dopukałby się do was, Łukasz — rzekł w próg wchodzący gałganiarz Mateusz, podając dłoń gospoda-

rzowi, za którego plecyma pojawiły się osołowiałe twarze Marka i Jana.

— Kto przejeżdżał? — spytali zbudzeni, półprzytomnie i dreszcz przebiegł im po plecach. Spojrzeli na się przerażeni.

— Bóg go tam wie — odparł gałganiarz. — Wstąpiłem na wódkę i ogórek.

— Kto jechał? — powtórzył cicho gospodarz, nalewając drżącą dłonią gorzałkę.

— Wasza rzecz pilnować, nie moja — odrzucił obojętnie Mateusz. Wychylił kieliszek, otarł usta rękawem i splunął na ziemię.

— Bądźcie zdrowi. Czas w drogę. — I wyszedł żując po drodze ogórek.

W izbie zaległa grobowa cisza. Trzej towarzysze opadli ciężko na ławę nie śmiejąc sobie spojrzeć w oczy. Straszliwy ciężar przygnoił im barki. Olbrzymia budowa nadziei i oczekiwań runęła nagle w gruzy. Zaspali! Przespali chwilę! Tę chwilę, której czekali tak długo, którą zmarnowali zalawszy sobie swe stare łby! Jakaś mściwość na siebie samych zaciskała im pięście! Czuli, że popełnili coś nie do darowania! Zaprzepaścili coś niepowrotnego i niepowtórnego — całą przyszłość, los, który się raz tylko trafia i nawiedza progi człowiecze. Byliby gryźli palce i rwali włosy z głowy. Rozpacz dławiała im gardła. Jednak z tego całego zamętu żalu i wyrzutów wypływała, jak bąbel na bagnie, zbawcza niewiara.

— Przejechał! — wykrztusił głucho Łukasz.

— I to dziś właśnie — jęknął Marek — gdyśmy...

— Stu dyabłów — syknął zrozpaczony Jan.

Lecz wnet dodał:

— A może łże?

Gdy po chwili rozległ się na dworze turkot, porwali się, jak ze snu. Do izby wszedł przejezdny rzadki chłopina z biczem w rękę.

— Wódki — rzekł krótko, stawiając u drzwi bacisko. A przełknąwszy kieliszek, rozglądnął się po izbie, spojrzał badawczo w twarze obecnych i spytał:

— Już jechał?

Trzej ponocni biesiadnicy spojrzeli sobie beznadnie w twarze.

— Nic wam do tego — oburknął gospodarz, dzieląc się niepokojem z towarzyszami, którzy patrzyli nań zmieszani. A nuż jechał? A nuż ludzie wiedzą, że jechał? Właśnie gdy oni, tak głupio... Co za wstyd! I dla pewności dodał rzucając porozumiewawcze spojrzenie na towarzyszy:

— Jechał i może jeszcze raz jechać będzie.

— Cie, cie! — rzekł z podziwem chłopina. — Musieliście tego zarobić. I pan kowal także — dał zwracając się do Marka. — Opatrzeć dobrze konie też sztuka.

A widząc u obecnych niechęć do rozmowy, wziął biczysko, pochwalił Boga i wyszedł.

Towarzysze stali bez ruchu, z opuszczonymi rękami, jakby w ziemię wrosli.

— Czyżby i on wiedział? — szepnął gospodarz.

Nie odpowiedzieli. Czuli w ustach gorycz i niestatek w ciele. Łukasz podszedł leniwie do szynkwasu, zniechęconym ruchem sięgnął po flaszkę na półce i nalał trzy czarki wódki:

— To skrzepi.

Po chwili przywołał parobka:

— Zamieć izbę i pilnuj.

Wszyscy trzej wyszli. Szli długo w milczeniu, z rękami na grzbiecie założonemi i pochylonemi głowami po gładkiej szosie.

— Gałganiarz łgał — rzekł siląc się na pewność w głosie Łukasz.

— Może i łgał — powtórzył Marek utwierdzając się w sobie.

— Pewno łgał — poświadczył Jan.

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, spotkali idącego z tłumokiem piechura.

— Przejechał — krzyknął. — Słyszałem od Walka Sochy. Poszczęścił los kieszeni. Daj Boże! Podziękowali milczącym skinieniem głowy.

— Dużo u was zostawił? — spytał ciekawy przechodzień.

— Coś niecoś — odparł niechętnie kowal nie zatrzymując się zgoła.

— Shardzieliście — rzekł spotkany kręcąc głową i ruszył w dalszą drogę.

Kowal syknął przez zęby, jakby z bólu. Gospodarz strzepnął palcami i zaklął. Kamieniarz podrapał się z troską za uchem.

— Nie może być! — jęknął boleśnie. — Rany boskie!

Nagle u drugiego zakrętu drogi kowal stanął, jak wryty. Towarzysze uszedłszy dwa kroki, stanęli również, oglądając się na pozostałego w tyle. Kowal podniósł na nich pytające oczy i wskazał palcem na ziemię.

— Co? — zapytali.

— Wybój w gościńcu — rzekł głucho kowal Marek.

— I cóż to znaczy? — odparł oberżysta. — Ot, wybój.

— A potem? — zapytał kowal, patrząc oberżystę zimno w oczy.

— Jakto: potem? — rzekł Łukasz i cofnął się zdumiony.

— Potem zrobi się drugi wybój.

— Tak — poświadczył bezmyślnie kamieniarz.

— A gdy zrobi się drugi wybój, potem trzeci, czwarty i dziesiąty — ciągnął kowal nieubłaganie.

— I cóż to znaczy? — bronił się oberżysta. — Ot, wybój. Przyjdą i naprawią.

— Jeśli będzie jechać — rzekł kamieniarz.

— A jeśli nie naprawią? — zapytał kowal.

— Eł, nie gadalibyście — odburknął oberżysta i ruszył twardo z miejsca.

Wrócili z ciężkimi sercami. Po drodze zauważyli wybój drugi, trzeci, dziesiąty. Dzień cały nie mogli dać sobie rady. Oberżysta wychodził wciąż przed wrota i wyglądał w dal. Kamieniarz dumął w ciemnym kącie i na każdy szmer podnosił głowę patrząc w okno. Kowal zaszedł do kuźni, lecz nie mogąc się zabrać do roboty, wrócił pod „Pusty Worek“. Kiedy niekiedy zaszedł ktoś z przechodniów i zadawał drażliwe pytanie, lecz spotykał się z wymijającą odpowiedzią. Męczyli się tak do wieczora.

Na dworze zaczął deszcz padać. Wiatr wył i jęczał, jak po jakiejś stracie. Na świecie było mokro, tylko w ich gardłach sucho nie do zniesienia. Skropili podniebienie raz, drugi i któryś. Kowal dziś płacił. Po dniu smutnym stał się wisielczo wesołym, co udzieliło się oberżystę i kamieniarzowi. Potem wszedł gałganiarz. Był mokry i zziębły. Podał

wszystkim kolejno rękę, uśmiechając się przymilająco do kieliszków.

— Siadajcie do kompanii — krzyknął hulaszczko podпиты nieco kowal.

— Siadajcie! — powtórzyli inni.

— Bóg zapłać! — podziękował gałganiarz i zajął miejsce za stołem.

Popił tego, chrząknął i pogłodził się po brzuchu, po którym rozlało się błogie ciepło.

— Słyszałem — zaczął.

— Dobrzeście słyszeli — odparł kowal zapobiegając odezwaniu się sprzymierzonych.

— Czemuście rano chcieli zataić? — spytał przybyły. — Pocóż ten sekret?

— Cóż gadać na próżno — rzekł kowal.

Zaśmiał się gałganiarz:

— Mądryście, Marku! Rozumiem. Kapnęło wam w kabzę i boicie się, by kto nie uszczknął pożyczki.

— A pewno! — Kowal zaśmiał się szeroko i znowu napełnił szkło.

— Eł, co tam gadać! — rzekł chmurno kamieniarz.

Kowal uderzył go po ramieniu i rzekł:

— Całkiem słusznie, Janie. Nic nie gadać! Łukasz, nowa miarka!

— Jest dzisiaj z czego — zauważył gałganiarz.

Wtem otwarły się drzwi i weszli nowi goście. Aż zdumiała się karczma! Nigdy o tej porze nie gościła w sobie tylu przybyszów. Był łatacz z miasteczka, szklarz, cieśla i inni. Przyszli z ciekawości, by wypytać się o nocne zdarzenie. Mieli prawie milę drogi, lecz przecie warto posłyszeć, co i jak było.

Przywitali się z obecnymi w ostentacyjnie wyjątkowy sposób. Przysiedli się na ławie do kompanii. Gadałi z początku o tem i owem, lecz obchodząc temat właściwy stawiali raz po raz miarkę, by wtajemniczonym tą drogą rozwiązać języki.

— Słyszeliśmy w mieście — odezwał się ktoś niewyraźnie.

Gospodarz wziął kowala na stronę:

— Musiał przecie przejeżdżać skoro wszyscy wiedzą. Choć nie wstąpił, to jednak sprowadza mi gości. I to coś znaczy — pocieszał się.

U stołu robiło się stopniowo coraz gwarniej i serdeczniej. Otwierały się zwolna serca już do tyła, że nie zdziwił się nikt śmiałością, gdy szklarz rzekł:

— Więc przejeżdżał tej nocy? Jakże to było? Gadajcie!

Z czerwonej twarzy kowala bił żar, a trunek dodawał mu odwagi.

— Ot, jak było — rzekł junaczko. — Zajechał poszóstną karetą i kazał się wieść do alkierza. I zawołał wesołym głosem: „Hej, gospodarzu, a macie tu gdzie w pobliżu dobrego kowala, któryby opatrzył kopyta mych koni?“. A Łukasz na to: „Jest, miłościwy panie, w pobliżu mistrz w sztuce kowalskiej“. „Zawołaj mi go tedy co żywo!“. I krzyknął Łukasz do Jana: „Bieżajcie, Janie, do Marka i rzeknijcie mu, że jasny pan go wzywa“. Zwinął się Jan wartko i przywiódł mnie przed oblicze pańskie. A gdym wszedł, pan rzecze: „Mówiono mi, że jesteście mistrzem w sztuce kowalskiej. Obejrzyjcie tedy kopyta mych koni, czy im czego nie trza na dalszą drogę“. Poszedłem więc do koni, a gospodarz zastawił stół bogatą strawą i drogim trunkiem. A gdy pan pod-

jadł sobie smacznie i popił dobrem winem, rzekł: „Gospodarzu, dawno już nie jadłem takiej wieszczy w podróży. Macie za trud“. I rzucił mu sakiewkę pełną złota.

— Co wy też mówicie! — odezwały się głosy.

— Nieprawdaż, Łukaszu? — spytał kowal.

— Sama prawda — przytwardził gospodarz.

Wszyscy zwrócili się ku niemu:

— Cóż dalej? Mówcie!

Gospodarz zawahał się chwilę.

— No, cóż dalej? Potem wrócił Marek i mówi: „Panie miłościwy, pójdz obejrzyj, jak opatrzyłem kopyta koniom“. Wyszedł pan z izby krokiem poważnym, popatrzy i rzecze: „Marku, jesteś naprawdę mistrzem. Jak żyję, nie widziałem jeszcze kowala, któryby tak opatrzył koniom kopyta. Macie za trud“. I rzucił kowalowi drugą sakiewkę.

— Nie może być! — krzyknęli słuchacze zdumieni, zwracając się do kowala.

— Jak mnie tu widzicie! — odparł Marek i rozparł się dumnie na ławie.

— I cóż dalej? — pytano.

— Cóżbyście jeszcze chcieli — zawołał kowal i podniósł czarkę.

Trącono się z nim.

— Wielki pan! Każdego uzna, kto swoją rzecz rozumie — zawołali z zachwytem.

Tedy kamieniarz siedzący dotąd cicho w kącie odezwał się niepewnie.

— To też i na mnie w końcu spojrzał. „Kto jesteś, stary?“. „Kamieniarz, miłościwy panie, tłukłem kamienie na szosę, którą miałeś jechać“. „Na

Boga! krzyknął pan, toś ty tak potłukł kamienie? Jak żyję nie jechałem taką drogą. Macie za trud“.

— I rzucił wam trzecią kiesę złota? — zapytano.

Lecz odpowiedź zginęła w dźwięku szkła i odgłosie wiwatów na cześć hojnego pana, które trwały do późna w noc.

I wiele było jeszcze takich wieczorów, bo coraz więcej było ciekawych. A tymczasem w szosie zrobił się wybój piętnasty, czterdziesty i setny, których nikt nie naprawiał.

* * *

Kiedym zeszłego roku przejeżdżał wózkiem z Głodowa do Biedniewic, wypadła mi długa droga okolicą pustą wśród pól jesiennych. Gościniec pełen błota i wybojów tak umęczył konie, że musiałem przed celem zanocować w gospodzie.

Stała odsunięta od gościńca, ziejąc w samym środku czarną i wilgotną czeluścią wjazdowej bramy, sięgającej aż do omszałych gontów dachu. Ściany miała pokryte gzygzakami rozpęków i rudymi liszajami gliny, którą snadź niejednokrotnie łątano rany. Przed zajazdem na majdanie porytym splątana siecią kolein i przesutemi resztkami siana, słomy i sieczki grzebały niewybredne kury. Nad wejściem chybołał na wietrze wilgotny worek zatknięty na żerdzi, a pod nim kołatała o ścianę blaszana wywieszka z zatarłym na poły napisem: „Oberża pod Pustym Workiem“.

Gdym, rozkazawszy wyprząc konie, wszedł do

środka, przywitał mnie siwiutki gospodarz, który właśnie powstał od stołu, gdzie siedział przy kieliszku z dwoma równego wieku starcami. Zażądałem izby i wieczerzy. Wskazano mi alkierz i po chwili podano posiłek skromny i flaszkę cienkusa. Że jednak nie lubię jadać, ani pić samotnie, wprosiłem się do kompanii gospodarza i jego towarzyszy, gdzie mnie bardzo chętnie przyjęto.

Przy trunku rozwiązały się języki, a gdym pochwalił jadło i napitek, rzekł gospodarz:

— Bóg zapłać panu za dobre słowo. Niepozornie wygląda ta oberża, ale bo też stara, jak i my starzy. Wyglądała niegdyś inaczej i nie zawsze było w niej tak cicho i pusto. Niech kowal przyświadczy. Nieprawdaż, Marku?

— Święta prawda — odparł zapytany.

— Musiał dawniej ruch być większy na tym gościńcu — rzekłem. — Teraz błoto i wyboje. Ludzie dziś wolą kolej. Choć nieraz też i okrążyć trzeba, to jednak prędzej i wygodniej.

— Błoto i wyboje — podchwycił milczący dotąd trzeci starzec. — Niegdyś była droga twarda i gładka, jak szkło. Pracowałem przy tej drodze. Natrudził się człowiek przy niej, lecz było się trudzić dla kogo.

— Inne to były czasy — rzekł gospodarz.

— Dobre czasy — potwierdził kowal.

— Oberża nasza dobrze pamięta to wielkie zdarzenie — rzekł poważnie oberżysta.

— Cóż się tu stało — zapytałem zaciekawiony przejętymi minami starców, których oczy zdawały się tonąć w zamierzchłych dalach przeszłości pełnej wielkości i chwały.

— Dziesięć lat minęło, panie, a nie zapomnieliśmy dotąd. Co wieczór mówimy o tem i jest to nasza jedyna pociecha na starość w tem pustkowiu i odludziu.

— Musiało to być coś niezwykłego — odparłem.

— Długo mówić o tem — rzekł kowal, kiwając melancholijnie głową. — Nieprawdaż, Janie?

— Wieczór długi a nie czas spać jeszcze. Możemy pogawędzić o tem — zauważyłem napelniając kieliszki.

Podziękowali skinieniem głowy i wychylili trunek. Gospodarz otarł usta i rzekł:

— Wtedy to Jan pracował przy drodze.

— Tłukłem kamienie — rzekł Jan. — Miał jechać pan wielki.

— Któż taki? — zagadnąłem ciekawie.

— Cóż po nazwisku — odparł gospodarz. — Nie o wszystkim da się pamiętać na starość. Tu nocował u mnie w tym alkierzu. Przyjechał poszóstną karetą.

— U mnie kuł konie — rzekł kowal. — „Jesteś mistrzem sztuki kowalskiej“, powiedział mi.

— A do mnie rzekł: „Nie jadłem nigdy takiej wieczerzy ani takiego nie piłem wina“ — dodał gospodarz.

— A jak mnie chwalił za szosę! — rzekł kamieniarz. — I dał każdemu po sakiewce złota.

— Wielki pan! — westchnął oberżysta.

— Hojny pan! — sławił kowal.

Oczy ich zaszyły łzami, jak na myśl o najpiękniejszej a minionej chwili życia.

— Młodość przejdzie — mówił gospodarz —

wszystko minie, ale takie wielkie zdarzenie zostanie w duszy na całe życie.

Wspomnieniem i trunkiem rozrzucone twarze pochylały się im zwolna na piersi.

Wstałem, bo i mnie sen zaczął morzyć.

TRWOGI PAULINY WAND



ażdej niedzieli stary mój przyjaciel, były kapitan marynarki handlowej, Wojtyński, odwiedzał mnie w mej posiadłości wiejskiej w B. Przyjeżdżał z miasta zawsze około godziny jedenastej przed południem i zabawiał do wieczora. Był najrozumniejszym człowiekiem, jakiego sobie wyobrazić można. Długoletnie obcowanie z morzem, liczne podróże, słowem marynarstwo uczyniło go zupełnie niezwykłym dla nas na kontynencie człowiekiem, któremu duszą całą był obcy. Wszystko, co się tu działo, miało dlań cechę czegoś egzotycznego; wielu rzeczy zdawał się zgoła nie rozumieć, licznym zaś przypisywał znaczenie zupełnie opaczne. Stanowisko jego w wielu sprawach było tak oryginalne, niespodziewane i ekscentryczne, że moja żona była już skłonną uważać go za dziwaka. Dziwakiem atoli nie był. Jenó ką, pod którym na nasze patrzył sprawy, był nierównie szerszy i rozleglejszy od naszego. Zbyt wiele on w życiu widział i doświadczył, by być jednostronnym doktrynerem, lub ciasnym konserwatystą. Horyzont jego nie znał granic. Nie, zbyt szerokiem spojrzeniem obejmował świat, by można wogóle mówić o horyzoncie. Ta wielość widzianych rzeczy

nauczyła go pogardzać tradycją. Był z rzadkich ludzi, oceniających wszystko świeżo, jakby patrzyli na świat poraz pierwszy w życiu.

Lubił przyjeżdżać do B., więc najgorsza nawet słota nie potrafiła zatrzymać go w mieście. Pewnej niedzieli zamiast o jedenastej przyjechał dopiero o trzeciej popołudniu. Wiedziałem, że przyjedzie, czekaliśmy nań tedy z obiadem. Był bardzo zamyślony, a gdyśmy usiedli na werandzie przy czarnej kawie i cygarach, widziałem na jego twarzy spalonej od słońca i morskich wiatrów, niezwykle wyraz rozłargnienia.

— Julku, co tobie? — zapytałem.

Podniósł dzielną twarz i strzepnął popiół z cygara na podłogę. Nie uczyniłby tego nigdy; poznałem, że jest bardzo nie swój. On tymczasem za swą nieuwagę przeproszał moją żonę.

— Ależ, panie Juliuszu, to głupstwo — odrzekła Leontyna. — Przecież o tem nawet mówić nie warto i wstyd porządnym ludziom. Są rzeczy ciekawsze.

— Widzę, że pani na dobre przejęła się piękną zasadą Karola: „Bezcześcisz boski dar wymowy papiem gadaniem o byle czem“ — odezwał się Wojtyński z miłym uśmiechem. — Racya. Nie po to obdarzył nas Bóg mową, by jej używać do spraw nikczemnych.

— A jednak — rzekłem na to — większość ludzi nadużywa języka do celów daremności.

— No, Karolku! — zaśmiała się zapraszająco Leontyna — westchnij swym zwyczajem tetryka: „Och, pocóż dobry Bóg stworzył kobiety, i poco dał im mowę?!“. Bo wie pan, panie Juliuszu, ilekroć Żukowa zacznie zrzedzić w kuchni (ot, jak stara

kobieta!), Karol zaczyna wymyślać na cały rodzaj żeński.

Żukowa była starą kobietą, która zastępowała przy gospodarstwie żonę, oddaną zupełnie wychowaniu dzieci.

— Ale już będzie nareszcie koniec — rzekłem, — jeśli teraz na miejsce Żukowej znajdziesz jaką głuchoniemą.

— Żukowa od was odchodzi? — zapytał Wojtyński z nagłym ożywieniem.

— Tak — odpowiedziałem. — Przenosi się do córki, nie czując już sił do pracy, która ją wyczerpuje.

— A następczyni jeszcze niema?

— Nie — odrzekła Leontyna. — Zgłaszało się wiele, ale żadna mi się nie podobała. O, ja jestem fizyonomistka! — dodała z uśmiechem dziecka, udającego powagę.

Wojtyńskiego twarz, dotąd jakby martwa, zaczęła grać.

— To doskonale! — zawołał. — Ale jeszcze jedno: czy stanowisko gospodyni pociąga za sobą wielką odpowiedzialność? Źle mówię: — czy nastręcza sposobność do omyłek, uchybień: czy nie można czegoś uczynić mimowoli nieuczciwie?

— Nie zdaje mi się — odpowiedziała Leontyna niepewnie i, spojrzawszy na mnie: — Jak sądzisz, Karolu? — ddała.

— Myślę, że nie — odparłem. — Mimowoli nic tu nieuczciwego zrobić nie można. Zakres działania jest na to za szczupły. Lecz dlaczego o to tak pytasz?

— Nadarza mi się sposobność przyjęcia na sie-

bie roli stręczyciela. Sądzę, że byłoby to z obustronną korzyścią: wy mielibyście gospodynię chorobliwie uczciwą, ja naprawiłbym w ten sposób krzywdę, wyrządzoną jej przez mą głupią litość i niechęć.

Milczeliśmy, patrząc na Wojtyńskiego pytająco. W oczach Leontyny widziałem coś, jak nieufność. Lecz Wojtyński nie dał zbyt długo czekać na wyjaśnienie.

* * *

— Paulinę Wand poznałem przed niespełna rokiem. Miała czterdzieści sześć lat. Odetchnęła pani, pani Leontyno?... Nie, pierwszy akt tej historii nie odegrał się w naszej młodości. Niech pani będzie o to spokojną. Poznałem ją — bagatela! — w trafice, gdzie zazwyczaj zaopatrywałem się w tytoń i najświeższe dzienniki. Krzątała się za ladą, załozoną gazetami, i uśmiechała się, jak najszcześliwszy człowiek. Ten uśmiech mnie ujął, bo nie wydawał mi się jeno kupiecką grzecznością, lecz wyrazem zadowolenia, a zadowolenie jest wyrazem dobrobytu. To też chętnie, załatwiwszy kupno, pozostawałem na kilkuminutową pogawędkę. Rozmowa z ludźmi zadowolonymi jest poparciem dla naszego poczucia siły i życia. Wyobraźcie sobie teraz moje oburzenie, gdy się dowiedział, że trafika nie jest jej własnością, że tylko wyręcza właścicielkę, która jest już bardzo stara i niedołężna, że za swą pracę pobiera zapłatę w formie małej ciupki za szafą z tytoniem i lada jakiej strawy, no, i że mimo to jest zadowolona ze swej szczęsnej pomyślności. Rzekła mi:

— Z tem, co ja wiem i umiem, nie mogę się

na nic skarżyć. Bogu dziękuję, że pani Dziedzińska mnie trzyma.

Ta kobieta nie miała zupełnie pojęcia o wartości swej pracy, skoro wyobrażała sobie, że trafikantka robi jej jeszcze łaskę. Wzruszyłem tylko ramionami i, pełen wewnętrznego oburzenia na tę naiwność, wyszedłem prawie bez pożegnania. Zadowolenie z dobrobytu — no, to rozumiem; ale zadowolenie ubożuchnej myszy kościelnej, nie, to jest oburzające!

— Pani naiwność jest karygodna — rzekłem zaraz za następnym w trafice pobylem — karygodna, jak lekkomyślność. Obniżanie wartości pracy jest zbrodnią wobec innych pracowników.

Była przerażona moją nieugiętą stanowczością, choć mnie nie zrozumiała, i przez następnych kilka dni nie chciała ze mną wcale mówić. Nie, żeby czyniła to w sposób niegrzeczny. Ale udawała tak zajętą, że, kupiwszy, czegom potrzebowałem, musiałem się wnet zabierać. Po pewnym czasie zapomniała o zajściu i znowu przystawała chętnie na pogawędkę. Zrazu ostrożnie, potem coraz natarczywiej zacząłem ją buntować. Jest pracownicą, nie żebrakiem, żyjącym z jałmużny. Wynagrodzenie jej nie stoi w żadnym stosunku do wyświadczonych usług.

— Kiedy mi tu dobrze, już się przyzwyczaiłam. Zresztą cóż innego pocznę?

— Małoż to jest pól wydajnej i przynoszącej dochód pracy? Teraz, kiedy w społeczeństwie budzić się poczyna zmysł ku praktyczności, kiedy powstają nowe warsztaty produkcyjne?

— Jestem już za stara na to, by się czegoś nauczyć. Do tego wszystkiego, o czem pan kapitan

mówi, trzeba więcej inteligencji i przedsiębiorczości, niż ich posiadam.

Nie, ja nie rozumiem takiego bezwładnego opuszczenia rąk! Wkrótce spostrzegłem, że mam do czynienia z zupełną inercją. Ale z drugiej strony widziałem, że trzeba tylko pchnąć bezmocną kłodę do ruchu, a, prawem bezwładności, potoczy się już dalej sama. Nic tedy nie mówiąc, podjąłem w tajemnicy starania, by wyrobić pannie Paulinie jakąś intratniejszą posadę. Nie trwało długo, gdy jeden z mych przyjaciół — dość poważna w kolejnictwie figura — zawiadomił mnie, że jest do objęcia miejsce kasyerki kolejowej. W te pędy idę do trafiki, choć żadnego zakupu czynić nie miałem zamiaru. Stoję przy ladzie i przypominam sobie, czego mi może być potrzeba. Tytoń kupiłem wczoraj, dzienniki jeszcze nie wyszły.

— Proszę o paczkę zapalek.

Dostałem i czekam, bo tam ktoś przyszedł po flaszkę atramentu i papier listowy. Zapalam cygaro długo, rzucam zapalną na ziemię i bardzo starannie przydeptuję ogień trzewikiem. Jeszcze nie jesteśmy sami: ktoś przyszedł zmienić banknot dziesięciokoronowy na srebrną monetę. Widzę, jak pannie Paulinie drżą ręce podczas liczenia. Odrachowała raz, drugi — i wszystka płomienie na chudej twarzy.

— Dobrze jest, dobrze — uspokajam ją trochę niecierpliwie.

Zostajemy wreszcie sami.

— Pan kapitan jeszcze co pozwoli?

— Jak można mnie tak niegrzecznie wypraszać za drzwi? — zaczynam żartobliwie.

Uśmiecha się z zakłopotaniem.

— Myślałam — —

Żal mi jej.

— Proszę mi dać flaszkę atramentu, dobre pióro aluminiowe, arkusz papieru na podanie i stempel — recytuję bez zająknięcia, wsparty o ladę, i patrzę jej prosto w twarz. — Nawet się pani nie domyśla, o co chodzi.

— No? — pyta śpiwnie i ciekawie.

— Za tydzień najdalej będzie pani pobierać pensję stu dwudziestu koron miesięcznie z dodatkami.

— Ja? Za co?

— Będzie pani kasyerką kolejową.

— Jaaa?

Oparła się o szafę z tytoniem, by nie upaść i patrzyła na mnie nieprzytomnie.

— O tem... o tem mowy niema... — wykrztusiła wreszcie przerażona.

— Dość! — zawołałem. — Nie mogę dłużej patrzeć, jak pani popełnia na sobie zbrodnię. Pani jest bachor, panią trzeba się opiekować, jak dzieckiem. Wstyd doprawdy: dorosła osoba!

— Ależ... Panie kapitanie...

— Powtarzam: wstyd. Żeby nie umieć sobie samej zabezpieczyć życia! I cóż będzie, gdy na przykład nogi odmówią pani posłuszeństwa, i nie będzie już pani mogła cały dzień tańczyć tu za ladą? Co wtedy? Zwróci się pani do społeczeństwa o pomoc? Powiększy pani zastęp bezdomnych i głodnych proletaryuszów? Teraz, gdy czas jeszcze, pani — nie chcąc widzieć przyszłości — zadowala się ochłapem, życiem z dnia na dzień. A gdy będzie zapóźno, stanie się pani dla społeczeństwa

ciężarem i wstydem. Przez nierozumną lekkomyślność.

Widziałem, że zaczęła drzeć. Stawałem się coraz surowszy.

— Pani wie, że społeczeństwo nie da pani umrzeć z głodu. Z głodu dziś nikomu nie daje się ginąć. Lecz liczyć na to, jest obłudą. Każdy sobie powinien wystarczyć teraz i na starość. Niema o czym mówić! Proszę u pani Dziedzińskiej postarać się o zwolnienie z obowiązków i być gotową do objęcia posady.

Jak skarcony próżniak, spłoniła się. Nie wiem, co myślała. Lecz z jej oczu wyczytałem jedno: wstyd. Może uwierzyła, że jest leniuchem, któremu nie chce się imać intensywnej pracy; może wstydziła się, że woli zostać w trafice na łatwym stanowisku, nie dającem zaopatrzenia na wypadek niezdolności lub starości, którego wymaga porządek społeczny, niż jąć się wytężonej i odpowiedzialnej pracy, jedynie zasługującej w dzisiejszych skomplikowanych warunkach na sankcję społeczeństwa. — Tak, reprezentowałem w jej oczach oburzone społeczeństwo, które domaga się od niej myślenia o przyszłości, aby nie musiało ono samo ponosić potem ciężaru utrzymywania jej publicznym kosztem.

Zostawiłem ją oszołomioną i wyszedłem, wzięwszy atrament, pióro, papier na podanie i stempel. Za kilka godzin byłem znów w trafice. Stałem w progu.

— Podanie wniesione. Czy Dziedzińskiej pani wymówiła?

— Nie jeszcze — odrzekła pokornie.

— Czemu? Będzie pani zwlekać w nieskończoność?

Tak ją potrafiłem opanować swem imperyalistycznym tyranstwem, że już nazajutrz oświadczyła mi, iż wymówiła Dziedzińskiej. Była zastrachana, a w tonie, jakim do mnie przemawiała, brzmiała potulność. Nie okazywała ani śladu wdzięczności protegowanej dla protektora, i ja też nie okazywałem łaskawej poufałości protektora względem protegowanej. Byłem raczej prokuratorem, ona oskarżoną. Bała się mnie.

W niedługi czas potem, przyjęta do kolei, opuściła trafikę. Dziedzińska sprowadziła sobie swą siostrzenicę, której — mimo pokrewieństwo — musiała już płacić. Bo gdzieżby kto dał się wyzyskiwać tak naiwnie, jak panna Paulina?

Ale nie trwało nawet dwa miesiące, gdy pewnego razu zastaję znów za ladą trafiki — kogo? Pannę Paulinę Wand!

— Co? Skąd?

Przybladła, schudła jeszcze bardziej i była załęczniona, jak zając. Na moje pytanie milczała, patrząc w ziemię.

— Co się stało? Skąd pani znowu tu się wzięła?

Wreszcie podniosła nieśmiało oczy.

— Nie, nie mogłam, to nie było dla mnie! Ja nawet nie wiem, skąd znalazło się we mnie tyle odwagi, by wogóle zaczynać? Nie rozumiem doprawdy swej naiwnej śmiałości. Jak mogłam, ja Paulina Wand, wziąć na siebie tyle odpowiedzialności?!

Ścisnęła dłońmi skronie.

— Doprawdy, trzeba było być szaloną, lub bezgranicznie zarożumiałą, by porwać się na coś po-

dobnego. Kasyerka kolejowa! Tyle tych skrytek na bilety, jak woszczyn w miodowym plastrze, i tyle pieniędzy przepływa przez ręce! Toż to w głowie aż się mąci. Musiałam się pomylić, inaczej być nie mogło. Gdzieś zatraciło się między palcami dziewiętnaście koron. Boże, co za nieuczciwość, porwać się na rzeczy, do których nie dorosło się ani umiejętnością, ani inteligencją!...

— Więc pani rzuciła służbę? Wszak ten drobny niedobór można było pokryć z kaucyi, jaką za panią złożyłem!

— Tak, niedobór pokryli, ale ja już dłużej zostać tam nie mogłam. Przecież nie jestem na tyle dziecinna, by sądzić po takiej próbie, że potrafię nie popełniać błędów. Ja wogóle nic nie umiem i Bóg chroń mnie na przyszłość od pokus. Dobrze, że się na tem skończyło, bo błędy mogły pójść w tysiące, w setki tysięcy!

— Jakaż pani dziecinna! Poto składa się kaucyę, że z góry już się liczy na drobne pomyłki, osobliwie u nowicyuszów. Z czasem nabierze pani wprawy. Niech pani nie robi głupstw i wróci do służby.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Tylko nie to, panie kapitanie, tylko nie to! Proszę się nademną zlitować! Ja umrę z ustawicznej trwogi, że siedzi mi między palcami mały karzełek, który mi wykrada pieniądze. A to przecież straszna odpowiedzialność: tyle cudzych pieniędzy!

Chwyciła się za głowę.

— Nerwy tylko trzeba okiełznać i głowę mieć na karku, panno Paulino — rzekłem, hamując gniew. — Mylić się to ludzka rzecz. Dziewiętnaście

koron na te tysiące, które przeszły przez pani ręce!... Niech pani nie będzie śmieszna.

— Nie, nie! Już nie chcę nic! Wciążbym się myliła teraz. Nie, nie chcę żadnej odpowiedzialności. Wolę śmierć, niż odpowiedzialność!

— O, tak! — zawołałem ze złością. — To lepiej, niech się pani zabije, to lepiej! Jest pani niezdolną do życia dziamajdą. Pani raczej powinna śpiewać w zaroślach, lub rosnać na grządce — nie! gdzież na grządce! w przydrożnym rowie: nikomu na nic nie przydatny chwast. Jadowity grzyb...

Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

— Jaki pan niesprawiedliwy! — zawołała za mną z płaczem.

Lecz już pędziłem przed siebie ulicą. Przez kilka dni kupowałem tytoń i dzienniki gdzieindziej. Jednak stary nawyk zwyciężył. Był to dzień wigilii Bożego Narodzenia, gdy prawie mimowolnie zaszedłem do trafiki Dziedzińskiej. Miałem spędzić u siostry święta, chciałem się tedy zaopatrzyć w tytoń na cały czas mego pobytu na wsi. Panna Paulina była jakaś przedziwnie żałobna wśród odświętnego otoczenia: bardziej ubożuchna nędzarka, niż zwykle. „Jakie szare to jej życie!“ pomyślałem i strasznie żał mi się jej zrobiło. „Ona jedna wśród tych radujących się niczego nie czeka...“ i wstydzić się zacząłem za wszystkie uśmiechy świata, za ludzką wesołość, za to, że panna Paulina jest taka opuszczona...

— Pan kapitan wyjeżdża na święta? — zapytała, widząc, że kupuję więcej tytoniu, niż zazwyczaj.

— Ach, cóż święta! — rzekłem lekceważąco. —

Radość brzucha i gardła! Ja się w to nie bawię.
A pani co porabiać będzie? Trafika zamknięta...

— Pójdę do kościoła.

— Tylko?

— Cóżbym robiła? Nikogo nie mam...

Wręczyłem jej dwudziestokoronówkę.

— Nigdzie nikogo?

— Nigdzie.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie na ten widok smętnej biedoty.

— Pani zawsze w tej czarnej bluzce? — zapytałem nagle.

Zarumieniła się i, spuściwszy oczy, nie odpowiedziała. Liczyła resztę, którą miała mi wydać i mocno się przytem pochylała nad szufladą. Wreszcie wręczyła mi pieniądze. Wtedy rzekłem:

— Wszak dałem tylko dziesięć koron...

— Dziesięć? Myślałam, że dwadzieścia...

— A za dziesięć można sobie kupić na święta bluzkę! — krzyknąłem, nie wiedząc, co powiedzieć i szybko wsunąwszy jej w rękę dziesięć koron, wyszedłem.

Byłem zły na siebie za swą niezręczność. Z pewnością mnie nie zrozumiała i uwierzy, że wydała mi za dużo. A wówczas moja dziesięciokoronówka zawędruje do kieszeni Dziedzińskiej.

Cała ta głupia historia popsuka mi święta; wróciłem prędzej, niż zamierzałem, bo spokoju mi nie dawała myśl, że panna Paulina wsunęła dziesięć koron z powrotem do szuflady. Ledwo złożyłem walizkę w mieszkaniu, poszedłem do trafiki. Otwieram drzwi i widzę, że zamiast panny Pauliny rezyduje za ladą siostrzenica Dziedzińskiej.

— Gdzież panna Paulina? — pytam bez wstępu.

— Już odeszła.

— Czemu?!

— Powiedziała cioci, że już rachować nie umie i gdyby nie ludzka uczciwość, to doprowadziłaby ją do ruiny.

— Kogo?!

— Ciocię.

Wiedziałem, co o tem myśleć: panna Paulina już i w trafice zaczęła się bać odpowiedzialności. I wszystko przez moją głupią niezręczność!

* * *

— Chcecie gospodyni? — kończył Wojtyński, — panna Paulina chętnie zajmie miejsce Żukowej, o ile nie będzie miała nic do czynienia z pieniędzmi.

MARZYCIELE



ówmy jeszcze o naszym szczęściu.

— Wiesz, wydaje mi się niejako bluźnierstwem, kiedy opowiadasz tak po prostu: mówmy. Mówi się o zasiewach, o pogodzie, o nowych trzewikach. O naszym szczęściu powinniśmy śpiewać. Śpiew je tylko potrafi wyrazić.

— Wybacz mi, mała, stało się to przez zbytnią mą prostotę. Zaiste, życie, które wiodłem, zanim cię poznałem, nie nauczyło mnie nazywać trafnie tych rzeczy pięknych i rzadkich, jakie naprzykład będzie nasze nowe życie. Dotąd to nie było nawet życie; tak samo żyje mucha w szklance odwróconej dnem do góry.

— A ja kocham twoje życie, nie inne, jeno właśnie twoje, bo jest twoje. Kocham wszystko, co jest twoje. I nie będę się zupełnie broniła, skoro każesz mi...

— Ach, nie dziecino! Do niczego zmuszać cię nie będę. Zbyt cię kocham, bym nie był gotów do największych nawet ustępstw.

— Jesteś nieskończenie dobry. Lecz, gdyśmy się już związali dozgonnym węzłem, pragnę, byś mną

rozporządzał wedle swej woli, czy zgola kaprysu — byś ty był panem, a ja twoją niewolnicą. Chcę żyć życiem twojem, z całym oddaniem... poddaniem...

— Kocham w tobie tę słodycz, ale — wierzyć mi — nie mógłbym cię ujarzmić, narzucać ci swej woli, i nie chcę tego czynić. Jesteś najpierw człowiekiem, a potem dopiero moją żoną.

— ...niewolnicą, niewolnicą...

— Nie mów tego; nie mów tego — ty. Skoro zamknę oczy, widzę cię jeszcze, jak w owej chwili, pamiętasz?... kiedym cię ujrzał poraz pierwszy. Blask padał od sceny, na której stałaś: krzak gorejący. Miałaś krwisto-czerwoną suknię i spojrzenie tygrysicy.

— Nie przypominaj już tego. To już tak dawno, że niemal stało się nieprawdą.

— Lecz ja właśnie chcę, by to wciąż było dla mnie prawdą. Upoiłaś mnie wówczas swym widokiem. Potem, pamiętasz?... długo, późno w noc opowiadałaś mi o swym tryumfalnym życiu wśród kwiatów powodzi, w powodzi światła. Czemże się czułem wobec ciebie ze swym życiem płaza i ślimaka?! Wstyd mi było mego prostactwa, które w dobroci swej raczyłaś nazwać sielską-anielską prostotą. Mówiąc, uśmiechałaś się do siebie, do swego życia bujnie bogatego. W tej chwili zrozumiałem po raz pierwszy, co znaczy: żyć. Zrozumiałem, jak można żyć. Doskonała pełnia oszołomiła mnie w marzącym widzeniu.

— Przeszło, przeszło... Minęły ekstazy i upojenia szaleńcze. Została słodka cisza na dnie serca, spokój święcie niezmacony, którego tak bardzo już pragnął zbłąkany statek duszy.

— Przesyt to chwilowy. Są rzeczy zbyt piękne,

by można do nich nie wracać... Zanim cię jeszcze pokochałem, zanim jeszcze odważyłem się wogóle na myśl o kochaniu ciebie, wiesz? chciałem być tobą. Niejednokrotnie śniłem, że jestem tobą. I wówczas w piersi mi coś rośło... ach! nie śmieję się... jakby mi serce w piersi pęczyło. Znasz uczucie dziecka po kieliszku wina? Świat jest złocistszy, mamusia lepsza, a nawet harap na ścianie jest wcale zajmujący. Byłem jakby pijany. Zdawało mi się, że się podwoilem, że jestem pełniejszy, doskonalszy, skończeniwszy, bogatszy we wszystko. Rozpierało mnie uczucie moralnego dobrobytu. Potem wracała świadomość rzeczywistości: jestem wiejskim pankiem, a życie moje nie wybiega poza stodołę, a już wcale nie poza las na horyzoncie. Otacza mnie atmosfera ciemnych, ciasnych, zakutych łbów sąsiedzkich, dla których widok kilku książek w mej bibliotece wystarcza, by odnosić się do mnie, jak do chronicznego solenizanta. Wówczas zrozumiałem, czemuś to ty dla mnie być mogła. Doszedłem do postanowienia: wydrzeć się z tej martwoży, szarpnąć z małoduszności, nabrać pełne płuca świeżego powietrza na daleki, śmiały lot. Skopałem ziemię, która dotąd była nóg mych cokołem, zdeptałem ją — i jestem tu przy tobie, dla ciebie, dla nas, dla naszego życia.

— O, nasze życie! Zdaje mi się doprawdy, że śpiewać powinienam te niezrównane, cudowne słowa: nasze życie, nasze życie! Podłożyłabym pod nie najpiękniejszą, jaką znam melodię. Nasze życie: kołysanka w łodzi na wiejskim stawie przy zachodzącym słońcu. Szuwały szepczą... W dobrą chwilę zaprosiłeś mnie po raz pierwszy do swego domu, bo lato kocham najserdeczniej z wszystkich pór roku.

Kosili drugie siano. Pachniało młodem szczęściem. A już tak dawno — koczownica — nie widziałam wsi polskiej, nie słyszałam polskich żab, śpiewu pastucha i syku gęsi na żerowisku. Gdyśmy szli pośród tego ramie w ramie, zdawało mi się niekiedy, że śnię. Przecieram oczy: nie, to jawa, żyję... a u mego boku ty, twa czupryna jasna, jak dostałe zboże. Widziałam, jak moje nagłe w tych chwilach porywy szalonej radości, z jaką rzucałam ci się w ramiona i całowałam cię w oczy, — jak to całe moje zgoła niestateczne wesele zdumiewa cię i może nieco przstrasza. To nie była histerya. Ja naprawdę cieszyłam się, jak dziewczynka małym gospodarstwem, temi żywymi krowami na łące i w stajni, prawdziwymi jabłkami na drzewie i lasem, który nie jest płócienną dekoracją. Słodczy mnie ogarniała cicha, może smutna nieco, niemniej jednak upojna. — Lecz czas mijał. Jak zmora, stawała mi przed oczyma chwila, gdy znowuż będę musiała od ciebie wracać tam, między tych ludzi hucznych, jak wojskowe bębny, w gwar, ścisk, hałas, młyn. Serce mi truchlało na samą tę myśl. Lecz wówczas, pod koniec jesieni, wówczas ty... mój ty, ty!! O, jakżem ci wdzięczna, jak ogromnie wdzięczna! Chciałeś mnie przyjąć — koczownicę — do swego cichego ogniska... Rozzłociło mi się życie od jednego razu, odkąd z tobą zostałam, z tobą!!

— Tak, aniele, tak. Już zawsze będziemy razem. Przecież wątpić nie możesz, że znajdziesz mnie zawsze przy sobie...

— Nie, nie wątpię, ale wierzyć nie mogę swemu niezastężonemu szczęściu. Tyle szczęścia! Tyle ciszy, spokoju serdecznego... Zawsze by-

łam marzycielką, ale o tem nigdy nie śmiałam zamarzyć.

— Będziemy zawsze razem, zawsze. Połóż głowę na mojej piersi, przytul się...

— Dobrze mi u ciebie. Chciałabym tak umrzeć.

— Nie! Czemu mówisz tak smutno? Czekają nas jeszcze długie, piękne, bujne życie. Poco myśleć o śmierci? Nie dla nas jeszcze śmierć! Gdybym teraz umarł, żadna siła nie zdołałaby mi zamknąć oczu. Patrzyłyby wciąż uparcie, aby jeszcze widzieć, jeszcze widzieć, dużo, więcej... Dla mnie dopiero życie się zaczęło, a ja miałbym teraz właśnie umrzeć?

— Już nie mówmy o śmierci. Przepraszam. Zapomnij o tem, co powiedziałam. To nie prawda, ja też chcę jeszcze żyć.

— Ja wiem! Ja o tem wiedziałem doskonale! Tybyś się mogła wyrzec życia, swego życia? Chętnie odrzuca się precz łachman, ale nie purpurę, ale nie gronostaje! Życie twoje jest zbyt piękne, byś chciała umrzeć, — a jeślibyś już tego chciała, to czyż mogłabyś umrzeć nie tam? Mogłabyś chcieć umrzeć tu, śmiercią muchy, co zadusiła się pod szklanką, odwróconą do góry dnem?

— Śmierć jest jedna, choć w ciszy lepsza. Lecz doprawdy nie mówmy już o śmierci, skoro czeka nas jeszcze przecież długie, piękne życie.

— To mało powiedzieć: piękne. Szczytne, wzniosłe, bogate, królewskie! Cóż was jeszcze zawieść może, moje marzenia?! Jesteście u zenitu!

— Ty jesteś bardzo dobry, mój chłopczyku. Taką duszę, jak twoja, wykołysać mogły tylko zbożne pola, szumiące poważnie lasy, widoki cichych za-

chodów i tryumfalnych wschodów, łany, wśród których to mnóstwo kwiatów rozmaitych...

— Cudna jest ta twoja mieszcuchowska nieśmiałość w nazywaniu rzeczy wiejskich! Lecz nie, mylisz się; duszę mą dzisiejszą, tę, którą teraz znasz, dała mi tęsknota płomienna, jak wulkan, i gorąca, jak lawa. Ta dusza moja dzisiejsza zrodziła się w snach o tobie, gdym chciał być tobą, by móc wyżyć twe życie. Przerodziła się, stężała, zmęźniała, nabrała śmiałości, gdy przed memi oczyma stanęła możliwość spędzenia życia u twego boku, z tobą... Marzyłem o tem, by rzucić się raz przed siebie śmiałym skokiem w ten otchłanny wir, choćby przyszło w nim utonąć na zawsze i bezpowrotnie!

— O, nie! Miłość moja nie będzie zabójcza, i nie jest otchłanna. Nie mów tego! Nie mów, że rzuciłeś się w me ramiona, jak w przepaść, lub zatracenie.

— Czyżem to powiedział? Nie czytasz-że w mych oczach szczęścia, iż już jestem z tobą i z tobą będę, że duszę życia, którem żyć ci dano, wchłaniać będę wszystkimi porami ciała? Marzyłem o tem i ręce przed siebie wyciągałem z tęsknotą. Haha! Czemże byłem dotąd, w zapadłym dworze zniedołężniały ospalec? Śmieję się do nowego życia, jak do niesionej na stół nowej flaszki wina.

— Tak... ty mnie bardzo kochasz.

— Kocham, kocham ciebie i twój świat, który będzie też i moim światem!

— Teraz świat mamy wspólny, jeden i ten sam, — i to świat twój, nie mój. Jak cudnie słońce zachodzi...

— Wskazuje nam drogę, by za spojrzeniem i stopy pobieżały wkrótce. Czyż nie znak szczególny, że samo słońce wskazuje nam codziennie nasz cel: na Zachód? Haha! W drogę się gotuj. Lecz czemu ty się nie cieszysz, czemu nie cieszysz się wraz ze mną? Ach, pewno, ty już to wszystko znasz, dla ciebie to nie nowina. Tylko mnie może coraz dotykalsze zbliżanie się spełnienia mych pragnień przyprowadzić o utratę nieomal zmysłów.

— Zbliżanie się spełnienia?... — O czym ty mówisz?

— O naszym szczęściu nadchodzącem! Inaczej mi już krew pulsuje w żyłach. Czy rozumiesz, czem dla mnie jest życie z tobą?

— Tem, czem życie z tobą dla mnie: kochaniem, rajem, niebem...

— Ach, tak — dla ciebie, bo ja prócz siebie i swej miłości nic ci nie daję. Lecz o ile hojniejszy jest twój dar, ile że dzielić mi pozwolisz swe niepokojne, gwarne, nerwowe życie cygana. Ja nawet nazwać nie umiem tego, co mnie tam z tobą czeka. Już nogi mnie palą, jak wyścigowego konia; bieć już raz wreszcie tam, gdzie szumi, huczy, gwarzy, pieni się, gdzie jedynie można całą pierśią żyć! O jakżem szczęśliwy! — Leż, czemuż wstajesz? Drżysz... czemu drżysz? Już w tobie, haha! zagrała szlachetna krew...

— Nie — nie... Złe myśli mnie opanowały. Zdaje mi się, że nie dobrze zrozumiałam, co mówiłeś... Wydało mi się, że ty pragniesz, abym wróciła tam... Nie, prawda, że chciałeś tylko wystawić mnie na próbę, zwieść mnie pokusą, by się przekonać, czy nic mnie od ciebie i twej miłości ponętą odry-

wać nie będzie? Prawda? Ty pragnąłeś tylko wiedzieć, czy jestem ci bezwzględnie oddana?

— Och, nie jestem podejrzliwy! I nie chcę cię pozbawiać szczęścia, jakie ci daje życie twoje i twój świat. Przeciwnie pragnę twe życie przeżywać wraz z tobą. Pójdę z tobą i, jak żołnierz, będę stać przy tobie, tonącej w powodzi kwiatów i światła. Cieszysz się? Ty drzysz. Drży w tobie kipiąca krew już na samo wspomnienie tego cudownego życia w gorączce i szale. Już cię ta gorączka porywa! Już jesteś...

— Nie, nie żartuj dłużej. Nie rozumiem się na takich żartach. Chcesz mnie zapewne podejść, by wypróbować me przywiązanie do ciebie. Wszak ty wiesz, że cię kocham i prócz ciebie niczego nie pragnę.

— Ależ ja nie żartuję. Słuchaj mnie uważnie, mała: chcę pójść z tobą tam... Nie bój się, niczego dla mnie nie będziesz potrzebowała się wyrzekać: ani sławy, ani laurów... Ja właśnie tego pragnę, by z tobą rzucić się w wir szalonego życia... — Co tobie? Zbladłaś tak okropnie...

— Nie, nie! Powiedz, że to nieprawda.

— Że co nieprawda?

— Że ty istotnie chcesz, abym ja znowuż... tam...

— Jakto?! Przecież... chyba nie zechcesz, byśmy tu zostali?...

— Tu, właśnie tu, gdzie tak dobrze, cicho, prosto... Przecież mieliśmy zacząć życie szczęśliwe...?

— No, tak... mieliśmy przecież zacząć nowe życie. Zostać tu nie możemy.

— Ależ tu... właśnie tu...

— Jakże to, więc ty myślałaś —?

— Co?

— Nic, nic, nic...

— Co tobie?!

— Teraz rozumiem. Więc ty —? —

— Co tobie?! Przemów!!

— — — — —

— ...A ja marzyłem...

DRZAZGI

Prawda jest zwierciadłem: jest krucha i łatwo daje się rozbić.

*

Demokratyzm byłby o wiele ponętniejszy, gdyby był przekonaniem arystokracji.

*

Umysł ludzki więcej rzeczy pojmuje, aniżeli jest zdolny pojąć.

*

Najostrzejsze sądy wydają ludzie najtępsi.

*

Aby być wielbionym, czczonym, za przykład stawianym — trzeba umieć nie dać się poznać.

*

Gdyby rodzenie się zależało od nas samych, trzeba by mieć wiele odwagi, aby się narodzić; nad tem trzeba by się zastanawiać przez całą wieczność.

*

„Gdybym był pewny, że w płwocinach moich niema suchotniczych zarazków, plunąłbym na świat, bo nic mnie on już nie obchodzi!“ — rzekł rozgoryczony filantrop.

*

Najbardziej ośmieszają się ludzie obawą przed ośmieszeniem się.

Dla pragnących rozgłosu, powiedziano: „Co czynisz, czyni głośno“. Lecz także i mów głośno, że wszystko czynisz głośno, by sądzono, że żaden czyn twój nie boi się dziennego światła.

*

Niektórzy ludzie są jak wierzby do cna wypróchniałe, którym do życia nie potrzeba nawet samych siebie.

*

Jeżeli chcesz się nad kim litować, zapytaj go wpraw, co o tobie myśli. To cię częstokroć z litości wyleczy.

*

Usprawiedliwieniem życia dekadenta jest szukanie możliwości głoszenia, że niema czem życia usprawiedliwić.

*

Ten, co już wszystko w życiu stracił i niczego już się nie spodziewa, pociesza się jeszcze myślą o możliwości niespodzianki.

*

Aforyzm jest jak życie; tem dowcipniejszy, im krótszy.

*

Niema ludzi bardziej się nienawidzących, niż ci, którzy w jakimś kierunku współdziałają.

*

Błędy są jak kobieta: trzeba je posiąść, by je sobie zbrzydzić. Tak określaj moralistów.

*

Rachunek sumienia! Nie wydajęz wam się, że macie do czynienia z domem towarowym „pod Opatrznością?“.

Mówi się: wysoki szacunek. Jakby pogarda była niska!

*

Piękność i *cnota* wymawia się tym samym tonem, co *ilość* i *jakość*.

*

Ach, ci ludzie! Pogarda, jaką intelektualistów żywią dla siły mięśni, pochodzi bez wątpienia stąd, że nie wyobrażają sobie Dantego, występującego w roli akrobata cyrkowego. Nie rozumieją po prostu pewnych zalet bez produkowania się niemi.

*

Mężczyzna i kobieta. Ona tańczy wśród mieczy, on mieczem włada w tańcu.

*

Ludzie zatruwają sobie życie najbardziej myślami o tem, jaką-to słodycz mogłoby życie posiadać.

*

Równi są ludzie tylko w łaźni, wolni w trumnie, a o braterstwie mówi się dlatego, by trudniej było zgadnąć, że to chodzi o ludzi.

*

Mężczyzna jest programem. Kobieta projektem.

*

Przyjaźń jest jak przecinek; bardzo często umieszcza się ją zgoła fałszywie, w miejscu najmniej stosownem.

*

Charakter zaś jest jak szuflada, parasol lub scyzoryk: może być otwarty lub zamknięty.

*

Niema spraw tak poważnych, by ich każdej chwili nie można obrócić w żart.

Nic nie jest bardziej zdrożne i bezbożne, niż sposób, w jaki świątobliwość wyobraża sobie występki.

*

Można pewną myśl wypowiedzieć nawet z świadomością, że się jej nie wypowiada po raz pierwszy; trzeba ją jednak tak sprecyzować, by była wypowiedziana koniecznie po raz ostatni.

*

Ordynarny apetyt zdrowego chama drażni podenerwowanego przeczuleńca; brak apetytu u przeczuleńca oburza zdrowego chama. Jeden i drugi rzuciliby się na siebie z wściekłością, gdyby nie towarzystwo: przeczuleńców z dobrym apetytem i chamów bez apetytu.

*

Można kobietę kochać do szaleństwa i choć nie okazuje się tego, ona o tem wie. Można udawać nienawiść, ona wie, że za nią szalejesz. A jeśli kobietę naprawdę nienawidzisz, lecz nienawiść ukrywasz, ona jest pewna, że ukrywasz wstydliwie — miłość. A jeśli, nienawidząc, okazujesz jej to niedwuznacznie, kobieta... tak, kobieta jest dumna, że za nią szalejesz. Wie ona bowiem, że jest przecież po to, by ją kochano.

*

Nie do wiary trudno jest częstokroć odróżnić u kobiet litość od miłości. Niekiedy nie mogą tego uczynić nawet kobiety same.

*

— Bądźcie wyrozumiali dla siebie, przebaczący, cierpliwi, chętnie usłużni...

— Jakto? Codziennie!?

Największy grzech przeciw sobie: nie wierzyć w grzechy przeciw sobie.

*

Rzeczą najnieprawdopodobniejszą jest unieprawdopodobnić rzeczy prawdopodobne, a nie — uprawdopodobnić nieprawdopodobne.

*

Wierzyć w siebie, nie znaczy wierzyć tym, co w nas wierzą.

*

Człowiekiem pełnym, doskonałym, człowiekiem *par excellence* jest nie ten przez wielkie C., lecz rzadki człowiek, któremu nie brak żadnej z ośmiu liter.

*

„Pokochali się!“ Nie tak było! Jedno od drugiego wymusiło swą miłością miłość. Zaczęło się od prowokacyi.

*

Raczej zdolne jest uwagę naszą zwrócić na siebie nieszczęście, niż szczęście. Czemuż to? Byłoby szczęście tak powszednie i ogólne.

*

Paradoks jest eksperymentem szkolnym, dokonanym dla zademonstrowania centryfugi. Czyż jest zasługą eksperymentu, iż niekiedy istotnie zrobi się masło?

*

Gdyby przysłowia miały być prawdziwe, to pocóżby przysłów? Są one przecież tylko pokazaniem, jakby to było, gdyby było tak poprostu.

*

Paradoks jest teoretyczną przekorą.

Spowiedź ma swój prosty początek w tem, że człowiekowi zawsze lżej na sercu, gdy się komuś zwierzy ze swych kłopotów. I po cóż mieszać w to Boga?!

*

Oratio recta, to mówienie impertynencyi prosto w oczy; *oratio obliqua*, to obmawiania za plecyma.

*

Do wielkich nieszczęść odnoszą się ludzie tak samo, jak do nieczystych sprawek: podejrzliwie.

*

Ludzi sądzić może tylko ten, kto posiada w sobie pierwiastek boskości: wolę doskonalenia się.

*

Kobiety lubią być deptane. Czują się bezpieczniejsze, mając nie tylko stały grunt pod stopą, lecz i stopę na sobie.

*

Natury namiętne muszą aż cierpieć, by doznawać uczucia rozkoszy: rozkosz tkwi też w rozdrapywaniu sobie bolesnej rany. Nienamiętne dzieci dłużej sobie paluszkami w nosie.

*

Prawo „bycia sobą“ zdobywa się — zasługą. Inaczej cię wydrwią.

*

Nawet najbardziej towarzyski człowiek ma chwilę, w której pragnie się znaleźć zupełnie sam; gdy ma niewielką ilość ulubionych smakotyków do zjedzenia.

*

Cieszyć się cudzem szczęściem i nie zazdrościć, może tylko człowiek bardziej szczęśliwy.

Dla złoczyńców śmiałych więcej ma się pobłażania, niż dla lękliwych. Czyżby w myśl maksymy: „Co czynisz, czyń dobrze?“. We wszystkim cenimy najwyższość i doskonałość.

*

Śmiało spojrzeć nieszczęściu w oczy najłatwiej i najmilej z daleka.

*

Im jest rzecz doskonalsza, tem jest rzadsza: dlatego w rzadkościach szukamy doskonałości.

*

Z wszystkiego można sobie uczynić sport: np. mieć o każdej sprawie fałszywe mniemanie.